

Arthur Conan Doyle

Pies Baskerville'ów

1. Sherlock Holmes

Sherlock Holmes, który wstawał zazwyczaj bardzo późno, chyba że nie kładł się wcale spać, co zdarzało mu się dosyć często, siedział właśnie przy śniadaniu. Ja stałem przy kominku, oglądając laskę pozostawioną przez naszego wczorajszego gościa. Była to piękna, gruba laska z dużą gałką, pod którą znajdowała się srebrna obwódka szerokości około cala z napisem: "Jakubowi Mortimerowi M.R.C.S. od przyjaciół z C.C.H.", oraz data "1884". Była to laska solidna, budząca zaufanie – taka, jaką zwykli nosić lekarze domowi starej daty.

– I cóż, Watsonie – odezwał się do mnie Holmes. – Co sądzisz o tej lasce?

Holmes siedział, obrócony plecami, ja zaś nie zdradziłem ani gestem, ani słowem, czym byłem zajęty.

– Skąd wiesz, co ja robię? – spytałem zdumiony. – Gotów jestem uwierzyć, że masz oczy z tyłu głowy.

– Nie, ale mam przed sobą imbryk srebrny, wypolerowany jak zwierciadło – odparł Holmes. – Powiedz mi, co myślisz o lasce naszego gościa. Skoro nie zastał nas wczoraj, a nie mamy pojęcia, jaki mógł być cel jego odwiedzin, ta przypadkowa zguba nabiera znaczenia. Niechże się dowiem, co na podstawie tej laski sądzisz o jej właścicielu?

– Sądzę – odpowiedziałem, starając się naśladować sposób rozumowania mego towarzysza – że doktor Mortimer jest starszym, bardzo wziętym i bardzo poważnym lekarzem, skoro znajomi obdarzyli go takim dowodem uznania.

– Dobrze – rzekł Holmes – Wyśmienicie!

– Sądzę także, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa doktor Mortimer jest lekarzem wiejskim, odwiedzającym chorych przeważnie pieszo.

– Dlaczego?

– Dlatego że ta laska, zapewne bardzo ładna, gdy była nowa, jest już tak zniszczona, iż nie wyobrażam jej sobie w rękach lekarza miejskiego. Gruba skuwka jest niemal zupełnie ścięta. Świadczy to, że doktor odbywał z tą laską długie spacery.

– Doskonale, zupełnie słusznie! – przytakiwał Holmes.

– A wreszcie są tu jeszcze wyrazy: "Od przyjaciół z C.C.H." Przypuszczam, że

litera "C.C.H." stanowi skrót jakiegoś miejscowego kółka łowieckiego¹. Doktor udzielał pewnie członkom tego kółka lekarskiej pomocy, a oni, w dowód wdzięczności, ofiarowali mu ten drobny upominek.

– Doprawdy, Watsonie, przechodzisz samego siebie – rzekł Holmes odsuwając krzesło i zapalając papierosa. – Muszę przyznać, że we wszystkich sprawozdaniach, jakie łaskawie pisałeś o moich skromnych osiągnięciach, nie doceniłeś własnych zdolności. Nie jesteś może sam źródłem światła, lecz umiesz kierować światłem. Są ludzie, którzy, sami nie mając geniuszu, posiadają talent pobudzania go u innych. Wyznaję, mój drogi, że ci bardzo wiele zawdzięczam.

Holmes nigdy jeszcze nie przemawiał do mnie w ten sposób. Muszę przyznać, że słowa jego sprawiły mi wielką przyjemność. Często bywałem dotknięty obojętnością Holmesa, zarówno dla mego podziwu nad jego talentem, jak i dla moich wysiłków zmierzających do nadania rozgłosu jego metodom. Duma ogarniała mnie także na myśl, że przyswoiłem sobie system jego tak dalece, iż stosując go zdobyłem uznanie samego mistrza.

Holmes wziął mi z rąk laskę i przyglądał jej się przez kilka minut. Po czym z nagłym zainteresowaniem podszedł do okna, rzucił papierosa i zabrał się do badania laski przez lupę.

– Ciekawe, chociaż proste – rzekł wróciwszy na swoje ulubione miejsce na kanapie. – Dostrzegam na tej lasce parę wskazówek, które doprowadzają nas do szeregu wniosków.

– Czyżby coś uszło mojej uwagi? – spytałem z pewną zarozumiałością w tonie.
– Nie sądzę, żebym ominął jakiś ważny szczegół.

– Obawiam się, mój drogi, że większość twoich wniosków jest mylna. Gdy mówiłem, że dodajesz mi bodźca, miałem na myśli, mówiąc szczerze, to, iż stwierdzenie twoich pomyłek doprowadziło mnie wielokrotnie do odkrywania prawdy. W tym wypadku nie mylisz się bynajmniej co do istoty rzeczy. Właściciel laski jest niewątpliwie lekarzem wiejskim i chodzi bardzo dużo.

– Miałem zatem słuszność.

– Pod tym względem tak.

– Więc to chyba wszystko, co można było wywnioskować.

– Nie, nie, mój drogi, nie wszystko... Bynajmniej nie wszystko. Na przykład wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że ofiarowany doktorowi podarunek pochodzi

¹ H – Hunt – polowanie.

od pracowników szpitala, a nie od kółka łowieckiego. Toteż gdy litery "C.C." umieścimy przed słowem "szpital", wyrazy "Charing Cross"² nasuwają się same przez się.

– Może masz słuszość.

– Moje wyjaśnienie ma za sobą wszelkie cechy prawdopodobieństwa i jeśli przyjmujemy tę hipotezę, mamy nową podstawę, która pozwoli nam odtworzyć postać naszego nieznanego gościa.

– Dobrze; przypuszczając zatem, że C.C.H. znaczy "Charing Cross Hospital", jakież inne wnioski stąd wysnujemy?

– Czyż nie nasuwa ci się żaden? Znasz moją metodę. Zastosuj ją!

– Jedynym wnioskiem oczywistym jest fakt, że nasz nieznamy praktykował w mieście, zanim przeniósł się na wieś.

– Myślę, że możemy posunąć się dalej w naszych przypuszczeniach. Spójrz na to z innego punktu widzenia. Przy jakiej sposobności ofiarowano Mortimerowi ten podarunek? Kiedy przyjaciele jego mogli w ten sposób wyrazić mu dowód swej wdzięczności i uznania? Niewątpliwie w chwili, gdy doktor opuszczał szpital, żeby rozpocząć prywatną praktykę. Wiemy już, że był to podarunek. Przypuszczamy, że doktor opuścił szpital miejski i przeniósł się na wieś. Czy zatem zbyt śmiało byłoby nasze twierdzenie, że łaskę ofiarowano mu właśnie przy pożegnaniu?

– Jest to bardzo prawdopodobne.

– A teraz zechciej zauważyć, że doktor Mortimer nie mógł należeć do składu stałych lekarzy szpitalnych. Na te stanowiska wyznaczani są tylko pierwszorzędni lekarze londyńscy, a ci nie przenoszą się na wieś. Kim był zatem? Jeżeli pracował w szpitalu, a nie należał do stałego personelu lekarskiego, to był zapewne tylko asystentem i zajmował stanowisko niewiele wyższe niż studenci ostatniego roku medycyny. Opuścił zaś szpital przed pięciu laty... masz datę na lasce. Tak więc twój poważny doktor w średnim wieku znika jak widmo, mój drogi, a na jego miejsce ukazuje się nam trzydziestoletni mężczyzna, miły, skromny, roztargniony i posiadający ulubionego psa, którego określiłbym mniej więcej jako większego od teriera, a mniejszego od buldoga.

Uśmiechnąłem się z niedowierzaniem, a Sherlock Holmes rozsiadł się wygodnie, puszczając pod sufit kółka dymu.

– Nie mam możności sprawdzenia tego ostatniego wywoodu – rzekłem – ale nic

² Charing Cross Hospital – znany szpital londyński.

łatwiejszego niż dowiedzieć się kilku szczegółów dotyczących wieku i kariery zawodowej doktora.

Wziąłem z mojej biblioteki "Przewodnik lekarski" i odszukałem literę M. Znalazłem kilku Mortimerów, ale tylko jeden z nich mógł być naszym gościem. Przeczytałem głośno odpowiednią notatkę:

"Mortimer Jakub, M.R.C.S.³, 1882; Grimpen, Dartmoor, Devon. Asystent–chirurg w szpitalu Charing Cross od 1882 do 1884. Laureat Nagrody Jacksona za pracę z dziedziny patologii porównawczej pt. *Wpływ cech wstecznych na powstawanie pewnych chorób*. Członek–korespondent Szwedzkiego Towarzystwa Patologicznego. Autor *Kilku kapryśków atawizmu* (The Lancet, 1882), *Czy idziemy naprzód* (Journal of Psychology, marzec 1883). Lekarz urzędowy gmin: Grimpen, Thorsley i High–Barrow."

– O kółku łowieckim ani wzmianki – rzekł Holmes z drwiącym uśmiechem – ale jest lekarzem wiejskim, jak to sprytnie wywnioskowałeś. Zdaje mi się, że moje wywody się potwierdzają. Co do przymiotników określających naszego doktora, powiedziałem, jeśli się nie mylę: miły, skromny i roztargniony. Wiem z doświadczenia, że podarunki otrzymuje na tym świecie tylko człowiek miły, jedynie skromny człowiek rezygnuje z kariery londyńskiej i osiedla się na wsi, a tylko roztargniony zostawia ci laskę zamiast biletu wizytowego po godzinnym wyczekiwaniu w twoim pokoju.

– A pies?

– Pies zwykle nosił laskę swojego pana. Ponieważ jest ciężka, pies mocno trzymał ją pośrodku; ślady jego kłów są wyraźnie widoczne. Wskazują one, moim zdaniem, że szczeka jest za duża na teriera, a za mała na buldoga. To może... tak, do licha, to jest spaniel!

Mówiąc to Holmes chodził po pokoju, a gdy zatrzymał się przy oknie, w głosie jego nagle zabrzmiała taka stanowczość, że spojrzałem na niego zdumiony.

– Mój drogi, skąd ta pewność?

– Stąd po prostu, że widzę tego psa u naszych drzwi wejściowych, a oto dzwoni jego pan. Nie odchodź, proszę cię, Watsonie. To przecież twój kolega po fachu i twoja obecność może mi się bardzo przydać. Oto dramatyczna chwila: słyszysz na schodach kroki człowieka wchodzącego w twoje życie i nie wiesz, z czym przychodzi: z dobrym czy złym. Czego może chcieć doktor Jakub Mortimer, człowiek nauki, od Sherlocka

³ Medical Royal Collège Surgeons – Królewska medyczna szkoła chirurgów.

Holmesa, specjalisty w kryminalistyce?... Proszę!

Postać naszego gościa przejęła mnie zdumieniem, gdyż spodziewałem się ujrzeć typowego lekarza wiejskiego. Doktor Mortimer zaś był bardzo wysoki i chudy; nos miał długi, haczykowaty, oczy przenikliwe, bardzo blisko siebie osadzone iskrzyły się zza okularów w złotej oprawie. Ubrany był w strój ogólnie przyjęty przez lekarzy, choć mocno zaniedbany: surdut miał wytarty, spodnie w dole obszarpane. Jakkolwiek młody jeszcze, plecy miał zgarbione, idąc pochylał głowę, a na twarzy jego malowała się wielka dobroduszość.

Gdy spostrzegł laskę w ręku Holmesa, rzucił się ku niemu z radosnym okrzykiem.

– Co za szczęście! – rzekł. – Nie byłem pewny, czy zostawiłem ją tutaj, czy w biurze okrętowym. Za nic w świecie nie chciałbym zgubić tej laski.

– Podarunek, nieprawda? – spytał Holmes.

– Tak, proszę pana.

– Od pracowników szpitala Charing Cross?

– Od kilku przyjaciół w szpitalu z okazji mego ślubu.

– Tam do licha! to niedobrze – odezwał się Holmes potrząsając głową.

Doktor Mortimer zamrugał ze zdziwienia i spojrzał pytająco na mówiącego.

– Niedobrze? Dlaczego?

– Dlatego, że nasze wnioski okazały się mylne. Mówi pan zatem, że to podarunek z okazji ślubu?

– Tak. Ożeniłem się i porzuciłem szpital, a wraz z nim wszelką nadzieję szerokiej praktyki. Trzeba było pomyśleć o stworzeniu własnego domu.

– Co prawda – rzekł Holmes – nie pomyliliśmy się znów tak bardzo. A teraz, doktorze Jakubie Mortimer...

– Proszę mnie tak nie tytułować... jestem tylko skromnym lekarzem.

– I widocznie człowiekiem o ścisłym umyśle.

– Jestem dyletantem w nauce, panie Holmes; zbieraczem muszelek na wybrzeżach wielkiego, nieznanego oceanu. Przypuszczam, że mówię do pana Sherlocka Holmesa, nie zaś...

– Tak, a oto mój przyjaciel, doktor Watson.

– Bardzo mi przyjemnie. Słyszałem często nazwisko pana, wymieniane wspólnie z nazwiskiem pańskiego przyjaciela. Panie Holmes, interesuje mnie pan niesłychanie. Nie spodziewałem się zobaczyć czaszki tak dolichocefalicznej jak pańska i do tego

stopnia rozwiniętych guzów nadoczodołowych. Czy pozwoli mi pan przesunąć palec po szwie ciemieniowym? Odlew pańskiej czaszki – dopóki oryginał jest nieosiągalny – byłby ozdobą każdego muzeum antropologicznego. Nie pragnę bynajmniej pańskiej śmierci, ale przyznaję, że na czaszkę pańską mam wielką ochotę.

Holmes wskazał krzesło osobliwemu gościowi.

– Jest pan entuzjastą swojego zawodu, podobnie jak ja mojego – rzekł. – Widzę po pańskim palcu wskazującym, że pan sam sobie zwiija papierosy. Proszę, niech się pan nie krępuje.

Nasz gość wyjął z kieszeni bibułkę i tytoń i ze zdumiewającą wprawą zwinął papierosa. Palce miał długie, zwinne i ruchliwe jak macki owada.

Holmes milczał, ale bystre spojrzenia, jakimi raz po raz obrzucał naszego gościa, dowodziły, jak bardzo się nim interesuje.

– Przypuszczam – odezwał się wreszcie – że nie tylko dla zbadania mojej czaszki zaszczycił mnie pan swoimi odwiedzinami wczoraj i ponownie w dniu dzisiejszym.

– Nie, proszę pana, jakkolwiek rad jestem niezmiernie, że nastęczyła mi się sposobność ku temu. Przyszedłem do pana, panie Holmes, bo orientuję się, że nie jestem człowiekiem biegłym w tych sprawach, a znalazłem się wobec niezwykle poważnego i zadziwiającego zagadnienia. Ponieważ uważam pana za drugiego specjalistę w swojej dziedzinie w Europie...

– Doprawdy? A czy wolno wiedzieć, kto ma zaszczyt być pierwszym? – spytał Holmes z odcieniem: niezadowolenia.

– Dla człowieka o umyśle naukowca prace pana Bertillona są nieocenione.

– A więc dlaczego nie udaje się pan do niego po poradę?

– Mówiłem o umyśle naukowca. Natomiast jeśli chodzi o praktyczne podejście, pan jest jedyny. Spodziewam się, że mimo woli nie uraziłem...

– Tylko trochę – przerwał Holmes. – Sądzę, doktorze, że najwyższy czas, aby pan wyjaśnił mi teraz dokładnie, na czym polega zagadnienie, które wymaga mojej pomocy.

2. Przekleństwo Baskerville'ów

– Mam w kieszeni rękopis – zaczął doktor Mortimer.

– Spostrzegłem to, gdy pan wszedł do pokoju – odparł Holmes.

– Rękopis ten jest bardzo stary.

– Z pierwszej połowy XVIII wieku, jeśli nie jest podrobiony.

– Skąd pan wie?

– Podczas rozmowy z panem miałem możliwość przyjrzenia się rękopisowi, którego kawałek wystawał z pańskiej kieszeni. Marny byłby to znawca, który nie mógłby określić daty dokumentu z dokładnością do dziesięciu lat. Może czytał pan moją monografię na ten temat? Rękopis pański pochodzi mniej więcej z roku 1730.

– Dokładnie z 1742 – odparł Mortimer wydobywając go z kieszeni. – Ten dokument rodzinny został mi powierzony przez sir Charlesa Baskerville'a, którego tragiczna śmierć wywołała przed trzema miesiącami takie wzburzenie w Devonshire. Pragnę nadmienić, że byłem jednocześnie jego lekarzem i przyjacielem. Był to człowiek stanowczy, przenikliwy, praktyczny i miał równie trzeźwą wyobraźnię jak i ja. Niemniej jednak traktował poważnie ten dokument i przygotowany był, że zginie w taki właśnie sposób.

Holmes wyciągnął rękę po rękopis i rozłożył go na kolanach.

– Zauważ, Watsonie – rzekł zwracając się do mnie – jak różnie jest pisana litera "s". Raz "s" jest długie, raz krótkie. To jedna ze wskazówek, która pozwoliła mi określić datę.

Spojrzałem przez jego ramię na pożółkły papier i wyblakłe pismo. W nagłówku widniał napis: "Baskerville Hall", a poniżej, wielkimi, niekształtnymi cyframi: "1742".

– Wygląda to na jakąś opowieść.

– Tak, to pewna legenda krążąca w rodzinie Baskerville'ów.

– Sądziłem, że pragnie pan zasięgnąć mojej rady w sprawie bardziej aktualnej i życiowej.

– Sprawa jest jak najbardziej aktualna i nagląca. Trzeba ją koniecznie wyjaśnić w ciągu dwudziestu czterech godzin. Rękopis ten jest krótki i ściśle z nią związany. Pozwoli pan zatem, że go przeczytam.

Holmes zagłębił się w fotelu, splótł dłonie i zamknął oczy, przybrawszy wyraz twarzy pełen rezygnacji. Doktor Mortimer odwrócił się do okna i zaczął czytać wysokim, szorstkim głosem następującą ciekawą starodawną opowieść:

“O pochodzeniu psa Baskerville'ów obiegały różne pogłoski. Ponieważ jednak jestem potomkiem w prostej linii Hugona Baskerville'a a historię niniejszą słyszałem z ust mego ojca, który znał od swego ojca, przeto spisałem ją, przekonany szczerze o jej

prawdziwości. I chciałbym, synowie moi, abyście wierzyli, że ta sama Sprawiedliwość, która karze za grzechy, umie również przebaczać miłosiernie, i że nie ma tak straszego przekleństwa na świecie, którego by nie można okupić skruchą i modlitwą. Z opowieści niniejszej zatem wyciągnijcie tę naukę, że nie należy obawiać się przekleństwa przeszłości, pod warunkiem że uniknie się w przyszłości tych ciężkich grzechów, które ściągnęły na naszą rodzinę takie nieszczęście.

Wiedźcie tedy, że w czasach wielkiej rebelii (której dzieje spisane przez wielce uczonego lorda Clarendona polecam gorąco waszej uwadze) zamek Baskerville był własnością Hugona tegoż nazwiska. Zaprzeczyć trudno, że był to człowiek szalony i bezbożny. Sąsiedzi byliby mu wybaczyli owe błędy, gdyż strony te nigdy nie obfitowały w świętych, ale był on zarazem tak rozpustny i okrutny, iż imię jego stało się przysłowiowe w całej okolicy. Zdarzyło się, że ów Hugon zapalał miłością (jeżeli szlachetnym tym mianem można nazwać jego nieszlachetne uczucie) do córki ziemianina, którego grunty sąsiadowały z posiadłościami Baskerville'ów. Ale młoda dziewczyna, skromnie i pobożnie wychowana, unikała wielbiciela, znając jego złą sławę.

Pewnego razu, a było to w dniu świętego Michała, ów Hugon z kilkoma swymi towarzyszami hulankę wtargnęli do majątku sąsiada i porwali pannę podczas nieobecności jej ojca i braci. Przywiózłszy brankę do zamku, umieścili ją w jednej z górnych komnat, a sami zasiedli do uczty, by jak zwykle spędzić noc na pijatyce. Nieszczęśliwa dziewczyna była bliska obłędu słysząc dochodzące z dołu śpiewy, wrzaski i straszne przekleństwa. Mówiono bowiem, że same słowa wypowiedane przez Hugona w stanie nietrzeźwym powinny były zaprowadzić go do piekła. Aż wreszcie, zdjęta śmiertelną trwogą, zdobyła się na czyn, przed którym zawahałby się najodważniejszy mężczyzna. Po bluszczu, który okrywał (i nadal okrywa) południową ścianę zamku, zsunęła się na dół i zaczęła uciekać przez moczary do swego domu oddalonego od zamku o dziewięć mil.

Wkrótce potem Hugon opuścił gości, aby zanieść trochę jadła i wina swej brance – a może żywił i jakieś gorsze zamiary – ale klatkę zastał pustą. Wówczas, jak opętany przez diabła, zbiegł w szalonym pędzie ze schodów, wpadł do sali jadalnej, wskoczył na stół tłukąc dzbany i talerze i wobec przerażonych biesiadników zaprzysiągł głośno, iż jeśli zdoła schwytać zbiegłą dziewczynę, to jeszcze tej samej nocy zaprzeda czartu ciało i duszę. Przez chwilę obecni stali oszołomieni furją Hugona, gdy naraz jeden bardziej podły, a może bardziej pijany od innych krzyknął,

żeby puścić psy gończe śladem zbiega. Wtenczas Hugon wybiegł z zamku wołając na służbę, by mu siodłali klacz i puścili ogary z psiarni, po czym cisnął im chustkę dziewczęcą, aby skierować psy na trop. I tak w świetle księżyca pościg pomknął przez moczary.

Wszystko to dokonało się z tak błyskawiczną szybkością, że biesiadnicy zrazu nie zrozumieli, co zaszło. Niebawem jednak, pomimo zamroczenia, zaczęli pojmować, że na moczarach może się stać coś straszego. Powstał zamęt. Jedni wołali o pistolety, inni o konie, inni znów o wino. W końcu trochę oprzytomnieli i wszyscy, w liczbie trzynastu, dosiedli koni i puścili się w pogoń. Księżyc świecił jasno. Jechali szybko zwartą gromadą, kierując się w stronę domu porwanej panny.

Ujechali tak ze dwie mile, gdy spotkali nocnego pastucha i spytali go, czy nie widział pogoni. Opowieść niesie, że nieborak był oniemiały ze strachu, lecz wreszcie wykrztusił, że widział nieszczęsną dziewczynę i pędzące za nią psy.

– Ale widziałem więcej jeszcze – dodał – widziałem Hugona Baskerville'a na karej klaczy, a zanim cicho biegnącego psa o isticie piekielnym wyglądzie, takiego, że niechaj mnie Bóg uchwowa, abym go kiedykolwiek miał spotkać na swej drodze.

Pijani młodzieńcy skłękali pastucha i popędzili dalej. Ale niebawem zamarli z przerażenia, gdyż nagle rozległ się tętent kopyt końskich i kara klacz, okryta pianą, minęła ich w pełnym galopie, bez., z luźno zwisającymi cuglami.

Zdjęci trwogą jeźdźcy zbliżyli się do siebie, lecz nie zaniechali pogoni, jakkolwiek każdy z nich, gdyby był sam, chętnie zawróciłby konia.

Jadąc wolno, natrafili wreszcie na sforę psów, które, jakkolwiek znane z odwagi i wszelkich przymiotów dobrej rasy, stały zbite w gromadę, skowycząc nad krawędzią głębokiego wąwozu. Jedne zaczynały się już wymykać, inne, z najeżoną sierścią, wpatrywały się w wąwóz.

Grono mężczyzn – już niemal zupełnie wytrzeźwionych, jak się łatwo domyślić – zatrzymało się. Większość nie miała odwagi zapuszczać się dalej, lecz trzech najśmielsi, czy też może najmniej trzeźwi, zjechali do wąwozu. Wąska gardziel wąwozu rozszerzała się dalej w szeroką kotlinę, gdzie wznosiły się dwa z owych wielkich kamieni, ustawionych w zamierzonych czasach przez jego mieszkańców. Kotliną tonęła w blasku księżyca, na środku leżała bez życia nieszczęsna ofiara. Tutaj widocznie upadła i skonała ze znużenia i trwogi. Ale nie na jej widok ani na widok martwych zwłok Hugona Baskerville'a, leżących w pobliżu, skamienieli trzej śmiałkowie. Nad trupem Hugona stał okropny potwór – czarne wielkie zwierzę podobne do

psa, ale psa nigdy nie spotykanych rozmiarów. W ich oczach potwór rozerwał gardło Hugona, a gdy zwrócił ku przybyłym swe ogniste ślepie i paszczę broczącą krwią, trzech śmiazków wrzasnęło z przerażenia i krzyżąc ratowało się ucieczką przez moczary.

Powiadają, że jeden z nich zmarł jeszcze tej samej nocy z przerażenia, a dwaj inni pozostali obłąkani do końca życia.

Tak brzmi, synowie moi, opowieść o pierwszym ukazaniu się psa, który od owego czasu stał się okrutną plagą naszego rodu. Spisałem tę opowieść dlatego tylko, że wzmianki i domysły wzbudzają zawsze więcej trwogi niż rzeczy dokładnie wiadome.

Nie można zaprzeczyć, że wielu członków naszej rodziny zginęło śmiercią gwałtowną, nagłą i tajemniczą. Powinniśmy jednak ufać w nieskończoną dobroć Opatrzności, która rzadko kiedy karze niewinnych poza trzecim lub czwartym pokoleniem, jak mówi Pismo Święte.

Polecam was, synowie moi, opiece tej Opatrzności i radzę gwoli ostrożności unikać moczarów w godzinach nocnych, kiedy panuje moc złego ducha.

(Spisał Hugon Baskerville dla synów swoich, Rodgera i Jana, zalecając wszakże, aby pod żadnym pozorem nie powtarzali opowieści powyższej siostrze swojej, Elżbiecie)."

Gdy doktor Mortimer skończył czytać tę niezwykłą opowieść, odsunął okulary na czoło i zwrócił spojrzenie na Sherlocka Holmesa. Ten ziewnął, cisnął niedopałek papierosa w ogień i spytał lakonicznie:

– I cóż?

– Czy cała ta historia nie wydaje się panu zajmująca?

– Owszem, dla amatora bajek.

Doktor Mortimer wyjął z kieszeni starannie złożoną gazetę.

– Teraz, panie Holmes, pokażę panu coś niesamowitego. Oto numer pisma "Devon County Chronicle" z dnia 14 czerwca tego roku, zawierający szczegóły śmierci sir Charlesa Baskerville'a zmarłego kilka dni przedtem.

Mój przyjaciel pochylił się nieco naprzód, a twarz jego przybrała wyraz skupienia. Gość poprawił okulary i zaczął:

"Nagła śmierć sir Charlesa Baskerville'a, którego w zbliżających się wyborach wymieniano jako kandydata stronnictwa liberalnego dla okręgu środkowego Devonu, pogrzyżyła w smutku całe hrabstwo. Jakkolwiek sir Charles mieszkał dopiero od

niedawna w Baskerville Hallu, niemniej jednak ujmującym obejściem i wielką szcudrobliwością zdobył przywiązanie oraz szacunek wszystkich tych, którzy go znali.

W czasach panoszenia się «nowobogackich» przyjemnie jest widzieć, jak potomek starego, lecz podupadłego rodu przywraca dawną świetność rodzinnemu gniazdu.

Sir Charles, jak wiadomo, zrobił duże pieniądze w Afryce Południowej. Roztropniejszy od tych, którzy spekulują dopóty, dopóki fortuna nie odwróci się od nich, zrealizował wszystkie swoje zyski i powrócił do Anglii. Dwa lata zaledwie minęło od chwili, kiedy zamieszkał w Baskerville Hallu, a wiadomo już było wszystkim, że nosi się z zamiarem odbudowania zamku i wprowadzenia różnych ulepszeń w swoich posiadłościach. Śmierć nie pozwoliła urzeczywistnić tych planów, powziętych na wielką skalę. Będąc bezdzielnym pragnął, by cała okolica korzystała z jego bogactw, toteż wiele osób ze względów osobistych opłakuje przedwczesny zgon naszego dobroczyńcy. Niejednokrotnie na łamach naszego pisma wspominaliśmy o jego szcudrych dotacjach na różne cele dobroczynne.

Śledztwo nie mogło dokładnie wyjaśnić okoliczności, które towarzyszyły śmierci sir Charlesa Baskerville'a, ale rozproszyło przynajmniej pewne pogłoski zrodzone z zabobonu. Nie ma bowiem powodów do przypuszczeń, że zaszło tu coś podejrzanego lub że śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych.

Sir Charles był wdowcem i uchodził pod pewnymi względami za dziwaka. Pomimo znacznej fortuny żył bardzo skromnie, a cała jego służba składała się jedynie z małżeństwa nazwiskiem Barrymore; mąż był lokajem, a żona gospodynią.

Zeznania ich, potwierdzone przez kilku przyjaciół, wskazują, że od pewnego czasu sir Charles silnie niedomagał. Trapiło go cierpienie sercowe, objawiające się nagłym blednięciem, napadami duszności i ostrymi atakami nerwowymi. Doktor Jakub Mortimer, przyjaciel i lekarz zmarłego, złożył zeznanie w tym samym duchu.

Fakty są bardzo proste. Co wieczór, przed udaniem się na spoczynek, sir Charles przechadzał się po słynnej alei cisowej w Baskerville Hallu. Małżonkowie Barrymore stwierdzili w swoich zeznaniach, że taki był zwyczaj ich pana.

Dnia 4 czerwca sir Charles oznajmił, iż wyjeżdża nazajutrz do Londynu, i polecił Barrymore'owi, aby mu zapakował rzeczy. Wieczorem wyszedł na zwykłą przechadzkę, podczas której zawsze palił cygaro.

Z przechadzki tej już nie powrócił.

O północy Barrymore widząc, że drzwi do hallu są jeszcze otwarte, zaniepokoił

się i zapaliwszy latarnię poszedł szukać swego pana.

Dzień był dżdżysty, odnaleziono więc z łatwością ślady stóp sir Charlesa na rozmięklej ziemi alei. W połowie tej alei znajduje się furka prowadząca na moczary. Głębsze w tym miejscu ślady wskazywały, że sir Charles zatrzymał się tutaj na chwilę. Następnie udał się widocznie dalej, ponieważ zwłoki jego znaleziono na samym końcu alei.

Pewien szczegół zeznania Barrymore'a pozostaje jeszcze nie wyjaśniony: kształt śladów zmienił się z chwilą, kiedy sir Charles Baskerville minął furtkę; wyglądało na to, że szedł dalej na palcach.

Niejaki Murphy, Cygan, handlarz koni, znajdował się wówczas w pobliżu na moczarach, lecz jak sam zeznał, był zupełnie pijany. Oświadczył wszakże, iż słyszał krzyki, ale nie wiedział, skąd pochodzą. Na zwłokach sir Charlesa nie stwierdzono żadnych śladów obrażeń, jakkolwiek zeznanie lekarza wspomina o niezwykle, wprost konwulsyjnym wykrzywieniu twarzy – wykrzywieniu tak strasznym, że zrazu doktor Mortimer nie chciał wierzyć, że ma istotnie przed sobą swego przyjaciela i pacjenta. Wyjaśniono jednak, że jest to objaw zdarzający się często w wypadkach dusznicy i śmierci spowodowanej atakiem sercowym. Oględziny zwłok pozwoliły na taką właśnie diagnozę, a sędzia śledczy potwierdził wyjaśnienie lekarskie.

Radzi jesteśmy z takiego wyniku śledztwa. Spadkobierca sir Charlesa powinien jak najrychlej osiąść na zamku i prowadzić dalej przerwane w tak tragiczny sposób dzieło swego poprzednika. Gdyby trzeźwy werdykt sędziego nie zniweczył ostatecznie romantycznych opowieści krążących w związku z tą śmiercią, trudno by było znaleźć nowego pana dla Baskerville Hallu.

Najbliższym krewnym zmarłego jest – jeżeli znajduje się jeszcze przy życiu – pan Henry Baskerville, syn najmłodszego brata sir Charlesa. Gdy ostatnio o nim słyszano, przebywał w Ameryce. Rozpoczęto odpowiednie kroki celem odnalezienia go i zawiadomienia o dziedzictwie, jakie mu przypadło w udziale."

Doktor Mortimer złożył gazetę i schował ją do kieszeni.

– Tak przedstawiają się, panie Holmes, fakty podane do publicznej wiadomości – rzekł.

– Dziękuję panu – odparł Holmes – za zwrócenie mojej uwagi na sprawę, która pod wielu względami jest niewątpliwie interesująca. Swego czasu czytałem o niej kilka wzmianek w prasie, ale byłem wówczas całkowicie pochłonięty sprawą watykańskich kamei. Oddając swe usługi papieżowi przestałem na razie interesować się tym, co się

działo w Anglii. Powiada pan tedy, że artykuł ten zawiera wszystkie publicznie znane fakty.

– Tak.

– Niech mi pan teraz poda nieznane.

Holmes zagłębił się znów w fotelu, splótł dłonie, a twarz jego przybrała wyraz powagi i skupienia.

– Aby uczynić zadość pańskiemu żądaniu – powiedział doktor Mortimer okazując coraz silniejsze zdenerwowanie – opowiem panu to, z czego nie zwierzyłem się dotąd nikomu. Zataiłem to przed sędzią, bo człowiekowi nauki trudno jest przyznać się publicznie do wiary w zabobony. Nadto kierował mną też i ten взгляд, wspomniany w artykule, że Baskerville Hall pozostałby bezpieczny, gdyby coś jeszcze wzmocniło ponurą sławę tej siedziby. Dla tych dwóch przyczyn uważałem za stosowne powiedzieć mniej, niż wiedziałem; ale z panem chcę być zupełnie szczery.

Okolica moczarów jest bardzo rzadko zaludniona, dlatego też sąsiedzi pozostają w bliskich ze sobą stosunkach. Oto przyczyna mojej zażyłości z sir Charlesem Baskerville'em. Z wyjątkiem pana Franklanda w Lafter Hallu i pana Stapletona, przyrodnika, nie ma w promieniu wielu mil nikogo z ludzi wykształconych.

Sir Charles lubił samotność, ale choroba jego zbliżyła nas wzajemnie, a wspólne zainteresowania naukowe utrwaliły to zbliżenie. Ze swych podróży po Afryce Południowej przywiózł on dużo ciekawych wiadomości i spędziliśmy razem niejedną miłą wieczór, rozprawiając o anatomii Buszmenów i Hotentotów.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy dostrzegłem u sir Charlesa wzmagające się coraz bardziej rozdrażnienie nerwowe. Przejął się on do tego stopnia legendą, którą przeczytałem przed chwilą, że nic na świecie nie mogło go zmusić do wyjścia w nocy poza teren parku. Jakkolwiek wyda się to panu nieprawdopodobne, niemniej jednak sir Charles był święcie przekonany, iż okrutny los ciąży nad jego rodem, a kroniki rodzinne wiarę tę tylko wzmacniały.

Myśl o ciągłej obecności jakiegoś ducha ścigała go nieustannie. Często zapytywał mnie, czy podczas moich nocnych wizyt lekarskich nie dostrzegłem nigdy jakiejś niezwyklej postaci i czy nie słyszałem szczekania psa. Ostatnie pytanie zadawał mi niejednokrotnie, i to zawsze drżącym ze wzruszenia głosem.

Przypominam sobie doskonale drobny wypadek, który się zdarzył na kilka tygodni przed jego śmiercią. Zajechałem pewnego wieczoru przed zamek i zastałem

sir Charlesa na ganku. Zeskoczyłem z dwukółki i podszedłem do niego, by się przywitać, gdy naraz zauważyłem, że wpatruje się w coś za moimi plecami z wyrazem okropnego przerażenia. Odwróciłem się i dostrzegłem jeszcze na skrócie drogi coś nieokreślonego; zdawało mi się, że było to wielkie, czarne ciele.

Sir Charles był tym zjawiskiem tak wzburzony i zaniepokojony, że uważałem za swój obowiązek udać się na poszukiwanie zwierzęcia. Ale zniknęło bez śladu. Zdarzenie to wywarło na moim przyjacielu straszne wrażenie. Spędziłem z nim cały wieczór i wówczas, aby wyjaśnić mi swoje wzburzenie, powierzył mojej pieczy rękopis, który panu przeczytałem. Wspomniałem o tym drobnym zajściu dlatego tylko, że nabiera ono pewnego znaczenia ze względu na późniejszą tragedię; wtenczas nie przywiązywałem do niego żadnej wagi i uważałem, że wzburzenie mojego przyjaciela nie jest niczym usprawiedliwione.

Na skutek moich nalegań sir Charles postanowił wyjechać do Londynu. Wiedziałem, że ma wadę serca, a nieustający niepokój – choćby nawet bezpodstawny – oddziaływał ujemnie na jego zdrowie. Sądziłem, że kilkumiesięczny pobyt w Londynie i rozrywki miejskie wpłyną na niego uspokajająco, a pan Stapleton, nasz wspólny przyjaciel, podzielał moje zdanie. W ostatniej chwili przed wyjazdem nastąpiła ta straszna katastrofa.

Tej nocy, gdy zmarł sir Charles, Barrymbre, jego lokaj, przysłał po mnie chłopca stajennego Perkinsa, a ponieważ jeszcze nie spałem, w godzinę po wypadku byłem już w Baskerville Hallu.

Stwierdziłem osobiście wszystkie fakty wspomniane podczas śledztwa: zbadałem ślady kroków w alei cisowej, obejrzałem miejsce przy furtce, gdzie mój przyjaciel się zatrzymał, zauważyłem zmianę kształtu śladów poczynawszy od tego miejsca, widziałem, że poza nimi nie ma innych śladów prócz tych, które pozostawił Barrymore, potem zbadałem uważnie zwłoki, których przede mną, jeszcze nikt nie dotknął.

Sir Charles leżał twarzą do ziemi, ręce miał rozkrzyżowane, palce zaciśnięte kurczowo, a rysy tak wykrzywione, że nie odważyłbym się stwierdzić pod przysięgą jego tożsamości.

Na ciele nie znalazłem żadnych obrażeń. Wszelako na śledztwie Barrymore złożył jedno nieścisle zeznanie. Powiedział, że w sąsiedztwie zwłok nie było żadnych śladów. Nie widział ich. Ja jednak dostrzegłem... choć w pewnej odległości, lecz świeże i wyraźne.

- Ślady kroków?
- Tak, ślady kroków.
- Mężczyzny czy kobiety?

Doktor Mortimer spoglądał na nas przez chwilę szczególnym wzrokiem, po czym, szeptem niemal, odpowiedział:

- Panie Holmes, to były ślady łap olbrzymiego psa!

3. Problem

Przyznaję, że słowa te przejęły mnie dreszczem. Głos doktora Mortimera drżał także, znać było, że wzruszyło go jego własne opowiadanie.

Holmes pochylił się naprzód z błyskiem w oczach, który był dowodem żywego zainteresowania.

- Czy pan to naprawdę widział? – zapytał.
- Tak dokładnie, jak widzę pana w tej chwili.
- I nic pan o tym nie mówił?
- Dlaczegoż miałbym o tym mówić?
- Jak to się stało, że nikt poza panem tego nie zauważył?
- Ślady znajdowały się o jakieś dwadzieścia jardów⁴ od ciała i nikt nie zwrócił na nie uwagi. Gdybym nie znał tej legendy, pewno bym ich też nie dostrzegł.
- Czy na moczarach znajduje się dużo owczarków?
- Niewątpliwie, ale to nie był owczarek.
- Twierdzi pan, że pies był wielki?
- Olbrzymi!
- I że nie zbliżył się do ciała?
- Nie.
- A jaka była wtedy pogoda?
- Było wilgotno i zimno.
- Czy padał deszcz?
- Nie.
- Jak wygląda ta aleja cisowa?

⁴ Jard = 0,9143 m.

– Tworzy ją bardzo gęsty cisowy szpaler wysokości dwunastu stóp⁵. Środkiem biegnie dróżka szerokości ośmiu stóp. Po obu stronach dróżki rozciąga się trawnik szerokości sześciu stóp.

– Mówił pan, że w alei cisowej znajduje się furtka?

– Tak, prowadzi ona na moczary.

– A czy nie ma żadnego innego wyjścia?

– Żadnego.

– To znaczy, że do alei cisowej można się dostać tylko z domu lub przez furtkę?

– Można jeszcze wejść przez altanę zbudowaną przy końcu alei.

– Czy sir Charles doszedł aż do tego miejsca?

– Nie, znaleziono go o jakieś pięćdziesiąt jardów od altany.

– Teraz niech mi pan powie, doktorze, a jest to szczegół wielkiej wagi, czy ślady, jakie pan dostrzegł, znajdowały się na ścieżce czy na trawie?

– Na trawie ślady byłyby niewidoczne.

– Czy były one po tej samej stronie co furtka?

– Tak, i to na samym skraju ścieżki.

– Zaciekawia mnie pan niezmiernie. A czy furtka była zamknięta?

– Zamknięta na kłódkę.

– Jakiej wysokości jest ta furtka?

– Około czterech stóp.

– Więc można się przez nią przedostać?

– Z łatwością.

– Czy dostrzegł pan coś godnego uwagi przy furtce?

– Nic szczególnego.

– Na litość boską! Czy nikt tego miejsca nie badał?

– Badałem je osobiście.

– I nic pan nie odkrył?

– Sir Charles stał w tym miejscu od pięciu do dziesięciu minut.

– Z czego pan to wywnioskował?

– Zobaczyłem na ziemi popiół dwa razy strząśnięty z cygara.

– Doskonale – powiedział Holmes. – Watsonie, znaleźliśmy godnego nas kolegę... Ale jakie tam były ślady?

– Było dużo śladów sir Charlesa. Innych nie zauważyłem.

⁵ Stopa = 0,30 m.

Sherlock Holmes uderzył się niecierpliwie ręką po kolanie.

– Ach! Gdybym ja tam był! – zawołał. – Wypadek przedstawia się niezmiernie interesująco i daje szerokie pole do popisu specjalście w tej dziedzinie. Ślady na piasku, z których mógłbym tyle wyczytać, zatarł deszcz i buty ciekawych wieśniaków. Och! Doktorze, doktorze, dlaczego mnie pan wtedy nie wezwał? Zawinił pan bardzo!

– Nie mogłem wezwać pana nie wyjawiając tych wszystkich szczegółów, a podałem już powody, dla których wołałem milczeć. Zresztą... zresztą...

– Dlaczego się pan waha?

– Są okoliczności, w których najbardziej bystry i doświadczony detektyw nie poradzić nie może.

– Czy pan przypuszcza, że mamy do czynienia z czymś nadprzyrodzonym?

– Tego nie powiedziałem.

– Ale niewątpliwie tak pan myśli.

– Po tej tragedii opowiadano mi różne historie, które trudno jest uznać za naturalne zjawiska.

– Na przykład?

– Dowiedziałem się, że przed tą straszną nocą kilka osób widziało na moczarach zwierzę, będące jak gdyby wcieleniem złego ducha rodu Baskerville'ów. Zwierzę to nie da się zaliczyć do żadnego znanego gatunku. Wszyscy twierdzą zgodnie, że był to wielki potwór buchający ogniem, upiorny. Wypytywałem tych ludzi: parobka, kowala i farmera. Wszyscy jednakowo odmalowali złowrogie zjawisko, które dokładnie odpowiada opisowi piekielnego psa z legendy. Trwoga panuje w całej okolicy i tylko człowiek wielkiej odwagi ośmieliłby się zapuścić w nocy na moczary.

– A czy pan, jako człowiek nauki, wierzy, że istotnie zachodzi tu coś nadprzyrodzonego?

– Sam nie wiem, co mam o tym sądzić.

Holmes wzruszył ramionami.

– Dotychczas – rzekł – ograniczałem swoje badania do spraw ziemskich. W miarę moich skromnych możliwości walczyłem ze złem, ale wypowiedzenie walki piekielnym mocom byłoby zadaniem przerastającym moje ambicje. Musi pan jednak przyznać, że ślady były materialne.

– Ten dziwny pies był o tyle stworzeniem materialnym, że zdołał rozerwać gardło człowiekowi, a jednak pochodzenie jego jest piekielne.

– Widzę, że zalicza się pan już całkowicie w poczet ludzi wierzących w zjawiska

nadprzyrodzone... Teraz niech mi pan odpowie na jeszcze jedno pytanie: jeśli pan w to wierzy, dlaczego przyszedł pan do mnie po poradę? Mówi pan, iż nie należy badać przyczyn, które spowodowały śmierć sir Charlesa Baskerville'a, i jednocześnie prosi mnie pan, bym to uczynił.

– Nie, ja pana o to nie prosiłem.

– W jaki sposób więc mogę panu pomóc?

– Chciałem prosić, aby mi pan poradził, jak się mam zachować wobec sir Henry'ego Baskerville'a, który przybywa na dworzec Waterloo – tu doktor Mortimer wyjął zegarek – za godzinę i kwadrans.

– Czy to on jest spadkobiercą majątku?

– Tak. Po śmierci sir Charlesa poszukiwaliśmy tego młodego człowieka i dowiedzieliśmy się, że zajmował się rolnictwem w Kanadzie. Wiadomości zaczerpnięte o nim są najzupełniej zadowalające. W tej chwili mówię jako wykonawca testamentu sir Charlesa Baskerville'a.

– Czy nie ma innych spadkobierców?

– Nie, jedyny krewny, którego ślad odnaleziono, nazywał się Rodger Baskerville; był on młodszym bratem sir Charlesa. Drugi brat, który umarł młodo, pozostawił tylko jedyne go syna, Henryka. Rodgera uważano zawsze w rodzinie za parszywą owcę. Był on uosobieniem Baskerville'ów dawnego typu i – jak mnie zapewniano – żywym portretem owego Hugona. W Anglii grunt zaczął mu się palić pod nogami, uciekł więc do Ameryki Środkowej, gdzie umarł na żółtą febrę w 1876 roku. Sir Henry jest więc ostatnim potomkiem rodu Baskerville'ów. Za godzinę i pięć minut mam się z nim spotkać na dworcu Waterloo. Telegrafował do mnie z Southamptonu, że przyjechał dziś rano. Cóż więc mam czynić, panie Holmes?

– Dlaczegoż nowy spadkobierca nie miałby zamieszkać w siedzibie swoich przodków?

– Wydaje się to rzeczą zupełnie naturalną, nieprawdaż? Jednak trzeba sobie uprzytomnić, że wszyscy członkowie rodziny Baskerville'ów, którzy mieszkali w tym zamku, zginęli śmiercią gwałtowną. Mam to przekonanie, że gdyby sir Charles mógł być mówić ze mną przed śmiercią, byłby mi usilnie polecał, abym nie wprowadzał do tego nieszczęsnego domu ostatniego potomka jego rodu i spadkobiercy olbrzymiego majątku. Lecz z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że dobrobyt tej całej biednej okolicy zależy w dużej mierze od obecności sir Henry'ego; wszystkie ulepszenia, jakie wprowadził sir Charles, byłyby stracone bezpowrotnie, gdyby zamek stał pustką.

Przyszedłem więc prosić pana o zdanie i radę, gdyż lękam się, aby własny interes nie wpłynął na moją decyzję.

Holmes zastanawiał się przez chwilę, wreszcie rzekł:

– Mówiąc bez ogródek, uważa pan, że jakieś diabelskie moce czynią Dartmoor niebezpiecznym miejscem dla członka rodziny Baskerville'ów. Czy takie jest pańskie zdanie?

– Czyż nie ma do tego podstaw?

– Nie przeczę. Ale jeżeli pańska teoria o faktach nadprzyrodzonych jest prawdziwa, ten młodzieniec może podlegać tym wpływom tak samo w Londynie, jak i w Devonshire. Trudno sobie wyobrazić diabła, którego zakres władzy sięgałby tylko do granic jednej parafii.

– Zapatrywałby się pan, panie Holmes, poważniej na te zagadnienia, gdyby pan miał osobiście z nimi do czynienia. Uważa pan więc, że ten młodzieniec nie jest narażony na większe niebezpieczeństwo w Devonshire niż w Londynie... Przyjeżdża za pięćdziesiąt minut. Co mi pan radzi zrobić?

– Radzę panu wziąć powóz, zawołać swojego psa, który drapie do moich drzwi, i podążyć na spotkanie sir Henry'ego Baskerville'a na dworzec Waterloo.

– No, a potem?

– Potem nie powie mu pan nic, dopóki ja nie poweźmę decyzji w tej sprawie.

– Czy to długo potrwa?

– Dwadzieścia cztery godziny. Doktorze, bardzo proszę, żeby pan zechciał mnie odwiedzić jutro o dziesiątej rano. Byłoby wysoce wskazane, aby pan przyprowadził ze sobą sir Henry'ego.

– Nie omieszkam tego uczynić, panie Holmes.

Doktor Mortimer zapisał na mankiecie godzinę spotkania i wyszedł pośpiesznie, z wyrazem dziwnego roztargnienia na twarzy.

Holmes zatrzymał go na schodach.

– Jeszcze jedno pytanie, doktorze. Mówił pan, że przed śmiercią sir Charlesa Baskerville'a kilka osób widziało na moczarach to dziwne zjawisko.

– Tak, trzy osoby.

– A czy widziano je i później?

– Nie słyszałem o tym.

– Dziękuję panu. Do widzenia.

Holmes powrócił na fotel z wyrazem wewnętrznego zadowolenia, malującym

się na twarzy, co było oznaką, że ma przed sobą ciekawą robotę.

– Czy wychodzisz, Watsonie? – zapytał mnie.

– Tak, a może jestem ci potrzebny?

– Nie, kochany przyjacielu; pomoc twoja będzie mi potrzebna dopiero w chwili działania. Wiesz, że to wspaniała sprawa i pod niektórymi względami jedyna w swoim rodzaju. Jak będziesz przechodził koło sklepu Bradleya, powiedz, proszę, żeby mi przysłał funt najmocniejszego tytoniu. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś pozostawił mnie samego aż do wieczora. Jak wrócisz, porównamy nasze wrażenia o tej ciekawej zagadce, którą nam dał do rozwiązania Mortimer.

Wiedziałem, że samotność była konieczna dla mego przyjaciela w momentach koncentracji myślowej. Rozważał on wtedy każdy szczegół sprawy, budował różne teorie, zbijał je kolejno i segregował fakty według ich ważności.

Wobec tego spędziłem cały dzień w moim klubie i dopiero wieczorem wróciłem na Baker Street.

Dochodziła dziewiąta, gdy znalazłem się znów w gabinecie Sherlocka Holmesa. Gdy otworzyłem drzwi, zdawało mi się, że się pali, bo w pokoju było aż ciemno od dymu.

Gdy wszedłem, ochłonałem z przestachu, był to bowiem tylko dym tytoniowy, który zaczął mnie drapać w gardle wywołując nieprzyjemny kaszel.

Poprzez gęste obłoki dymu dostrzegłem Holmesa, z czarną fajką w zębach, otulonego w szlafrok i zagłębionego w ulubionym fotelu. Dookoła niego leżały zwoje papierów.

– Zaziębiłeś się, Watsonie? – zapytał.

– Nie, to ten trujący dym.

– A rzeczywiście, dym jest dość gęsty...

– Gęsty! Ależ tu nie można oddychać!

– No to otwórz okno. Założyłbym się, że cały ten czas przesiedziałeś w klubie.

– Mój kochany...

– Czy zgadłem?

– Naturalnie, ale jakim sposobem...

Holmes roześmiał się widząc moje zdumienie.

– Rozczulająca jest twoja naiwność – rzekł. – Zawsze sprawia mi przyjemność korzystanie z moich skromnych umiejętności dla zabawienia się twoim kosztem. Pomyśl tylko, pewien dżentelmen, który nie ma serdecznych przyjaciół, wychodzi

podczas deszczu i śoty, a wraca wieczorem mając nieskazitelnie lśniący cylinder i buty. Musiał zatem spędzić cały dzień pod dachem. Gdzie mógł być. Czy to nie jest jasne?

– Raczej tak.

– Na świecie jest dużo rzeczy jasnych, na które jednak nie zwraca się uwagi. A jak ci się zdaje, gdzie ja byłem?

– Zdaje mi się, że także nie ruszałeś się z miejsca.

– Mylisz się... byłem w Devonshire.

– Ale tylko myślami?

– Oczywiście, ciało moje nie ruszało się z tego fotela i wchłonęło bez współudziału mojej myśli, co stwierdzam z żalem, dwa duże dzbanki kawy i niezmierną ilość tytoniu. Po twoim odejściu posłałem do Stanforda po mapę tej części moczarów i duch mój błądził po nich cały dzień. Pochlebiam sobie, że mogłbym już tam teraz wędrować bez przewodnika.

– Czy jest to mapa o dużej skali?

– Bardzo dużej.

Holmes rozwinął jedną z map i rozłożył ją na kolanach.

– Oto obszar, o który nam chodzi – rzekł. – Tu pośrodku znajduje się Baskerville Hall.

– Okolony lasem?

– Tak. Jakkolwiek aleja cisowa nie jest określona żadną nazwą, przypuszczam, że biegnie ona wzdłuż tej linii, a moczary znajdują się po prawej stronie. Tu, ten szereg domów, to wioska Grimpen, gdzie mieszka nasz przyjaciel, doktor Mortimer. Widzisz, że w promieniu pięciu mil osiedla ludzkie są rzadko rozrzucone. Tu jest posiadłość Lafter Hall, o której wspomina stary rękopis. A ten oto dom należy pewnie do przyrodnika Stapletona, jeżeli dobrze pamiętam jego nazwisko. Wreszcie są tu dwie farmy: High Tor i Foulmire. O czternaście mil stamtąd wznosi się więzienie Princetown. Dookoła i pomiędzy tymi punktami ciągną się ponure i puste moczary. Tu właśnie rozegrał się dramat, który może uda nam się odtworzyć.

– To wygląda na bardzo dzikie miejsce.

– Tak, tło jest odpowiednie. Gdyby diabeł chciał się mieszać do ludzkich spraw...

– A więc i ty przypuszczasz, że istnieją jakieś potęgi nadprzyrodzone?

– A czyż diabeł nie może się posługiwać pomocnikami z krwi i kości? Od

początku dwa pytania nasuwają mi się na myśl: czy popełniono tu zbrodnię? oraz: jakiego to rodzaju zbrodnia i w jaki sposób ją popełniono? Jeżeli przypuszczenia doktora Mortimera, że mamy tu do czynienia z siłami nadprzyrodzonymi, są słuszne, to oczywiście zaniechamy dalszych badań. Ale musimy przeanalizować wszystkie inne hipotezy, zanim zatrzymamy się na tej ostatniej. Proszę, zamknij teraz okno. Może to dziwne uprzedzenie, ale wydaje mi się, że duszna atmosfera dopomaga do zebrania myśli; co prawda nie doszedłem jeszcze do tego, by izolować się całkowicie przy myśleniu, choć byłoby to logiczne z punktu widzenia moich zasad. No, a ty czy zastanawiałeś się nad tą sprawą?

– Myślałem o niej wiele w ciągu dnia.

– I jakie jest twoje zdanie?

– Że jest wyjątkowo zagmatwana.

– Rzeczywiście, ma swoisty charakter i tyle niezwykłych cech... Na przykład ta zmiana w śladach stóp. Jak to sobie tłumaczysz?

– Mortimer twierdzi, że sir Charles Baskerville szedł na palcach po tej części alei.

– Powtarza tylko zeznanie jakiegoś idioty w czasie śledztwa. Dlaczegożby Baskerville miał iść na palcach?

– A więc?

– On musiał biec, biec z rozpaczliwym wysiłkiem, biec, by ocalić swe życie, biec, dopóki nagły atak serca nie powalił go na ziemię.

– A dlaczego biegł?

– W tym właśnie tkwi zagadka. Z niektórych oznak wnoszę, że był już przerażony do najwyższego stopnia, zanim zaczął uciekać.

– Na czym opierasz ten wniosek?

– Przypuszczam, że powód jego przestraszenia znajdował się na moczarach. Wydaje mi się to prawdopodobne, gdyż tylko człowiek oszalały ze strachu może uciekać nie w stronę domu, lecz w stronę przeciwną. Jeżeli można wierzyć opowiadaniu Cygana, sir Charles biegł, wołając o pomoc, w kierunku, skąd najmniej mógł się spodziewać pomocy. A teraz pytanie, na kogo czekał tej nocy i dlaczego czekał w alei cisowej, a nie w domu?

– Czy sądzisz, że czekał na kogoś?

– Doktor Mortimer odmalował nam sir Charlesa Baskerville'a jako człowieka starego i niedołężnego. Można by jeszcze zrozumieć, że wyszedł wieczorem na spacer,

gdyby nie to, że wówczas było wilgotno i zimno; czy jest zatem prawdopodobne, aby sir Charles stał na jednym miejscu pięć czy dziesięć minut, jak to na podstawie popiołu z cygara wywnioskował znakomicie doktor Mortimer?

– Przecież sir Charles wychodził na spacer co wieczór.

– Nie wydaje mi się prawdopodobne, aby co wieczór czekał przy furcie prowadzącej na moczary. Przeciwnie, wszyscy zgodnie zeznają, że sir Charles unikał moczarów, a tej nocy znalazł się tam właśnie. Nazajutrz miał jechać do Londynu. Sprawa przedstawia się teraz jaśniej. Watsonie, czy mogę cię prosić o moje skrzypce? Odłóżmy dalsze rozważania nad tą sprawą do jutrzejszego spotkania z doktorem Mortimerem i sir Henry'm Baskerville'em.

4. Sir Henry Baskerville

Następnego ranka zjedliśmy śniadanie bardzo wczesnie i Sherlock Holmes oczekiwał w szlafroku na przybycie gości. Stawili się punktualnie – z wybiciem godziny dziesiątej ukazał się doktor Mortimer wraz z młodym baronetem.

Baronet miał około trzydziestu lat. Był to mężczyzna niskiego wzrostu, krępej budowy, o zwawych ruchach; piwne oczy bystro spoglądały spod krzaczastych brwi, co nadawało jego twarzy wyraz energii i zawziętości. Miał na sobie ubranie z rudawego tweedu. Ogorzała cera dowodziła, że spędzał większą część życia na świeżym powietrzu. Spokojny, a zarazem swobodny sposób bycia wskazywał, że jest to dżentelmen.

– Przedstawiam panom sir Henry'ego Baskerville'a – rzekł doktor Mortimer.

– Tak, to ja we własnej osobie – dodał młody człowiek. – A co dziwniejsze, panie Holmes, to fakt, że gdyby mój przyjaciel, doktor Mortimer, nie zaproponował mi złożenia panu wizyty dziś rano, byłbym sam przyszedł do pana. Jeśli się nie mylę, rozwiązuje pan różne łamigłówki, a ja dziś rano dostałem do rozwiązania taką, która przekracza moje możliwości.

– Proszę, niech pan spocznie, sir Henry – rzekł Holmes. – Czy chce pan przez to powiedzieć, że miał pan jakąś niezwykłą przygodę po przyjeździe do Londynu?

– Nic ważnego. Wygląda mi to raczej na żart. Oto list, jeśli to, co otrzymałem dziś rano, można nazwać listem.

Sir Henry położył kopertę na stole.

Zbliżyliśmy się wszyscy, by się jej lepiej przyjrzeć.

Była to pospolita szara koperta. Adres napisany niewprawną ręką brzmiał:

“Sir Henry Baskerville, hotel Northumberland.”

Na kopercie był stempel pocztowy “Charing Cross” i data z dnia poprzedniego.

– Czy ktoś wiedział, że pan się zatrzyma w hotelu Northumberland? – zapytał Holmes patrząc uważnie na gościa.

– Nie, nikt nie mógł tego wiedzieć, gdyż zdecydowałem się na ten hotel dopiero po spotkaniu z doktorem Mortimerem.

– Zapewne doktor Mortimer tam się zatrzymał?

– Nie, ja mieszkam u znajomych – odpowiedział doktor – nie można więc było przewidzieć, że udamy się do tego hotelu.

– Hm! – mruknął Sherlock Holmes. – Zdaje mi się, że ktoś bardzo się interesuje pańską osobą.

Holmes wyjął z koperty pół arkusza papieru złożonego we czworo.

Rozłożył papier na stole; na środku arkusza znajdowało się tylko jedno zdanie, ułożone z naklejonych wydrukowanych słów. Zdanie to brzmiało:

“Jeśli cenisz swoje życie, trzymaj się z dala od moczarów.”

Jeden tylko wyraz: “moczarów”, napisany był atramentem.

– Może mnie pan objaśni, panie Holmes – zapytał sir Henry Baskerville – co to wszystko znaczy i kto może się mną tak żywo interesować?

– Co pan myśli o tym, doktorze? Musi pan przyznać, że nie ma w tym nic nadprzyrodzonego.

– Nie przeczę. Ale czy tej przestrogi nie mógł przesłać ktoś, kto jest przekonany, że jednak jest w tym coś nadprzyrodzonego.

– W czym? – zapytał żywo sir Henry. – Zdaje mi się, że panowie znacie lepiej ode mnie moje sprawy.

– Zanim pan wyjdzie z tego pokoju – odpowiedział Sherlock Holmes – będzie pan wiedział to wszystko, co i my. Przyrzekam to panu. A teraz, jeżeli pan pozwoli, zajmiemy się tym ciekawym dokumentem. Został on niewątpliwie zredagowany i wysłany wczoraj wieczorem. Czy masz, Watsonie, wczorajszego “Timesa?”

– Leży na stole.

– Podaj mi go, proszę, chcę przejrzeć artykuły redakcyjne. Holmes szybko przebiegł wzrokiem po kolumnach.

– Jest tu świetny artykuł o wolnym handlu – rzekł. – Pozwólcie, że wam

przeczytam urywek: “Na podstawie wiadomości, krążących obecnie, możesz sobie wyobrazić, że twoje własne przedsiębiorstwo handlowe czy też przemysłowe zyska przez wprowadzenie ceł ochronnych. Trzymaj się jednak z dala od takich poglądów i nie zgadzaj się na tego rodzaju ustawy i zarządzenia, jeśli cenisz ogólny dobrobyt kraju, a tym samym i swoje spokojne życie.”

– Jakie jest twoje zdanie o tym artykule, Watsonie? – zawołał wesoło Holmes, zacierając ręce z widocznym zadowoleniem.

Doktor Mortimer spojrział na Holmesa z zainteresowaniem, a sir Henry utkwiał we mnie wzrok pełen zdumienia.

– Nie znam się na cłach i temu podobnych rzeczach – rzekł sir Henry. – Ale wydaje mi się, że odbiegliśmy nieco od tematu.

– Przeciwnie, sir Henry, nie odbiegliśmy ani trochę. Watson zna lepiej od pana moje metody, ale obawiam się, że nawet on nie zrozumiał, o co mi chodzi w przytoczonym ustępie.

– Przyznaję – odparłem – nie widzę żadnego związku.

– A jednak, mój drogi, istnieje bardzo ścisły związek: “Trzymaj się”, “z dala od”, “jeśli cenisz”, “swoje” “życie”. Czy nie rozumiesz teraz, skąd pochodzą te słowa?

– Do licha! Ma pan rację! – zawołał sir Henry. – Ależ pan to wspaniale rozwiązał!

– Gdyby nawet istniały jeszcze jakieś wątpliwości – ciągnął dalej Holmes – to przekreśla je fakt, że wyrazy “trzymaj się” i “jeśli cenisz” są wycięte w jednym kawałku.

– Doprawdy, panie Holmes, to mi się nie mieści w głowie – rzekł doktor Mortimer, spoglądając ze zdumieniem na mego przyjaciela. – Domyślić się, że zdanie jest wycięte z gazety, nietrudno, ale wiedzieć, z jakiej gazety, a nawet z jakiego artykułu, to jest godne podziwu! Jakim sposobem pan to odgadł?

– Przypuszczam, doktorze, że potrafi pan odróżnić czaszkę Murzyna od czaszki Eskimosa?

– Naturalnie, że potrafię.

– Ale w jaki sposób?

– Przecież to moja specjalność. Różnice są tak wielkie, że same rzucają się w oczy. Kość czołowa, kąt twarzowy, krzywa szczękowa i...

– A to znów dotyczy mojej specjalności: różnica między drukiem “Timesa” a drukiem jakiejś marnej gazety jest dla mnie równie oczywista, jak dla pana różnica

między Murzynem a Eskimosem. Znajomość czcionek drukarskich jest jedną z podstawowych umiejętności specjalisty od spraw kryminalnych. Przyznaję, że gdy byłem jeszcze bardzo młody, zdarzyło mi się raz pomylić "Leeds Mercury" z "Western Morning News". Ale druk artykułów redakcyjnych "Timesa" jest tak charakterystyczny, że pomyłka jest wykluczona: wyrazy te nie mogły być wycięte z żadnej innej gazety. Ponieważ zrobiono to wczoraj, szukałem zatem w numerze wczorajszym.

– Więc ktoś wyciął te słowa nożyczkami? – zapytał sir Henry Baskerville.

– Tak, nożyczkami od paznokci – potwierdził Holmes. – Ostrze ich musiało być bardzo krótkie, gdyż znać dwa cięcia przy wyrazach: "Trzymaj się" i , jeśli cenisz".

– Słusznie. Więc ktoś wycinał te słowa małymi nożyczkami i następnie przylepiał je klejem.

– Nie, gumą arabską – poprawił Holmes.

– No, niech będzie gumą – powtórzył sir Henry. – Ale niech mi pan wytłumaczy, dlaczego słowo "moczarów" jest napisane atramentem?

– Dlatego że tego słowa nie ma w artykule. Inne spotkać można w każdej gazecie, ale wyrazu "moczarów" niełatwo znaleźć.

– Tak, to wyjaśnia dużo, panie Holmes. Czy ten list nie nasuwa panu czegoś jeszcze?

– Nasuwa mi się parę wskazówek, choć autor zadał sobie dużo trudu, aby zatrzeć wszelkie ślady. Na przykład adres napisany jest koślawymi literami, a przecież wiemy, że "Timesa" czytają tylko ludzie wykształceni. Z tego można wywnioskować, że list układał człowiek wykształcony, który pragnął uchodzić za prostaka. Następnie zmieniony charakter pisma nasuwa myśl, że albo pan zna charakter tego pisma, albo wkrótce go pan pozna. Poza tym niech pan zwróci uwagę na to, że wyrazy nie są równo naklejone, lecz jedno wyżej, drugie niżej i tak: "życie" wyskakuje z linii. Może to świadczyć o niedbalstwie lub pośpiechu autora. Skłaniam się do przypuszczenia, że w grę wchodził pośpiech, gdyż sprawa była niewątpliwie ważna i autor musiał układać starannie taki list. A skoro chodziło o pośpiech, to nasuwa się pytanie: dlaczego? Przecież list wrzucony wczoraj wieczorem czy nawet w nocy powinien był dojść do rąk sir Henry'ego przed jego wyjściem z hotelu. Czyżby autor obawiał się, aby mu ktoś nie przeszkodził? Ale kto?

– Wchodzimy teraz w dziedzinę domysłów – odezwał się doktor Mortimer.

– Powiedzmy raczej: w dziedzinę rozważań nad wyborem najbardziej

prawdopodobnej hipotezy. Jest to naukowe wykorzystanie wyobraźni, przy czym mamy zawsze jakiś fakt, na którym możemy opierać nasze domysły. Może pan to nazwie zgadywaniem, ale jestem prawie pewien, że list był pisany w hotelu.

– Jakim cudem pan to wywnioskował? – zawołał Mortimer.

– Jeśli się pan uważnie przyjrzy, to przekona się pan, że pióro i atrament pozostawiały wiele do życzenia. Pióro zacięło się dwukrotnie przy jednym wyrazie, a atramentu zabrakło trzy razy w czasie pisania tak krótkiego adresu. Zatem pióro było zużyte, a w kałamarzu brakowało atramentu. Pióro zaś i kałamarz w mieszkaniu prywatnym rzadko znajdują się w takim zaniedbaniu. Natomiast pióra i kałamarze w hotelach zna pan zapewne dobrze... Toteż nie waham się powiedzieć, że gdybyśmy mogli przetrząsnąć kosze do – papierów w hotelach w pobliżu Charing Cross – i znaleźć pocięty numer "Timesa", to schwytałibyśmy autora tego dziwnego ostrzeżenia. No, no... a to co znowu?

Holmes przysunął arkusz papieru do oczu i pilnie mu się przyglądał.

– Co takiego? – zapytałem go.

– Nic – odparł rzucając list. – Papier ten nie ma żadnego wodnego znaku. Zdaje mi się, że wysnuliśmy z tego listu wszystko, co było można. Teraz, sir Henry, niech pan nam powie, czy nic ciekawego nie wydarzyło się panu od chwili przybycia do Londynu?

– Nie, panie Holmes... Nie wydaje mi się.

– Czy nie zauważył pan, że ktoś pana śledzi?

– Zdaje mi się, że zostałem bohaterem jakiejś brukowej powieści – odpowiedział sir Henry.

– Dlaczego, do licha, miałby mnie ktoś śledzić?

– Zaraz się tym zajmimy. Czy nie ma pan nam nic więcej do powiedzenia?

– Nie wiem, co pana może interesować.

– Wszystko to, co wykracza poza normalny tryb życia.

Sir Henry uśmiechnął się.

– Nie znam, jeszcze zwyczajów angielskich – powiedział – gdyż większą część życia spędziłem w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. Ale mam nadzieję, że strata jednego buta nie należy do normalnych zdarzeń w Anglii.

– Zgubił pan jeden but?

– Ależ, drogi panie – zawołał doktor Mortimer – pański but pewnie się gdzieś zapodział. Znajdzie go pan po powrocie do hotelu. Czy warto nudzić pana Holmesa

takimi drobiazgami?

– Pan Holmes pytał mnie o wszystko, co mi się wydarzyło – odparł sir Henry.

– Tak, choćby to nawet było błahe – rzekł Holmes. – A więc zgubił pan jeden but?

– W każdym razie zapodział mi się. Wczoraj wieczorem wystawiłem buty przed drzwiami mego pokoju, a dziś rano znalazłem tylko jeden. Pytałem chłopca hotelowego, lecz ten nie umiał mi dać żadnego wyjaśnienia. A co gorsza, kupiłem te buty dopiero wczoraj i nie miałem ich jeszcze na nogach.

– Jeśli pan w nich nie chodził, dlaczego wystawił je pan do czyszczenia?

– Żółta skóra nie miała połysku; chciałem, żeby go nabrała.

– Wczoraj więc, po przyjeździe do Londynu, wyszedł pan natychmiast na miasto i kupił parę butów?

– Kupowałem jeszcze inne rzeczy... Doktor Mortimer towarzyszył mi. Do licha! Jeśli mam grać rolę wielkiego pana, muszę być odpowiednio ubrany... Na Dalekim Zachodzie nie dbałem tak o swoją powierzchowność... Robiąc inne sprawunki kupiłem także i te żółte buty, zapłaciłem za nie sześć dolarów i skradziono mi jeden, zanim je włożyłem na nogi.

– Nie pojmuję, w jakim celu popełniono by taką bezużyteczną kradzież – rzekł Holmes. – Podzielam zdanie doktora Mortimera, że but znajdzie się wkrótce.

– Zdaje mi się, panowie – rzekł stanowczo baronet – że powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. Nadeszła chwila, żebyście zgodnie z obietnicą wyjaśnili mi, o co tu w ogóle chodzi.

– Życzenie pańskie jest słuszne odpowiedział Sherlock Holmes. – Doktorze, najlepiej będzie, jeśli pan opowie jeszcze raz całą historię.

Nasz przyjaciel, zachęcony w ten sposób, wyjął z kieszeni, papiery i przedstawił całą sprawę tak, jak to uczynił poprzedniego dnia. Sir Henry Baskerville słuchał go z największą uwagą. Od czasu do czasu mimowolny okrzyk zdumienia wyrwał mu się z piersi. Gdy doktor Mortimer zamilkł, baronet zawołał:

– Odziedziczyłem zatem przekłętą spuściznę. Tak, od dzieciństwa słyszałem o tym psie. Była to legenda opowiadana w naszej rodzinie, ale nigdy nie brałem jej poważnie. Co zaś do śmierci mojego stryja... wszystko płącze mi się w głowie i nic z tego nie rozumiem. Zdaje mi się, że pan sam jeszcze nie wie, czy ta sprawa wymaga policji czy kapłana.

– Rzeczywiście, ma pan rację.

– Następnie list przysłany do hotelu. Przypuszczam, że ma on jakiś związek z tą sprawą.

– Wydaje mi się, że ktoś wie lepiej od nas, co się dzieje na moczarach – rzekł doktor Mortimer.

– I że ten ktoś jest panu życzliwy, ponieważ ostrzega pana o niebezpieczeństwie – dodał Holmes.

– Albo że ktoś chce mnie odstraszyć.

– To też jest możliwe. Jestem panu bardzo wdzięczny, doktorze, że dał mi pan do rozwiązania problem, który nasuwa tyle ciekawych możliwości. Teraz, sir Henry, pozostaje nam tylko jedna kwestia do rozstrzygnięcia: czy wskazane jest, aby się pan udał do Baskerville Hallu.

– Dlaczegoż miałbym nie jechać?

– Bo tam może grozić panu niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo pochodzące od złego ducha prześladującego moją rodzinę czy też od złych ludzi?

– To właśnie musimy wyjaśnić.

– Jakikolwiek jest zdanie panów, ja już powziąłem decyzję. Panie Holmes, nie istnieje w piekle taki diabeł ani na ziemi taki człowiek, który by mi mógł przeszkodzić w powrocie do siedziby moich przodków. Oto jest moje ostatnie słowo.

Mówiąc to, zmarszczył swe czarne brwi i zaczerwienił się mocno. Ostatni potomek Baskerville'ów odziedziczył widocznie gwałtowny temperament swoich przodków.

– Muszę zastanowić się nieco dłużej nad tym, co mi pan powiedział – rzekł po chwili. – Niepodobna tak od razu zrozumieć wszystko i powziąć postanowienie. Chciałbym mieć chwilę spokoju dla przemyślenia tej sprawy. Panie Holmes, teraz jest wpół do dwunastej i ja wracam prosto do hotelu. Może zechce pan wraz z doktorem Watsonem przyjść do mnie o drugiej i zjeść z nami drugie śniadanie? Sądzę, że wytworzę sobie do tego czasu jaśniejsze pojęcie o tym wszystkim.

– Czy to ci odpowiada, Watsonie?

– Najzupełniej.

– W takim razie przyjmujemy zaproszenie. Czy posłać po fiakra?

– Nie, dziękuję, wolę się przejść, ponieważ jestem trochę zdenerwowany.

– Będę panu z przyjemnością towarzyszył – odezwał się doktor Mortimer.

– A więc spotykamy się o drugiej. Do widzenia. Usłyszeliśmy odgłos kroków

naszych gości na schodach i trzaśnięcie drzwi wejściowych. Błyskawicznie z ospałego marzyciela Holmes zamienił się w człowieka czynu.

– Wkładaj buty i kapelusz, Watsonie, szybko! Nie ma ani chwili do stracenia!

Wpadł w szlafroku do swego pokoju i w kilka sekund później powrócił w surducie. Zbiegliśmy ze schodów i wypadliśmy na ulicę. Doktor Mortimer i Baskerville szli o jakieś dwieście metrów przed nami, w kierunku Oxford Street.

– Czy mam ich dogonić i zatrzymać? – spytałem.

– Ani mi się waż! Twoje towarzystwo wystarczy najzupełniej, jeśli ty zadowolisz się moim. Ci panowie mieli słuszość, ranek dzisiejszy jest wyśmienity na przechadzkę.

Przyśpieszył kroku, tak że niebawem odległość, dzieląca nas od tamtych panów, zmniejszyła się o połowę, po czym, pozostając już o jakieś sto metrów w tyle, szliśmy za nimi przez Oxford Street, a później po Regent Street. Raz doktor Mortimer i Baskerville zatrzymali się przed jakąś wystawą sklepową, a Holmes uczynił to samo. W chwilę później wydał stłumiony okrzyk radości. Śledząc kierunek jego badawczego wzroku, spostrzegłem karetę z jakimś pasażerem, która stała po przeciwnej stronie ulicy i teraz ruszyła znów wolno dalej.

– Mamy go, Watsonie! Chodź prędko. Przyjrzyjmy mu się przynajmniej, jeżeli nic więcej nie będziemy mogli zrobić.

W przelocie dostrzegłem gęstą, czarną brodę i parę przenikliwych oczu, spoglądających na nas przez boczne okno karety. W tejże chwili otworzyło się okienko w dachu, przez które pasażer porozumiewa się z dorożkarzem, jadący krzyknął mu coś i kareta potoczyła się szybko po Regent Street. Holmes obejrzał się bacznie dokoła, lecz w pobliżu nie było żadnego wolnego pojazdu. Puścił się tedy dzikim pędem wśród ruchu ulicznego, ale odległość była tak wielka, że kareta znikła nam z oczu.

– Do licha! – zaklął Holmes, gdy wy dostał się zadyszany i blady ze złości spomiędzy szeregu pojazdów. – Co za pech i co za niedołęstwo! Watsonie, Watsonie, jeżeli jesteś uczciwym człowiekiem, zapamiętaj to i zapisz na rachunek moich niepowodzeń.

– Kto to był?

– Nie mam pojęcia.

– Jakiś szpieg?

– Sądząc z tego, cośmy słyszeli, nie ulega wątpliwości, że od chwili przyjazdu Baskerville jest pilnie przez kogoś śledzony. Inaczej skąd by wiedziano od razu, że

zamieszkał w hotelu Northumberland? Jeśli śledzono go pierwszego dnia, wywnioskowałem, że będą go śledzić także i następnego. Zauważyłeś pewnie, że gdy doktor Mortimer czytał swoją opowieść, zbliżyłem się dwukrotnie do okna.

– Tak, przypominam sobie.

– Patrzyłem, czy kto nie chodzi przed domem, ale nie spostrzegłem nikogo. Słuchaj, mamy do czynienia z mądrym człowiekiem. Sprawa jest poważna, a jakkolwiek nie jestem pewien, jakie intencje wchodzi tu w grę, przyjazne czy wrogie, niemniej zdaję sobie sprawę, że działa tu jakaś ukryta siła w określonym celu. Gdy przyjaciele nasi wyszli od nas, udałem się za nimi, chcąc wykryć ich niewidzialnego opiekuna. Człowiek ten jest tak przebiegły, że nie szedł pieszo, lecz wsiadł w dorożkę, aby śledzić ich niepostrzeżenie. Miało to tę dobrą stronę, że gdyby wynajęli kareta, mógłby ich śledzić bez trudu. Miało to jednak i swoją słabą stronę...

– Że uzależniało tego jegomościa od dorożkarza?

– Właśnie.

– Co za szkoda, że nie zauważyliśmy jego numeru.

– Mój drogi, nie sądzisz chyba, abym aż tak dalece pokpił sprawę: kareta miała numer 2704. Ale na razie jest on nam niepotrzebny.

– Nie wyobrażam sobie, co mogłeś zrobić więcej.

– Gdy zauważyłem naszego nieznanego, trzeba było niezwłocznie zawrócić i iść w przeciwnym kierunku. Wtedy znalazłbym z pewnością jakiś pojazd i mógłbym pojechać za tamtym w odpowiedniej odległości lub też, co byłoby jeszcze lepiej, pojechać od razu do hotelu Northumberland i tam zaczekać. Gdyby się okazało, że nasz znajomy śledzi Baskerville'a, to mogliśmy odwzajemnić się śledząc go sami. Tymczasem, przez naszą zbyt gorliwość, z której przeciwnik nasz umiał skorzystać z rzadką szybkością i energią, zdradziliśmy się i straciliśmy go z oczu.

Rozmawiając szliśmy wolno po Regent Street, a doktor Mortimer i jego towarzysze dawno zniknęli w tłumie.

– Dalsze śledzenie ich nie ma celu – rzekł Holmes. – Szpieg znikł i już nie powróci. Musimy zobaczyć, jakie karty mamy w ręku, i dobrze je rozegrać. Czy poznałbyś człowieka, który siedział w dorożce?

– Poznałbym go tylko po brodzie.

– I ja również... Sądzę wobec tego, że według wszelkiego prawdopodobieństwa była fałszywa. Człowiek sprytny, spełniający zadanie tak drażliwej natury, nosi brodę jedynie w celu ukrycia rysów twarzy. Wejdzmy tutaj, Watsonie!

Holmes wszedł do biura posłańców, gdzie kierownik powitał go z wielką uprzejmością.

– A! Pan Wilson... – powiedział Holmes. – Widzę, że nie zapomniał pan tej drobnej przysługi, jaką kiedyś panu wyświadczyłem.

– Nie, proszę pana, i nie zapomnę nigdy. Ocalił mi pan wtedy honor, a może i życie.

– Przesadza pan, mój drogi. O ile sobie przypominam, panie Wilson, miał pan u siebie chłopca nazwiskiem Cartwright, który w toku śledztwa złożył dowody niemałego sprytu.

– Tak, proszę pana, jest jeszcze u nas.

– Czy może go pan tu zawołać? Dziękuję! Prosiłbym także, żeby mi pan zmienił ten pięcioletni banknot na drobne.

Czternastoletni chłopiec o bystrej, sprytniej twarzy zjawił się na wezwanie kierownika. Stał przed Holmesem spoglądając z wielkim szacunkiem na słynnego detektywa.

– Daj mi przewodnik hotelowy, Cartwright, masz tutaj nazwy dwudziestu trzech hoteli, położonych w bezpośrednim sąsiedztwie Charing Cross. Widzisz?

– Tak jest, proszę pana.

– Zwiedzisz je wszystkie po kolei.

– Tak jest, proszę pana.

– Zacziesz od tego, że każdemu portierowi dasz szylinga. Masz tu dwadzieścia trzy szylingi.

– Dobrze, proszę pana.

– Zażądasz od każdego z nich, żeby ci dał do przejrzania kosz z papierami z dnia poprzedniego. Powiesz, że zanośniono ważny telegram pod niewłaściwy adres i że masz polecenie go odnaleźć. Rozumiesz?

– Rozumiem, proszę pana.

– Naprawdę jednak będziesz szukać środkowej strony "Timesa", powycinanej nożyczkami. Masz tu ten sam numer, a oto stronica, o którą mi chodzi. Poznasz ją z łatwością, co?

– Poznam, proszę pana.

– W każdym hotelu portier odeśle cię do woźnego, któremu również dasz szylinga. Masz tu znów dwadzieścia trzy szylingi. Być może, że dwudziestu hotelach na dwadzieścia trzy powiedzą ci, że śmieci z koszów zostały już spalone lub

wyrzucone. W trzech pozostałych pokażą ci stos papierów i tam będziesz szukał stronicy "Timesa". Prawdopodobieństwo, że ją znajdziesz, jest bardzo małe. Na wszelki wypadek masz tu jeszcze dziesięć szylingów na nieprzewidziane wydatki. Doniesiesz mi telegraficznie przed wieczorem, jak ci się udało. A teraz, Watsonie, musimy, również telegraficznie, stwierdzić tożsamość dorożkarza nr 2704, po czym wstąpimy do którejkolwiek galerii obrazów na Bond Street, aby wypełnić czas do śniadania.

5. Trzy zerwane nici

Sherlock Holmes posiadał w wysokim stopniu umiejętność odrywania się od spraw bieżących. Na dwie godziny ta niezwykła sprawa, w którą zostaliśmy wplątani, poszła w zapomnienie, a Holmes pogрузił się całkowicie w sztukę, oglądając dzieła współczesnych malarzy belgijskich. Nie chciał mówić o niczym innym poza malarstwem, na którym zresztą nie znał się zbyt dobrze, dopóki nie znaleźliśmy się w hotelu Northumberland.

– Sir Henry Baskerville czeka na panów u siebie – rzekł portier. – Poleciał mi, abym panów niezwłocznie skierował na górę.

– Czy pan pozwoli mi zajrzeć do rejestru gości? – spytał Holmes.

– Proszę bardzo.

Z rejestru wynikało, że po nazwisku Baskerville'a figurowały jeszcze dwa nazwiska nowych gości: Teofil Johnson z rodziną z Newcastle i pani Oldmore z pokojówką z High Lodge, Alton.

– Wydaje mi się, że znam tego Johnsona – zwrócił się Holmes do portiera. – Czy to nie jest siwy, kulejący adwokat?

– Nie, proszę pana, ten pan Johnson jest właścicielem kopalni węgla, bardzo energiczny człowiek w pańskim wieku.

– Myli się pan chyba co do jego zawodu.

– Nie, proszę pana; od szeregu lat staję w naszym hotelu, więc znamy go wszyscy bardzo dobrze.

– Ha, to co innego. A pani Oldmore? Zdaje mi się, że i to nazwisko nie jest mi obce. Proszę wybaczyć moją ciekawość, ale często, odwiedzając jednego znajomego, natrafiamy na innych.

– Pani Oldmore jest osobą starszą i niedołężną. Mąż jej był kiedyś burmistrzem miasta Gloucester. Ilekroć przyjeżdża do Londynu, zawsze zatrzymuje się u nas.

– Dziękuję za objaśnienia. Zdaje mi się, że nie mogę rościć pretensji do tej znajomości.

Wchodząc na schody, Holmes mówił do mnie przyciszonym głosem:

– Stwierdziliśmy tymi pytaniami bardzo ważny fakt. Wiemy teraz, że osoby, interesujące się naszym przyjacielem, nie zamieszkały w tym hotelu. Dowodzi to, że jakkolwiek śledzą go bacznie, o czym mieliśmy sposobność się przekonać, równie pilnie dbają o to, by ich nie zauważono. Okoliczność ta daje dużo do myślenia.

– Co mianowicie?

– Podsuwa myśl... a to co? Co tu się dzieje, u licha?

Na skrócie korytarza hotelowego wpadliśmy na sir Henry'ego Baskerville'a we własnej osobie. Twarz miał zaczerwienioną z gniewu, a w ręku trzymał jakiś stary i zakurzony but. Był tak wściekły, że minęła dobra chwila, zanim zdołał wydobyć głos, a gdy się odezwał, mówił z wyraźniejszym jeszcze niż z rana akcentem amerykańskim.

– Zdaje mi się, że sobie drwią ze mnie w tym hotelu! – krzyczał. – Ale niech się strzegą, bo pożałują! Do pioruna! Jeśli chłopak nie znajdzie buta, który mi zginął, narobię takiego piekła, że mnie popamiętają! Znam się na żartach, panie Holmes, ale tym razem przeholowali trochę.

– Czy nadal szuka pan swego buta?

– Szukam i mam zamiar go odnaleźć.

– Ale przecież mówił pan, że but, który panu zginął, był nowy i żółty?

– Tak, a teraz znów zginął mi stary czarny.

– Niemożliwe! Czyżby?...

– A właśnie. Miałem tylko trzy pary: nowe żółte, stare czarne i te, które mam na nogach. Wczoraj wieczorem zabrali mi jeden żółty, a dzisiaj rano skradli mi znów jeden czarny. I cóż, znaleźliście? Mów, człowieku, zamiast stać i gapić się na mnie!

Te ostatnie słowa skierowane były do służącego, Niemca, który zjawił się przed chwilą.

– Nie, proszę pana, pytałem w całym hotelu, ale nikt nic o tym nie wie.

– Albo but znajdzie się do wieczora, albo wyprowadzam się z tego hotelu.

– Znajdzie się... przyrzekam panu, że się znajdzie, proszę tylko o trochę cierpliwości.

– No, pamiętajcie! Nie dam się więcej okradać w tej złodziejskiej norze. Panie

Holmes, proszę mi wybaczyć, że zajmuję pana takimi głupstwami.

– Myli się pan, to wcale nie są głupstwa.

– Czyżby pan to traktował poważnie?

– A jak pan to sobie tłumaczy?

– Nie usiłuję wcale tłumaczyć sobie tego wszystkiego. Faktem jest, że nie zdarzyło mi się jeszcze dotąd nic równie głupiego i dziwnego.

– Powiedzmy: dziwnego – rzekł Holmes zamyślony.

– A co pan o tym sądzi?

– Jak dotąd, nic jeszcze nie rozumiem. Sprawa pańska, sir Henry, jest bardzo skomplikowana. Jeśli się jeszcze weźmie pod uwagę śmierć stryja pańskiego, to sądzę, że wśród pięciuset ważniejszych spraw, jakimi się zajmowałem, nie było ani jednej tak zagadkowej. Ale mam w ręku kilka nici, a z tych jedna niewątpliwie naprowadzi nas na drogę prawdy. Stracimy może nieco czasu idąc najpierw fałszywym śladem, ale wcześniej czy później trafimy na właściwy.

Podczas śniadania mówiliśmy niewiele o sprawie, która nas zgromadziła. Dopiero gdy przeszliśmy do pokoju Baskerville'a, Holmes zapytał, jakie są jego zamiary.

– Jadę do Baskerville Hallu.

– Kiedy?

– W końcu tygodnia.

– Zdaje mi się – rzekł Holmes – że decyzja pana jest rozsądna. Mam dość na to dowodów, że jest pan śledzony w Londynie, a wśród milionów mieszkańców tego miasta trudno jest wykryć, kto pana śledzi i w jakim celu. Jeśli ten ktoś ma złe zamiary, może panu wyrządzić krzywdę, a my nie będziemy mogli temu zapobiec. Czy zauważył pan, doktorze, że ktoś śledził panów dzisiaj rano, gdy wyszliście ode mnie?

Doktor Mortimer poruszył się gwałtownie.

– Śledził nas! Któż taki?

– Niestety, tego nie umiem panu powiedzieć. Czy któryś z sąsiadów lub znajomych pana w Dartmoor nosi dużą, czarną brodę?

– Nie... a może jednak... tak, tak, Barrymore, lokaj sir Charlesa ma czarną brodę.

– A!... Gdzie jest ten Barrymore?

– Powierzono mu pieczę nad zamkiem.

– Należy się upewnić, czy jest tam istotnie, czy też może przybył niespodzianie

do Londynu.

– Jakże pan to stwierdzi?

– Proszę o blankiet telegraficzny... “Czy wszystko gotowe na przyjęcie sir Henry'ego?... To wystarczy. Trzeba zaadresować depeszę do pana Barrymore'a w Baskerville Hallu. Jaki jest tam najbliższy urząd pocztowy? Grimpen... dobrze. Do kierownika poczty w Grimpen wyślemy drugą depeszę takiej treści: “Depeszę do pana Barrymore'a doręczyć mu do rąk własnych. Jeśli jest nieobecny, zwrócić ją sir Henry'emu Baskerville'owi, hotel Northumberland”. W ten sposób przed wieczorem jeszcze dowiemy się, czy Barrymore jest na miejscu w Devonshire.

– Wyśmienicie – odezwał się Baskerville. – Ale, ale, doktorze, kim jest właściwie ten Barrymore?

– To syn nie żyjącego już dozorca zamkowego. Barrymore'owie od czterech pokoleń służą rodzinie Baskerville'ów. O ile wiem, lokaj sir Charlesa i jego żona są ludźmi bardzo uczciwymi.

– Niemniej jednak – rzekł Baskerville – faktem jest, że dopóki nikt z rodziny nie mieszka w zamku, ci ludzie żyją wspaniale i nic nie robią.

– To prawda.

– Czy sir Charles zapisał coś w testamencie Barrymore'owi? – spytał Holmes.

– Zarówno on, jak i jego żona otrzymali po pięćset funtów szterlingów.

– A... Czy wiedzieli o tym zapisie?

– Wiedzieli; sir Charles lubił opowiadać, jak rozporządził w testamencie swoim majątkiem.

– To ciekawe.

– Spodziewam się – rzekł doktor Mortimer – że nie wszyscy obdarzeni legatami przez sir Charlesa wydadzą się panu podejrzani. I mnie bowiem zapisał tysiąc funtów.

– Doprawdy! I komuż jeszcze?

– Drobne kwoty różnym osobom, nadto zostawił znaczne sumy na cele dobroczynne, reszta zaś przypadła w udziale sir Henry'emu.

– A ileż wynosi ta reszta?

– Siedemset czterdzieści tysięcy funtów.

Holmes był wyraźnie zaskoczony.

– Nie miałem pojęcia, że sir Charles pozostawił taki olbrzymi majątek – rzekł.

– Sir Charles uchodził za człowieka bogatego, ale dopóki nie zbadaliśmy stanu

jego portfela akcyj, nie wiedzieliśmy, że był aż tak bardzo bogaty. Ogółem majątek jego wynosił blisko milion funtów.

– Tam do licha! To gratka nie lada, warto się o nią pokusić nie przebijając w środkach. Jeszcze jedno pytanie, doktorze. W razie gdyby naszemu młodemu przyjacielowi stało się coś złego... proszę mi wybaczyć, sir Henry, to niemiłe przypuszczenie... kto odziedziczyłby majątek?

– Ponieważ Rodger Baskerville, młodszy brat sir Charlesa, umarł niezontaty, spadkobiercami zostaliby niejacy Desmondowie, którzy są dalekimi krewnymi zmarłego. Jakub Desmond to człowiek w podeszłym wieku, duchowny w Westmoreland.

– Dziękuję bardzo. Są to szczegóły niezmiernie ważne. Czy pan doktor zna Jakuba Desmonda?

– Widziałem go raz u sir Charlesa. Jest to człowiek bardzo świątobliwy i wzbudzający szacunek. Pamiętam, że oparł się naleganiom sir Charlesa, kiedy ten chciał go koniecznie zmusić do przyjęcia znacznej darowizny.

– I ten człowiek skromnych upodobań zostałby spadkobiercą krociowej fortuny sir Charlesa?

– Tak, odziedziczyłby posiadłość ziemską według ustanowionego w rodzinie porządku spadkowego; odziedziczyłby i gotówkę, jeśli obecny właściciel, który oczywiście ma pod tym względem pełną swobodę decyzji, nie rozporządziłby nią inaczej.

– Sir Henry, czy sporządził pan testament?

– Nie, panie Holmes. Nie miałem jeszcze czasu; wczoraj dopiero dowiedziałem się, jak sprawy stoją. Ale, w każdym razie, gotówka dostanie się temu, kto odziedziczy tytuł i posiadłość ziemską. Taka była wola mego biednego stryja. W jaki sposób właściciel zamku mógłby przywrócić świetność Baskerville'ów, gdyby nie miał odpowiednich funduszy na pokrycie kosztów utrzymania tej posiadłości? Dom, ziemia i pieniądze muszą pójść w jedne ręce.

– Bardzo słusznie. Zgadzam się w zupełności z panem, sir Henry. Powinien pan jechać niezwłocznie do Devonshire. Stawiam tylko jeden warunek: nie może pan jechać sam.

– Doktor Mortimer wraca ze mną.

– Ale doktor Mortimer ma praktykę, która mu zabiera czas, a poza tym mieszka w dużej odległości od zamku. W razie potrzeby, mimo najlepszych chęci, nie

będzie w stanie pośpieszyć panu z pomocą. Nie, sir Henry, musi pan zabrać ze sobą człowieka zaufanego, który będzie ustawicznie z panem.

– A czy pan mógłby pojechać ze mną?

– W krytycznym momencie postaram się być na miejscu. Ale sam pan rozumie, że rodzaj mojego zajęcia nie pozwala mi oddalić się na czas nieokreślony z Londynu. Dziesiątki ludzi zasięgają mojej rady. Teraz, na przykład, jakiś szantażysta szkaluje jedno z najbardziej szanowanych nazwisk w Anglii i tylko ja mogę zapobiec głośnemu skandalowi. Wobec tego chyba sam pan przyzna, że obecnie nie mogę wyjechać z panem do Dartmoor.

– Kogóż zatem poleci mi pan jako towarzysza?

Holmes położył rękę na moim ramieniu.

– Jeśli mój przyjaciel zgodzi się na to, nie znam odpowiedniejszego człowieka. Ufam mu bezgranicznie i wiem z doświadczenia, jak dobrze mieć go przy sobie w ciężkich chwilach.

Propozycja ta zaskoczyła mnie całkowicie, lecz zanim zdążyłem odpowiedzieć, Baskerville pochwyił moją dłoń i uścisnął ją gorąco.

– Jak to miło z pana strony – rzekł. – Zna pan moją sytuację, a o tej całej sprawie wie pan tyle, co i ja. Jeśli pan pojedzie ze mną do Baskerville Hallu i dotrzyma mi towarzystwa, nigdy panu tego nie zapomnę.

Perspektywa przygód miała zawsze dla mnie nieprzeparty urok, prócz tego pochlebily mi słowa Holmesa i skwapliwość, z jaką baronet domagał się mego towarzystwa.

– Pojadę z przyjemnością – rzekłem. – Myślę, że trudno by mi było lepiej zużytkować swój czas.

– Będziesz zdawał mi szczegółowo sprawę ze wszystkiego – odezwał się Holmes. – A gdy nadejdzie chwila krytyczna, nadejdzie zaś bez wątpienia, wówczas przyślę ci odpowiednie wskazówki. Sądzę, że będziecie panowie mogli jechać w sobotę?

– Doktorze, czy ten dzień panu odpowiada?

– Najzupełniej.

– A zatem w sobotę, jeśli nie zajdzie nic nowego, spotkamy się na dworcu Paddington i wyruszymy pociągiem o godzinie dziesiątej minut trzydzieści.

Zbieraliśmy się do odejścia, gdy Baskerville wydał nagle okrzyk tryumfu i rzucając się w róg pokoju wydobyl żółty but spod szafy.

– Oto but, który mi zginął! – zawołał.

– Oby wszystkie trudności, piętrzące się na naszej drodze, zostały równie szybko usunięte – rzekł Sherlock Holmes.

– To bardzo dziwne – wtrącił doktor Mortimer. – Przeszukałem cały pokój starannie przed śniadaniem.

– I ja również – rzekł Baskerville – zaglądałem do wszystkich kątów.

– I nigdzie nie było śladu buta.

– W takim razie służący podrzucił go, gdy jedliśmy obiad.

Wezwany Niemiec zapewnił nas, że o niczym nie wie, a wszelkie dopytywania pozostały bez skutku. Nowe zajście powiększyło zatem szereg drobnych i przypadkowych na pozór tajemnic, które tak szybko następowały po sobie.

Pomijając już całą ponurą historię śmierci sir Charlesa, stanęliśmy w ciągu ostatnich dwóch dni wobec kilku zupełnie niewytłumaczalnych wypadków: tajemniczy list, czarnobrody szpieg w karecie, kolejne znikanie butów i wreszcie odzyskanie jednego z nich.

W drodze powrotnej na Baker Street Holmes pogrążony był w milczeniu, a ściągnięte brwi i zaduma w bystro patrzących przed siebie oczach świadczyły, że umysł jego, podobnie jak mój, siłił się na jakieś powiązanie tych wszystkich osobliwych zdarzeń, nie mających pozornie z sobą nic wspólnego. Przez całe popołudnie i do późnego wieczora Holmes siedział w obłokach dymu, pogrążony w rozmyślaniach.

Tuż przed kolacją otrzymał dwie depesze. Pierwsza brzmiała:

Doniesiono mi w tej chwili że Barrymore jest w zamku Baskerville.

A druga:

Zwiedziłem zgodnie z poleceniem dwadzieścia trzy hotele niestety nigdzie nie znalazłem pociętej stronicy Timesa.

Cartwright

– Oto zerwały się w rękach naszych dwie nici, Watsonie. Najbardziej podnieca mnie zawsze sprawa, w której wszystko zwraca się przeciw mnie. Musimy teraz szukać innego tropu.

– Pozostaje nam jeszcze dorożkarz, który wiózł szpiega.

– Tak. Telegrafowałem do biura rejestracyjnego dorożek z zapytaniem o jego nazwisko i adres. Nie dziwiłbym się, gdyby to była właśnie odpowiedź – dodał, w tej chwili bowiem rozległ się dzwonek. Okazało się niebawem, że los zesłał nam więcej niż odpowiedź; do pokoju wszedł dorożkarz we własnej osobie.

– Powiedziano mi, że jakiś pan, mieszkający w tym domu, dowiadywał się o mój numer – rzekł. – Od siedmiu lat powożę i dotychczas nikt jeszcze nie skarżył się na mnie. Przyszedłem więc prosto z remizy, aby mi pan powiedział szczerze, co pan ma przeciw mnie.

– Nie mam nic przeciw wam, mój przyjacielu – odparł Holmes. – Przeciwnie, mam dla was pół suwerena, jeśli odpowiecie na wszystkie moje pytania.

– Ale mam dziś dobry dzień – powiedział dorożkarz uśmiechając się z zadowoleniem. – A co pan chce wiedzieć?

– Przede wszystkim wasze nazwisko i adres, w razie gdybym was jeszcze potrzebował.

– Jan Clayton, Turpey Street nr 3. Dorożka moja należy do remizy Shipley, w pobliżu dworca Waterloo.

Sherlock Holmes zanotował te szczegóły.

– A teraz, Claytonie, powiedzcie, co wiecie o człowieku, który śledził dzisiaj ten dom o godzinie dziesiątej rano, a potem jechał za dwoma panami wzdłuż Regent Street.

Na twarzy dorożkarza odmalowało się zdziwienie i pewne zakłopotanie.

– Po co mam panu to wszystko opowiadać – rzekł – jeśli pan już wie tyle co i ja. Dodam tylko, że ów jegomość powiedział mi, że jest detektywem, i zalecił, żebym nikomu o nim nie wspomniał ani słowa.

– Mój przyjacielu, sprawa jest bardzo poważna i możecie narazić się na duże przykrości, jeżeli ukryjecie cokolwiek przede mną. Powiadacie więc, że ten jegomość podał się za detektywa?

– Tak jest.

– Kiedy wam to powiedział?

– Gdy wysiadał z dorożki.

– Czy powiedział jeszcze coś więcej?

– Wymienił swoje nazwisko.

Holmes rzucił mi tryumfujące spojrzenie.

– Wymienił swoje nazwisko? To było nieostrożnie z jego strony. A jak się

nazywa?

– Sherlock Holmes – odpowiedział dorożkarz.

Chyba jeszcze nigdy nic tak nie zaskoczyło mojego przyjaciela, jak ta odpowiedź dorożkarza. Przez chwilę siedział jak osłupiały, po czym parsknął śmiechem.

– Trafił, Watsonie! Trafił mnie niewątpliwie! – rzekł w końcu. – Czuję przed sobą szpadę przeciwnika, równie szybką i giętką jak moja. Odniósł nade mną zwycięstwo tym razem. A więc powiadacie, że ten pan nazywa się Sherlock Holmes? – zwrócił się do dorożkarza.

– Tak, proszę pana.

– Kapitalna historia! Opowiedzcie mi, gdzie on wsiadł do waszej karety i wszystko, co się potem działo.

– Wsiadł o wpół do dziesiątej na Trafalgar Square. Powiedział, że jest detektywem, i obiecał mi dwie gwinee, jeśli będę spełniał przez cały dzień wszystkie jego polecenia i o nic nie będę pytał. Oczywiście zgodziłem się bardzo chętnie. Pojechaliliśmy najpierw przed hotel Northumberland i tam czekaliśmy, dopóki nie wyszli dwaj panowie. Panowie ci wsiadli do dorożki, a my wtedy pojechaliliśmy za nimi, dopóki nie zatrzymali się gdzieś tu w pobliżu.

– Przed moim domem – rzekł Holmes.

– Nie jestem tego pewien, ale zdaje mi się, że mój pasażer dobrze wiedział, dokąd tamci panowie jadą. Zatrzymaliśmy się niedaleko stąd i czekaliśmy tam z półtorej godziny. Wreszcie ci dwaj panowie zjawili się i minęli nas idąc piechotą, a my podążyliśmy znów za nimi po Baker Street i dalej...

– Wiem o tym – wtrącił Holmes.

– Aż ujechaliliśmy tak ze trzy czwarte Regent Street. Nagle mój pasażer otworzył okienko i krzyknął, żebym popędził co koń wyskoczy na dworzec Waterloo. Zaciąłem klacz i w niespełna dziesięć minut byliśmy na miejscu. Gdy wysiadał, zapłacił mi przyrzeczone dwie gwinee i wszedł na dworzec. Ale wysiadając odwrócił się i rzekł do mnie: “Jeżeli was to interesuje, nazywam się Sherlock Holmes”. W ten sposób dowiedziałem się, kogo wiozłem.

– Rozumiem. I jużście go więcej nie widzieli?

– Nie, proszę pana.

– A moglibyście mi opisać, jak pan Sherlock Holmes wygląda?

Dorożkarz poskrobał się w głowę.

– Nie tak to łatwo go opisać. Powiedziałbym, że miał ze czterdzieści lat i był średniego wzrostu, jakie dwa albo trzy cale niższy od pana. Ubrany był elegancko, miał czarną, równo przystrzyżoną brodę i bardzo bladą cerę. Nic więcej powiedzieć nie potrafię.

– A oczy jakiego koloru?

– Nie wiem, nie zauważyłem.

– Nie pamiętacie żadnego innego szczegółu?

– Nie, proszę pana.

– Oto wasze pół suwerena. A dostaniecie drugie tyle, jeśli mi przyniesiecie więcej wiadomości. Dobranoc.

– Dobranoc panu i dziękuję.

Jan Clayton wyszedł z miną wielce zadowoloną, a Holmes zwrócił się do mnie, wzruszając ramionami i uśmiechając się żałośnie.

– Oto urwała się nasza trzecia nie i nie posunęliśmy się ani o krok naprzód – rzekł. – Co za przebiegły łotr! Znał numer naszego domu, wiedział, że sir Henry Baskerville zasięgał mojej rady, wyszedł mnie na Regent Street, domyślił się, że zauważyłem numer karety, że odszukam dorożkarza, i dlatego podszył się tak zuchwale pod moje nazwisko. Watsonie, mówię ci, że tym razem mamy godnego nas przeciwnika. Zaszachował mnie zupełnie w Londynie. Życzę ci większego powodzenia w Devonshire. Ale nie jestem bynajmniej spokojny.

– O co?

– O ciebie. To paskudna historia. Paskudna, Watsonie, i niebezpieczna, a im bliżej się z nią zapoznaję, tym mniej mi się podoba. Tak, mój drogi, możesz śmiać się ze mnie, ale daję ci słowo, że będę bardzo rad, jak cię znów ujrzę zdrowego i całego tu, w tym pokoju.

6. Baskerville Hall

Sir Henry Baskerville i doktor Mortimer byli gotowi do wyjazdu w oznaczonym terminie. Sherlock Holmes odprowadzał mnie na dworzec i po drodze dawał mi ostatnie zlecenia.

– Nie chcę, byś sugerował się moimi teoriami lub podejrzeniami – mówił – chcę tylko, żebyś mi donosił z najdrobniejszymi szczegółami o wszystkich

wydarzeniach, a mnie pozostawił wysnuwanie nich wniosków.

– O jakiego rodzaju wydarzeniach mam cię zawiadamiać? – spytałem.

– Donoś o wszystkim, co może mieć jakikolwiek, choćby pośredni, związek z tą sprawą. Zwłaszcza zaś interesują mnie stosunki młodego Baskerville'a z sąsiadami i wszelkie nowe szczegóły o śmierci sir Charlesa. W ciągu ostatnich kilku dni sam zasięgałem informacji, lecz niestety z ujemnym wynikiem. Jedna rzecz tylko wydaje mi się pewna, a mianowicie, że pan Jakub Desmond, najbliższy spadkobierca, rzeczywiście starszy, bardzo zacny człowiek, więc nie on jest sprawcą tej całej intrygi. Sądzę, że możemy wyłączyć go zupełnie z obrębu naszych podejrzeń. Pozostają zatem tylko te osoby, które stanowią otoczenie sir Henry'ego Baskerville'a.

– Czy nie byłoby dobrze pozbyć się przede wszystkim małżeństwa Barrymore?

– W żadnym wypadku! To byłby największy błąd. Jeśli są niewinni, byłaby to okrutna niesprawiedliwość, a jeśli są winni, stracilibyśmy wszelką sposobność dowiedzenia im winy. Nie, nie, zachowamy ich na liście podejrzanych. Oprócz nich jest w zamku, jeśli się nie mylę, stangret. Są tam też w okolicy dwaj farmerzy. W sąsiedztwie mieszka nasz przyjaciel, doktor Mortimer, który, moim zdaniem, jest z gruntu uczciwy, i jego żona, o której nic nie wiemy. Jest tam dalej przyrodnik Stapleton i jego siostra, podobno młoda i piękna osoba. Jest pan Frankland z Laffer Hallu, nie znany nam zupełnie, i jeszcze dwóch czy trzech sąsiadów. Tych wszystkich ludzi musisz mieć bacznie na oku.

– Zrobię, co tylko będzie w mojej mocy.

– Zabrałeś broń ze sobą?

– Zabrałem. Sądziłem, że może mi się przydać.

– Niewątpliwie. Pamiętaj, żebyś miał rewolwer pod ręką dniem i nocą, i ani na chwilę nie zapominaj o wszelkich środkach ostrożności.

Przyjaciele nasi zajęli już przedział pierwszej klasy i oczekiwali nas na peronie.

– Nie, nie mamy żadnych nowin dla pana – rzekł doktor Mortimer w odpowiedzi na zapytanie Sherlocka Holmesa. – Mogę tylko zapewnić pana, przez ostatnie dwa dni nikt nas nie śledził. Ilekroć wychodziliśmy, rozglądaliśmy się pilnie dookoła i szpieg nie byłby uszedł naszej uwagi.

– Mam nadzieję, że panowie byliście nieustannie razem?

– Z wyjątkiem wczorajszego popołudnia. Z każdym pobytem w mieście poświęcam jeden dzień wyłącznie dla przyjemności; spędziłem go więc w muzeum Akademii Chirurgicznej.

– A ja poszedłem do Hyde Parku popatrzeć na elegancki świat – rzekł Baskerville. – Ale nie spotkały mnie żadne przykrości.

– Niemniej postąpiliście, panowie, bardzo nieostrożnie – rzekł poważnym tonem Holmes, potrząsając głową. – Bardzo pana proszę, sir Henry, aby pan nigdzie sam nie chodził. W przeciwnym razie może spotkać pana wielkie nieszczęście. A czy drugi but pański się znalazł!

– Nie, przepadł bezpowrotnie.

– Doprawdy? A to ciekawe... No, do widzenia! – dodał, gdy pociąg zaczął z wolna ruszać. – Sir Henry, proszę sobie dobrze zapamiętać to zdanie z owej dziwnej, starej legendy, którą nam doktor Mortimer odczytał, i unikać moczarów w nocnych godzinach, kiedy panuje moc złego ducha.

Wyjrzałem przez okno wagonu na peron, od którego oddalaliśmy się szybko, i dostrzegłem wysoką postać Holmesa, stojącego nieruchomo i patrzącego w ślad za nami.

Podróż minęła szybko i przyjemnie; czas schodził mi na pogawędce z towarzyszami i na zabawie ze spanielem doktora Mortimera.

Po kilku godzinach jazdy krajobraz zmienił się zupełnie. Ziemia z brunatnej stała się rudawa, granit zastąpił glinę, a czerwone krowy pasły się na łąkach ogrodzonych żywopłotami. Soczysta trawa i bujna roślinność świadczyły o żyzniejszej glebie i wilgotniejszym klimacie.

Młody Baskerville z zainteresowaniem wyglądał przez okno i wydawał okrzyki zachwytu na widok przesuwających się przed jego oczyma krajobrazów.

– Od wyjazdu z Anglii zwiedziłem kawał świata – zwrócił się do mnie – ale niech mi pan wierzy, doktorze Watsonie, nie widziałem nigdzie nic równie pięknego.

– Nie zdarzyło mi się spotkać mieszkańca Devonshire, który by nie był zakochany w swoim hrabstwie – odpowiedziałem.

– Zależy to zarówno od pochodzenia danego osobnika, jak i od hrabstwa – rzekł doktor Mortimer. – Jeden rzut oka wystarczy, by stwierdzić, że nasz przyjaciel ma okrągłą czaszkę Celta, a z tym łączy się iście celtycki entuzjizm i silne przywiązanie do ziemi. Biedny sir Charles miał bardzo rzadko spotykany typ czaszki, na wpół celtycki, na wpół iberyjski. Ale pan musiał być małym chłopcem w czasie ostatniego pobytu w Baskerville Hallu, sir Henry?

– Miałem kilkanaście lat, gdy umarł mój ojciec, a w zamku nigdy nie byłem; mieszkaliśmy w małym domku na południowym wybrzeżu Anglii. Stamtąd zaś

pojechałem prosto do naszych przyjaciół w Ameryce. Zapewniam pana, że okolica ta jest dla mnie równie nie znana, jak dla doktora Watsona. Pragnąłbym jak najprędzej ujrzeć owe moczary.

– Doprawdy? W takim razie życzenie pańskie szybko się spełni, bo stąd je już widać – rzekł doktor Mortimer wskazując na okno.

Ponad zielonymi łąkami zbóż i nisko położonym pasmem lasu wznosiło się w dali szare, melancholijne wzgórze, z dziwacznie poszarpanym szczytem, zamglone i niewyraźne jak jakiś fantastyczny krajobraz widziany we śnie. Baskerville siedział milcząco, z wzrokiem utkwionym w okno, a na jego ruchliwej twarzy czytałem wyraźnie, jak silne wrażenie wywierał na nim widok tej ziemi przodków, którzy pozostawili na niej niezatarte ślady swego panowania.

Siedział na wprost mnie, wtulony w kąt przedziału kolejowego, nosił zwykłe sportowe ubranie, mówił akcentem wybitnie amerykańskim, a jednak, gdy spoglądałem na jego twarz, tak energiczną i wyrazistą, nie miałem wątpliwości, że jest to potomek tego potężnego rodu. Krzaczaste brwi, ruchliwe nozdrza, surowe spojrzenie piwnych oczu znamionowały dumę, odwagę i siłę.

Jeśli na tych złowróżbnych moczarach czyha na nas jakieś niebezpieczeństwo – pomyślałem – to sir Henry jest bez wątpienia towarzyszem, który w najtrudniejszej sytuacji nie zwiedzie.

Wysiedliśmy z pociągu na małej stacyjce. Za niskim białym ogrodzeniem czekał na nas kabriolet zaprzężony w parę koni. Przyjazd nasz był widocznie ważnym wydarzeniem, gdyż nie tylko tragarze, ale i sam zawiadowca stacji pośpieszył ku nam, aby odnieść nasze walizki. Wychodząc z budynku stacyjnego spostrzegłem ze zdumieniem przy drzwiach dwóch ludzi w ciemnych mundurach, opartych na karabinach i przyglądających się nam uważnie, gdyśmy ich mijali.

Stangret, mały, krępy, o surowej twarzy, powitał sir Henry'ego Baskerville i w kilka minut później jechaliśmy szybkim kłusem po szerokiej białej drodze. Po obu stronach drogi na stokach pagórków ciągnęły się żyzne pastwiska, spomiędzy gęstej zieleni drzew wyzierały spiczaste dachy starych domostw, ale za tym spokojnym, tonącym w słońcu krajobrazem widać było wielkie, niekończące się moczary, a na tle wieczornego nieba odcinało się ponuro poszarpane pasmo ciemnych, posępnych wzgórz.

Kabriolet skręcił w boczną drogę. Jechaliśmy teraz pod górę koleinami, wyżłobionymi w ciągu wieków przez tysiące kół. Z obu stron wznosiły się strome

zbocza parowu, porośnięte wilgotnym mchem i paprocią. Żółknące zarośla i purpurowe jagody głogu połyskiwały w promieniach zachodzącego słońca. Jadąc wciąż pod górę, minęliśmy wąski granitowy mostek i posuwaliśmy się wzdłuż potoku, który pienił się i szumiał rwąc w dół wśród szarych kamieni. I droga, i potok wiły się w dolinie gęsto zadrzewionej karłowatymi dębami i jodłami.

Na każdym zakręcie Baskerville wydawał okrzyk zachwytu, rozglądał się dokoła i zarzucał doktora Mortimera niezliczonymi pytaniami. Dla niego wszystko było piękne, ale dla mnie krajobraz ten miał już w sobie jesienny smutek kończącego się lata. Pożółkłe liście zaścielały ziemię i spadały na nas z poczerniałych gałęzi; turkot kół zamierał, gdy jechaliśmy po tej warstwie więdnących liści. Smutne te dary rzucała przyroda pod stopy powracającemu spadkobiercy Baskerville'ów.

– A to co? – krzyknął doktor Mortimer – spójrzcie!

Przed nami wznosił się stromy, zarosły wrzosem pagórek, jakby samotny, wysunięty szaniec ponurych moczarów. Na szczycie stał, nieruchomy jak posąg, konny strażnik, posepny i groźny, z karabinem opartym o udo, gotowym do strzału. Widać było, że strzeże tej właśnie drogi, po której jechaliśmy.

– Co to znaczy, Perkinsie? – spytał doktor Mortimer.

Stangret odwrócił się do nas.

– Przed trzema dniami uciekł więzień z Princetown, proszę pana. Na wszystkich drogach i stacjach rozstawieni są strażnicy dla schwytania zbiega, ale ten zniknął bez śladu. Okoliczni farmerzy wcale nie są tym zachwyceni.

– O ile mi wiadomo, za udzielenie wiadomości o zbiegu wyznaczona jest nagroda pięciu funtów.

– Tak, proszę pana, ale co znaczy dla wieśniaków pięć funtów wobec obawy, że mogą być lada chwila pomordowani. Bo, widzi pan, ten zbieg to nie jest żaden zwykły zbieg. To człowiek zdolny do wszystkiego.

– Któż to taki?

– Selden, morderca z Notting Hill. Pamiętam doskonale tę zbrodnię, bo Holmes interesował się nią swego czasu ze względu na niebywałe okrucieństwo i ohydłą brutalność mordercy. Wyrok śmierci zamieniono mu na dożywocie, gdyż wobec tak potwornych zbrodni jego poczytalność budziła zastrzeżenia.

Kabriolet wjechał na szczyt wzgórza i przed nami rozpostarła się teraz bezbrzeżna przestrzeń wrzosowisk i moczarów, najeżona menhirami i skalistymi pagórkami. Zimny wiatr powiał z moczarów i przejął nas dreszczem. A więc gdzieś na

tym pustkowiu ukrywał się jak dzikie zwierzę ten zwyrodniały morderca, ziejący nienawiścią do całego społeczeństwa, które się go wyrzekło. Tego przypomnienia tylko brakowało, by uzupełnić ponure wrażenie, wywołane bezbrzeżną pustką, lodowatym wiatrem i szybko zapadającym zmrokiem. Nawet Baskerville umilkł i otulił się szczelniej płaszczem.

Urodzajne ziemie pozostały daleko za nami. Obejrzeliśmy się, chcąc raz jeszcze objąć je wzrokiem. W skośnych promieniach zachodzącego słońca potoki wyglądały teraz jak złote wstęgi, a świeżo zorana ziemia i pasma gęstych lasów tonęły w czerwieni. Po obu stronach drogi wznosiły się rdzawo-zielonkawe zbocza, usiane olbrzymimi głazami. Okolica stawała się coraz bardziej dzika i ponura. Od czasu do czasu mijaliśmy kamienne domki, których surowości nie łagodziła żadna zieleń ani kwiaty.

Nagle ujrzeliśmy niewielką dolinkę, na której rosły skarłowaciałe dęby i jodły o konarach powyginanych przez wichry i burze. Ponad wierzchołkami drzew wznosiły się dwie wysokie, smukłe wieże. Stangret wskazał je batem.

– Baskerville Hall – rzekł.

Pan zamku zerwał się z siedzenia i z rumieńcem na twarzy, z roziskrzonym wzrokiem przyglądał się swej przyszej siedzibie. W kilka minut później podjechaliśmy do bramy wjazdowej. Omszałe kamienne słupy z wyrzeźbionymi u góry głowami dzików – herbem Baskerville'ów – rozsypywały się w gruzy. Brama była z kutego żelaza, o wymyślnych wzorach.

Domek odźwiernego był już tylko ruiną z czarnego granitu, ze sterczącymi żebrami obnażonych krokwi. Ale naprzeciwko stał nowy, na wpół wykończony budynek, pierwszy owoc zebranego w Afryce złota sir Charlesa.

Za bramą wjechaliśmy w aleję, gdzie znów zwiędłe liście zagłuszały turkot kół, a gałęzie prastarych drzew splatały się ze sobą, tworząc nad naszymi głowami ciemne sklepienie.

Gdy Baskerville spojrział w głąb ponurej alei, przy której końcu kontury zamku rysowały się jak widmo, dreszcz wstrząsnął całą jego postacią.

– Czy to zdarzyło się tutaj? – spytał przyciszonym głosem.

– Nie, nie, aleja cisowa jest po drugiej stronie zamku.

Młody spadkobierca rozejrzał się chmurnie dookoła.

– Nie dziwię się, że mego stryja dręczyły złe przecucia – rzekł po chwili. – Takie otoczenie może przerazić każdego człowieka. Każę ustawić tutaj przed zamkiem

szereg elektrycznych latarni, a za pół roku, gdy zabłysną tysiące świec, inaczej to wszystko będzie wyglądało.

Aleja wychodziła na szeroką, wolną przestrzeń, pokrytą murawą. Przed naszymi oczami ukazał się zamek w całej swej okazałości.

Przy zapadającym zmroku zdołałem dojrzeć tylko, że jego środkowa część stanowiła jeden potężny blok z wystającym krużgankiem. Cała fasada zarośnięta była bluszczem, a tylko okna i kilka tarcz herbowych przecinało tu i ówdzie tę ciemną zasłonę z zieleni.

Nad środkową częścią zamku wznosiły się dwie stare zębate wieże, podziurawione licznymi strzelnicami. Z prawej i lewej strony zamku znajdowały się dwa bardziej nowoczesne skrzydła z czarnego granitu. Stare okna jaśniały bladym światłem, a z wysokich kominów nad stromym dachem buchał w górę słup czarnego dymu.

– Witaj, sir Henry! Witaj w Baskerville Hallu!

Z mrocznego krużganku wyszedł wysoki mężczyzna, zbliżył się do kabrioletu i otworzył drzwiczki. Na tle żółtego światła padającego z hallu zarysowała się postać kobiety, która również podeszła do powozu i pomagała mężowi zdejmować nasze walizki.

– Nie będzie mi pan miał za złe, sir Henry, że pojedę prosto do domu? – rzekł doktor Mortimer. – Żona czeka na mnie.

– Jak to, nie zostanie pan na obiedzie?

– Nie, muszę jechać. Na pewno czeka mnie w domu robota. Pozostałbym chętnie, żeby pana oprowadzić po zamku, ale Barrymore będzie lepszym przewodnikiem ode mnie. Do widzenia! A gdyby pan mnie potrzebował, niech się pan nie waha przysłać po mnie o każdej porze dnia i nocy. Turkot kół powozu uwożącego doktora zamilkł w oddali, gdy wraz z sir Henry'm weszliśmy do hallu, a ciężkie drzwi zamknęły się za nami z głuchym łoskotem.

Znaleźliśmy się w obszernej, wysokiej komnacie o belkowanym dębowym stropie, poczeriałym ze starości. Na wielkim staroświeckim kominku płonął ogień. Zbliżyliśmy się z sir Henry'm do kominka, by ogrzać ręce skostniałe w podróży. Rozglądaliśmy się ciekawie dookoła, podziwiając witraże w wysokich, wąskich oknach, dębowe boazerie, łby rogowy i tarcze herbowe umieszczone na ścianach. Wszystko to razem sprawiało jednak dość ponure wrażenie, spotęgowane przyćmionym światłem zawieszanej u sufitu lampy.

– Tak właśnie wyobrażałem sobie zamek – odezwał się sir Henry. – Czy nie jest to klasyczny wzór starej siedziby rodzinnej? I w tym domu przez pięćset lat żyli moi przodkowie! Już sama ta myśl nastraja mnie uroczyście.

Rozglądał się dookoła, a twarz jego rozjaśnił młodzieńczy entuzjazm. Światło padało prosto na jego postać, ale po ścianach rozsnuwały się długie cienie, tworząc ponad nim jakby czarny baldachim.

Barrymore, odniósłszy walizki do naszych pokoi, powrócił i stał przed nami w pełnej szacunku postawie dobrze wyszkolonego służącego. Był to wysoki, przystojny mężczyzna o nieprzeciętnym wyglądzie, z czarną, równo przystrzyżoną brodą i bladą twarzą o szlachetnych rysach.

– Czy pan zaraz każe podać obiad, sir Henry?

– A czy obiad już gotów?

– Za kilka minut może być na stole. Panowie znajdą gorącą wodę w swoich pokojach. Żona moja i ja bardzo chętnie będziemy służyć panu, sir Henry, dopóki pan nie zaangażuje nowego personelu. Przypuszczam, że panu, sir Henry, potrzebna będzie teraz znacznie liczniejsza służba.

– Dlaczego?

– Chciałem przez to powiedzieć, że sir Charles prowadził życie bardzo samotne, więc wystarczaliśmy mu we dwoje do usługi. Pan zaś, co jest rzeczą zupełnie naturalną, będzie prowadzić bardziej towarzyski tryb życia i dlatego będą musiały nastąpić zmiany.

– Czy mam rozumieć, że zamierzacie wraz z żoną mnie opuścić?

– Wtedy gdy to panu będzie dogadzać, sir Henry.

– Ale przecież już od kilku pokoleń wasza rodzina była w służbie u nas. Nie chciałbym rozpoczynać tu życia od zrywania starych stosunków rodzinnych.

Zdawało mi się, że dostrzegłem ślady pewnego wzruszenia na bladej twarzy lokaja.

– I nam z żoną będzie również bardzo przykro. Ale bardzo przywiązaliśmy się do sir Charlesa; śmierć jego była dla nas wielkim wstrząsem i dlatego ciężko nam jest przebywać w tym otoczeniu. Obawiam się, że pozostając tutaj, nie odzyskalibyśmy nigdy spokoju ducha.

– A jakie są wasze dalsze zamiary?

– Sądzę, że zabierzemy się do handlu. Dzięki wspaniałomyślności sir Charlesa posiadamy odpowiednie środki. A teraz może panowie pozwolą, że wskażę im drogę

do pokojów.

Hall otaczała na wysokości pierwszego piętra galeria, na którą wiodły podwójne schody. Z galerii biegły dwa korytarze wzdłuż całego zamku, na które wychodziły wszystkie pokoje sypialne. Sypialnie nasze znajdowały się blisko siebie w tym samym skrzydle.

Pokoje te były o wiele nowocześniejsze od środkowej części zamku, a jasne obicia i liczne płonące świece zatarły poniekąd w moim umyśle ponure wrażenie, jakiego doznałem w chwili przyjazdu.

Ale w sali jadalnej, przylegającej do hallu, panował znów mrok i smutek. Była to długa sala ze wzniesieniem, na którym w dawnych czasach zastawiano stół dla panów zamku i ich rodzin, podczas gdy dworzanie zasiadali niżej. W jednym końcu znajdowała się galeria dla grajków. Czarne belki przecinały nad naszymi głowami sufit, pociemniały od dymu. Szeregi płonących pochodni, rubaszna wesołość starodawnych biesiad wpływały niewątpliwie na złagodzenie posepnego otoczenia; ale dzisiaj, gdy tylko dwaj dżentelmeni w czarnych ubraniach siedzieli w obrębie niewielkiego kręgu światła, jaki rzucała przysłonięta lampa, głos zniżał się mimo woli, a niepokój przejmował duszę.

Cały szereg przodków w najróżniejszych strojach, od rycerza z epoki Elżbiety aż do wykwintnisia z czasów Regencji, patrzył na nas ze ścian i onieśmiał swoim milczącym towarzystwem. Rozmawialiśmy mało i bardzo byłem rad, gdy obiad skończył się wreszcie i przeszliśmy do nowoczesnej sali bilardowej, gdzie zapaliliśmy papierosy.

– Trudno to nazwać pogodnym miejscem – odezwał się sir Henry. – Przypuszczam, że do wszystkiego można się przyzwyczaić, ale na razie czuję się tu nieswojo. Nie dziwię się, że stryj stał się taki nerwowy mieszkając sam jeden w tym domu. Jeśli pan nie ma nic przeciw temu, myślę, że dobrze będzie udać się dzisiaj wcześniej na spoczynek; może jutro rano wszystko wyda się nam weselsze.

Przed ułożeniem się do snu rozsunąłem firanki w oknie, które wychodziło na dziedziniec zamkowy. Za nim dwie kępy drzew poruszały się targane podmuchem wiatru. Księżyc wynurzył się zza chmur i w jego bladym świetle ujrzałem za drzewami poszarpane pasmo skał i rozległą przestrzeń ponurych moczarów. Zasunąłem firanki z uczuciem, że to ostatnie wrażenie nie ustępowało w niczym wrażeniom doznany poprzednio. Ale nie miało ono być ostatnim tego dnia. Zmęczenie spędzało sen z mych powiek; przewracałem się na łóżku niespokojnie, z boku na bok, w oddali zegar

wydzwaniał kwadranse, przerywając tym grobową ciszę panującą w starym domu.

Nagle w środku nocy dobiegł moich uszu odgłos wyraźny, donośny, nie przedstawiający żadnej wątpliwości. Był to płacz kobiety, tłumiony, zdławiony szloch, taki, jaki tylko beznadziejna rozpacz może wyrwać z ludzkiej piersi. Usiadłem na łóżku i nastawiłem ucha. Płacz rozlegał się blisko, wewnątrz domu. Przez pół godziny siedziałem tak, nasłuchując z wytężeniem, ale prócz bicia zegara i szelestu liści bluszczowych na murze nie doleciał mnie już żaden inny głos.

7. Państwo Stapleton z Merripit House

Nazajutrz świeży, pogodny ranek nieco rozproszył posępne wrażenie, jakie wywarł na nas poprzedniego dnia zamek Baskerville. Gdy siedzieliśmy przy śniadaniu, słońce, wpadające przez barwne witraże przedstawiające herby Baskerville'ów, rzucało kolorowe plamy na salę jadalną. Ciemne boazerie lśniły jak brąz w złotych promieniach słońca i trudno było wyobrazić sobie, że to ta sama sala, której widok poprzedniego wieczoru takim smutkiem napełniał nasze dusze.

– Zdaje mi się, że to nie wina zamku, tylko nasza własna – rzekł baronet. – Byliśmy zmęczeni podróżą, zziębnięci długą jazdą i stąd wszystko przedstawiało się nam w najczarniejszych kolorach. Dzisiaj jesteśmy wypoczęci, patrzymy więc na świat weselszym okiem.

– A jednak nie wszystko można położyć na karb naszej wyobraźni – odparłem. – Czy pan nie słyszał, na przykład, jakiegoś płaczu w nocy? Zdaje mi się, że był to płacz kobiety.

– A to ciekawe, bo i ja w północy miałem wrażenie, że słyszę płacz. Nasłuchiwałem potem przez dobrą chwilę, ale ponieważ nic już nie przerwało ciszy, doszedłem do wniosku, że mi się śniło.

– A ja słyszałem ten odgłos bardzo wyraźnie i jestem pewien, że był to płacz kobiety.

– Trzeba to od razu wyjaśnić.

Baskerville zadzwonił i zapytał Barrymore'a, czy może nam coś o tym powiedzieć. Wydawało mi się, że blada twarz lokaja stała się jeszcze bledsza, gdy usłyszał pytanie swego pana.

– W całym domu są tylko dwie kobiety – odpowiedział. – Pomywaczka, która

śpi w drugim skrzydle, i moja żona, a mogę pana zapewnić, że moja żona nie płakała tej nocy.

Ale jednak lokaj nie mówił prawdy. Po śniadaniu spotkałem panią Barrymore na korytarzu. Była to kobieta tęga, nieruchliwa, o grubych rysach twarzy i zaciętych ustach. Słońce padało jej wprost na twarz. Zdradziły ją oczy, gdy spojrzała na mnie spod powiek obrzękłych i zaczerwienionych. Ona to zatem płakała tej nocy i jej mąż nie mógł o tym nie wiedzieć.

A jednak zaryzykował kłamstwo twierdząc, że tak nie było. Dlaczego tak uczynił? I dlaczego płakała tak rozpaczliwie? Już więc na samym wstępie wokół tego bladego, przystojnego mężczyzny o czarnym zarostie zaczynała się wytwarzać atmosfera ponura i tajemnicza.

Wszakże on pierwszy znalazł zwłoki sir Charlesa i tylko z jego opowiadania znaleźliśmy okoliczności poprzedzające śmierć starego pana. A może jednak Barrymore był owym pasażerem, którego widzieliśmy w karecie na Regent Street? Broda owego nieznanego przypominała łudząco brodę lokaja. Dorożkarz opisał nam wprawdzie swego pasażera jako mężczyznę mniej niż średniego wzrostu, ale jego wrażenie mogło być błędne.

Jak wyjaśnić tę sprawę? Oczywiście, przede wszystkim należało pójść do kierownika poczty w Grimpen i stwierdzić, czy wysłany z Londynu telegram został istotnie oddany Barrymore'owi do rąk własnych. Jakąkolwiek otrzymam odpowiedź, będę mógł przynajmniej coś niecoś donieść Holmesowi.

Sir Henry zabrał się po śniadaniu do przeglądania licznych dokumentów, mogłem więc swobodnie wyruszyć na tę wyprawę. Po przyjemnym czteromilowym marszu wzdłuż brzegu moczarów dotarłem do małej wioski, gdzie dwa większe budynki wyróżniały się z daleka; jednym z nich była gospoda, drugim – dom doktora Mortimera.

Kierownik poczty, który był jednocześnie właścicielem sklepu spożywczego, pamiętał doskonale depeszę.

– Tak, proszę pana – odpowiedział na moje pytanie – posłałem telegram panu Barrymore'owi zgodnie ze wskazówkami.

– A kto go odnosił?

– Mój syn... ten oto. Jakubie, czy oddałeś telegram w zeszłym tygodniu panu Barrymore'owi w zamku?

– Tak, ojcie, oddałem.

– Do rąk własnych? – spytałem.

– Był wtedy na strychu, więc nie mogłem mu oddać do ręki, ale dałem depeszę pani Barrymore, a ona przyrzekła, że ją natychmiast zanieś mężowi.

– Czy widziałeś pana Barrymore'a?

– Nie, proszę pana; mówiłem już, że był na strychu.

– Jeśli go nie widziałeś, skąd możesz wiedzieć, że był na strychu?

– Przecież jego własna żona musiała chyba wiedzieć, gdzie się znajduje – wtrącił kierownik poczty zniecierpliwionym tonem. – Czy Barrymore nie otrzymał depeszy? Jeśli zaszła jakaś pomyłka, to niech on sam wniesie skargę.

Dalsze badanie wydało mi się bezcelowe; okazało się zatem, iż mimo wybiegu Holmesa nie mieliśmy dowodu, że Barrymore nie był w tym czasie w Londynie. Przypuśćmy, że był, przypuśćmy, że ten sam człowiek, który ostatni widział sir Charlesa przy życiu, pierwszy śledził nowego dziedzica po jego powrocie do Anglii. I cóż stąd? Czy był narzędziem osób trzecich, czy też miał własne złowrogie zamiary? Jaki miał cel w prześladowaniu rodziny Baskerville'ów? Przypominało mi się dziwne ostrzeżenie, wycięte ze wstępnego artykułu "Timesa". Czy było to dzieło Barrymore'a, czy też kogoś, kto chciał pokrzyżować jego plany?

Najprawdopodobniejszą pobudkę podał sir Henry, a mianowicie, że gdyby udało się rodzinę Baskerville'ów trzymać z dala od zamku, Barrymore'owie mieliby zapewnioną stałą i wygodną siedzibę. Ale takie tłumaczenie nie usprawiedliwiłoby bynajmniej subtelnego, chytrze obmyślonego planu, który jakby niewidzialną siecią oplątywał młodego baroneta. Holmes sam oświadczył, że wśród licznych sensacyjnych spraw, jakimi się zajmował, nie zdarzyła mu się jeszcze żadna równie zawikłana. Powracając szarą, pustą drogą, modliłem się w duchu, żeby mój przyjaciel uwolnił się jak najprędzej od swoich zajęć i przybył zdjąć z moich barków tę ciężką odpowiedzialność.

Nagle odgłos kroków, śpieszących za mną, i głos wołający mnie po nazwisku wyrwał mnie z zadumy. Odwróciłem się sądząc, że ujrzę doktora Mortimera, lecz ku memu zdziwieniu okazało się, że ktoś nie znany mi zupełnie biegł za mną.

Ujrzałem małego, chudego mężczyznę o bardzo jasnych włosach i szczupłej, gładko wygolonej twarzy. Miał na sobie szare ubranie, a na głowie słomkowy kapelusz. Wyglądał na trzydzieści kilka lat. Przez ramię przewieszoną miał puszkę blaszaną na rośliny, a w ręku nioś zieloną siatkę na motyle.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość – rzekł, gdy stanął przede mną zdyszany. – My,

mieszkańcy tych moczarów, jesteśmy ludźmi prostymi i nie czekamy, aby nas przedstawiono. Przypuszczam, że pan już słyszał o mnie od naszego wspólnego przyjaciela, doktora Mortimera. Nazywam się Stapleton, mieszkam w Merripit House.

– Poznałbym pana po siatce, i puszcze – odparłem – wiedziałem bowiem, że pan Stapleton jest przyrodnikiem. Ale jak pan mnie poznał?

– Byłem właśnie u Mortimera, gdy pan przechodził przed domem i doktor wskazał mi pana przez okno swego gabinetu. Ponieważ idziemy w tę samą stronę, postanowiłem dogonić pana i przedstawić się sam. Spodziewam się, że sir Henry nie jest zbyt zmęczony podróżą?

– Nie, bynajmniej, czuje się doskonale, dziękuję panu.

– Obawialiśmy się wszyscy, że po tragicznej śmierci sir Charlesa nowy baronet nie zechce zamieszkać tutaj. Trzeba przyznać, że zakopanie się w takiej dziurze jest dużym poświęceniem ze strony tak bogatego człowieka, ale nie potrzebuję chyba panu mówić, że obecność pana zamku jest rzeczą wielkiej wagi dla całej okolicy. Przypuszczam, że sir Henry wolny jest od wszelkich zabobonnych obaw?

– Tak sędzę.

– Pan, oczywiście, zna legendę o piekielnym psie, który prześladowuje tę rodzinę?

– Opowiadano mi ją.

– Szczególna rzecz, jak tutejsi chłopcy są łatwowierni. Każdy z nich gotów jest przysiąc, że widział na moczarach to fantastyczne zwierzę. – Mówił z uśmiechem, ale widziałem po jego oczach, że bierze tę sprawę bardziej poważnie. – Legenda ta opanowała do tego stopnia wyobraźnię sir Charlesa, że bez wątpienia była powodem jego tragicznego zgonu.

– A to w jaki sposób?

– Miał nerwy tak silnie rozstrojone, że ukazanie się jakiegokolwiek psa mogło wyrzucić fatalny wpływ na jego chore serce. Myślę, że musiał istotnie coś widzieć w alei cisowej owego ostatniego wieczoru. Obawiałem się ciągle jakiegoś nieszczęścia, bo byłem bardzo przywiązany do sir Charlesa, a wiedziałem, że ma słabe serce.

– A skąd pan wiedział?

– Od mego przyjaciela Mortimera.

– Sądzi pan zatem, że jakiś pies ścigał sir Charlesa i że umarł on skutkiem przestachu?

– Czy może mi pan dać jakieś lepsze wyjaśnienie?

– Dotychczas nie wysnułem stąd jeszcze żadnych wniosków.

– A pan Sherlock Holmes?

Oniemiałem przez chwilę ze zdziwienia, ale jedno spojrzenie na obojętną twarz i spokojny wzrok mego towarzysza przekonało mnie, że nie miał zamiaru mnie zaskoczyć.

– Udawanie, że pana nie znamy, doktorze Watsonie, nie miałyby sensu – rzekł Stapleton. – Echo czynów pana Holmesa dobiegło i do nas, a pan nie mógł ich rozślawiać nie zyskując sam rozgłosu. Pańska obecność tutaj oznacza, że pan Sherlock Holmes interesuje się tą sprawą. Naturalnie ciekaw jestem, jakie jest jego zdanie.

– Żałuję, ale nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– A wolno spytać, czy zaszczyca nas swymi odwiedzinami?

– Nie może obecnie opuścić Londynu. Zajęty jest innymi ważnymi sprawami.

– Jaka szkoda! Mógłby nam na pewno dużo wyjaśnić. W każdym razie gdybym mógł w jakiś sposób pomóc w pańskich dochodzeniach, to proszę mną rozporządzać. Jeślibym wiedział, w jakim kierunku będą pańskie podejrzenia albo w jaki sposób zamierza pan prowadzić badania, mógłbym może już teraz nawet służyć pomocą i radą.

– Zapewniam pana, że bawię tutaj jedynie jako gość mego przyjaciela, sir Henry'ego, i że obecnie żadna pomoc nie jest mi potrzebna.

– Doskonale – rzekł Stapleton. – Ma pan zupełną słuszość zachowując ostrożność i dyskrecję. Zasłużona to dla mnie nagana za moje niczym nie usprawiedliwione wścibstwo; przyrzekam, że powstrzymam się w przyszłości od najlżejszej wzmianki w tej sprawie.

Doszliśmy do miejsca, z którego wąska, zarosła trawą ścieżka prowadziła na moczary. Na prawo znajdował się stromy kamienisty pagórek; niegdyś były tu kamieniołomy. Ze ścieżki widać było ciemną skałę o szczelinach zarośniętych paprocią i głógiem. W dali chwiał się szary pióropusz dymu.

– Ścieżka ta doprowadzi nas do Merripit House, stąd już niedaleko – odezwał się Stapleton. – Jeśli więc miałyby pan godzinę wolnego czasu, proszę bardzo wstąpić do nas. Pragnąłbym przedstawić pana mojej siostrze.

W pierwszej chwili zamierzałem odmówić, bo obowiązek nakazywał mi powrócić do sir Henry'ego. Lecz przypomniałem sobie stos papierów i rachunków zalegający jego biurko. Oczywiście w tej pracy nie mogłem mu być żadną pomocą. A wszak Holmes zalecił mi usilnie, żebym starał się poznać sąsiadów zamkowych. Przyjąłem więc zaproszenie Stapletona i skręciliśmy na ścieżkę.

– Jakie piękne są te moczary – rzekł, rozglądając się dookoła po falistej równinie, poprzecinanej długimi, zielonymi pasmami wzgórz o poszarpanych granitowych szczytach, które z daleka wyglądały jak grzbiety fal na wzburzonym morzu.

– Widok ich nigdy nie spowszednieje. Takie rozległe, takie dzikie i kryjące w sobie tyle przedziwnych tajemnic.

– Pan zna dobrze te moczary?

– Jestem tu dopiero od dwóch lat. Oczywiście, stali mieszkańcy uważają mnie za świeżego przybysza. Zamieszkaliśmy tutaj wkrótce po osiedleniu się sir Charlesa w zamku. Ale dzięki wrodzonym upodobaniom przyrodniczym poznałem dokładnie całą okolicę i zdaje mi się, że niewielu tutejszych mieszkańców zna ją lepiej ode mnie.

– Czy to tak trudno poznać moczary?

– Bardzo. Czy widzi pan, na przykład, tę wielką równinę na północ stąd, z dziwacznymi wzgórzami pośrodku?

– Widzę, pyszne miejsce do konnej przejażdżki galopem.

– Tak by się rzeczywiście wydawało, ale podobny pomysł wiele osób przypłaciło już życiem. Czy widzi pan jasnozielone kępy, rozsiane gęsto po równinie?

– Tak, wydaje mi się, że są to miejsca żyźniejsze od innych.

Stapleton roześmiał się.

– To jest wielkie Trzęsawisko Grimpen – rzekł.

– Jeden fałszywy krok przynosi tam śmierć ludziom i zwierzętom. Wczoraj dopiero widziałem, jak wpadł tam kuc i już się nie wydostał. Przez długi czas jeszcze łeb biednego zwierzęcia wystawał nad trzęsawiskiem, dopóki się zupełnie nie zapadł. Nawet podczas wielkiej suszy niebezpiecznie jest przechodzić tamtędy, a po niedawnych deszczach jesiennych to miejsce jest wprost straszne. Ja jednak potrafię dotrzeć do samego środka trzęsawiska i powrócić bezpiecznie. Tam do licha! Oto i drugi nieszczęsny kuc.

Coś brunatnego rzucało się i szarpało wśród zielonego sitowia. Potem ujrzelśmy długą szyję, wyprężoną w śmiertelnym skurczu, i rozpaczliwe rżenie rozległo się po moczarach. Zdrętwiałem z przerażenia, mój towarzysz jednak miał widocznie silniejsze nerwy.

– Utonął – rzekł. – Już go trzęsawisko pochłonęło. Dwa w przeciągu dwóch dni, a może i więcej, bo kuce pasą się tam w okresie suszy, a gdy jest mokro, nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa, dopóki trzęsawisko nie pochwyli ich w swoje

objęcia. To jest potworne miejsce.

– A pan może przejść tędy bezpiecznie?

– Ja mogę, bo odkryłem tam dwie ścieżki, po których człowiek bardzo zwinny może chodzić.

– Ale po co pan tam chodzi?

– Czy widzi pan te pagórki w dali? Otóż są to prawdziwe wyspy, otoczone ze wszystkich stron morzem trzęsawisk. Na wyspach tych znajdują się rzadkie okazy roślin i motyli. Jest to istny raj dla przyrodnika.

– To i ja spróbuję któregoś dnia.

Stapleton spojrział na mnie ze zdumieniem.

– Na miłość boską, niech pan porzuci tę myśl – rzekł. – Miałbym śmierć pańską na sumieniu. Zapewniam pana, że nie powróciłby pan żywy. Mnie od zguby chroni tylko to, że pamiętam dobrze pewne cechy charakterystyczne terenu.

– A to co? – zawołałem. – Co to jest?

Nad moczarami rozległ się przeciągły, beznadziejnie smutny jęk. Słysząc go było wyraźnie, a mimo to nie można było określić, skąd pochodził. Wzmagał się stopniowo, aż przemienił się w groźne wycie, które z kolei stawało się coraz cichsze, przechodząc w drżący, nieskończenie smutny skowyt.

Stapleton spojrział na mnie szczególnym wzrokiem.

– Dziwne są te moczary! – rzekł.

– Ale co to jest?

– Chłopi powiedzieliby, że to pies Baskerville'ów domaga się swej ofiary. Słyszałem ten odgłos już ze dwa razy, ale nigdy tak wyraźnie.

Z sercem ściśniętym ze strachu rozglądałem się po rozległej, falistej równinie, pokrytej zielonymi kępami sitowia. Na całym obszarze nie było widać żadnego żywego stworzenia prócz pary kruków, kraczących głośno na skale.

– Pan jest człowiekiem wykształconym, więc nie może pan wierzyć w takie głupstwa – powiedziałem. – Jaka, zdaniem pana, jest przyczyna tego niesamowitego krzyku?

– Bagna wydają czasem dziwne odgłosy. Może to błoto opada albo woda się wznosi, czy ja wiem.

– Nie, nie, to był głos istoty żyjącej!

– Może. Słyszał pan kiedy buczenie bąka?

– Nie, nigdy.

– To bardzo rzadki ptak błotny, w Anglii prawie już nie spotykany, ale na moczarach wszystko jest możliwe. Tak, nie zdziwiłbym się wcale, gdyby mi powiedziano, że ten głos, który słyszeliśmy, był głosem jednego z nielicznych bąków, jakie jeszcze gnieźdzą się na terenie Anglii.

– Jak żyję, nie słyszałem nic równie niesamowitego i przerażającego.

– Tak, to jest niesamowite miejsce. Niech pan spojrzy na to wzgórze. Co pan o tym sądzi?

Całe strome zbocze pokryte było kolisto ustawionymi grupami głazów, a było tam kilkanaście takich grup.

– Czy to są zagrody dla owiec?

– Nie, to siedziby naszych czcigodnych przodków. W czasach przedhistorycznych moczary były gęsto zaludnione, a ponieważ od owej pory nikt tu nie mieszkał, budowle te przetrwały w stanie niemal nienaruszonym aż do dzisiaj. Rozpadły się tylko dachy. Jeżeli to pana interesuje, może pan wejść do środka jednego z nich i obejrzyć sobie paleniska i kamienne łoża.

– Ależ to całe miasto! Kiedy było ono zamieszkane?

– W okresie epoki neolitycznej, dokładna data nie znana.

– Czymże zajmowali się ludzie w tym okresie?

– Paśli bydło na tych stokach i uczyli się wytapiać kruszec, gdy miecz z brązu zaczął zastępować kamienny topór. Niech pan spojrzy na ten wielki dół wykopany w pagórku leżącym wprost przed nami. To ślady ich pracy. Tak, tak, doktorze Watsonie, znajdzie pan na tych moczarach niejedno niezwykle ciekawe miejsce... Ach, przepraszam pana na chwilkę! To z pewnością *Cyklopides*.

Muszka czy też ćma przeleciała nad naszą ścieżką i Stapleton w mgnieniu oka z nadzwyczajną szybkością puścił się za nią w pogoń. Ku memu przerażeniu owad leciał prosto na wielkie trzęsawisko, ale mój nowy znajomy nie zawahał się ani na chwilę. Gonił za nim, skacząc z kępy na kępę i powiewając w powietrzu zieloną siatką, a szara jego postać w tym pościgu wydawała się również jakąś olbrzymią ćmą.

Stałem, podziwiając nadzwyczajną zręczność Stapletona, a jednocześnie obawiając się, żeby nie utracił gruntu pod nogami na zdradzieckim trzęsawisku, gdy nagle dobiegł mnie odgłos kroków. Odwróciłem się i ujrzałem nie opodal na ścieżce kobietę. Szła od strony, w której – jak to wskazywał słup dymu – znajdował się Merripit House.

Nie miałem wątpliwości, że była to panna Stapleton, o której mi mówiono,

gdyż kobiet w okolicy moczarów musiało być bardzo niewiele; pamiętam też, iż ktoś mówiąc o niej wspominał o jej wielkiej piękności. A kobieta zbliżająca się do mnie była niewątpliwie piękna.

Trudno było o większy kontrast między rodzeństwem. Stapleton miał cerę bezbarwną, jasne włosy i szare oczy, jego siostra zaś była najciemniejszą brunteką, jaką kiedykolwiek widziałem w Anglii – smukła, wysoka i wytworna. Twarz miała dumną, o delikatnych, jak wyrzeźbionych rysach, tak regularnych, że uroda jej mogłaby się wydawać zimną, gdyby nie zmysłowe usta i żywe, przepiękne czarne oczy.

Jej niezwykle zgrabna sylwetka w eleganckiej sukni była istotnie dziwnym zjawiskiem na odludnej ścieżce wśród moczarów. Gdy się odwróciłem, miała wzrok utkwiony w brata, ale po chwili spojrzała na mnie i przyspieszyła kroku. Uchyliłem kapelusza i zamierzałem coś powiedzieć dla wyjaśnienia swej obecności, gdy jej słowa zwróciły wszystkie moje myśli w innym kierunku.

– Niech pan wraca! – rzekła. – Proszę natychmiast wracać do Londynu.

Patrzyłem na nią osłupiały ze zdumienia. Oczy jej ciskały na mnie błyskawice, tupiała nogą niecierpliwie.

– Dlaczego mam wracać? – spytałem.

– Nie mogę powiedzieć nic więcej – mówiła szybko, stłumionym głosem, jakoś dziwnie wymawiając słowa. – Ale, na miłość boską, niech pan zrobi to, o co proszę. Niech pan wraca i niech noga pańska nigdy już nie postanie na tych moczarach.

– Ależ ja tylko co przyjechałem.

– Człowieku! Człowieku! – zawołała. – Czyż nie rozumie pan, że ta przestroga ma na celu pańskie dobro? Proszę wracać do Londynu! Wyjechać jeszcze dziś wieczór! Uciekać stąd za wszelką cenę! Proszę nic nie mówić, mój brat wraca. Ani słowa o tym, co panu powiedziałam. O, jaki śliczny storczyk! Proszę mi go zerwać. Mieliśmy tu na moczarach moc storczyków, ale pan przyjechał za późno i już nie będzie pan mógł ocenić w pełni piękności naszej okolicy.

Stapleton zaniechał pogoni i wracał do nas zadyszany, czerwony z wysiłku.

– A, skąd się tu wzięłaś, Beryl? – rzekł.

Zdawało mi się, że ton tego powitania nie był nazbyt serdeczny.

– Zgrzałeś się bardzo, Jack.

– Tak, gonilem Cyklopidesa. To rzadki owad, zwłaszcza tak późną jesienią. Jaka szkoda, że nie udało mi się go schwytać!

Mówił obojętnie, ale jego małe siwe oczy biegały nieustannie od młodej

dziewczyny ku mnie.

– Widzę, że państwo już się poznali.

– Tak, mówiłam właśnie sir Henry'emu, że przyjechał za późno i nie będzie mógł ocenić prawdziwej piękności moczarów.

– Ach, to ty bierzesz pana za...

– Więc to nie sir Henry Baskerville?

– Nie, nie – rzekłam. – Jestem zwykłym śmiertelnikiem, chociaż jego przyjacielem. Nazywam się doktor Watson.

Rumieniec gniewu przemknął po jej wyrazistej twarzy.

– W takim razie nasza rozmowa nie miała wielkiego sensu – rzekła.

– Co prawda niewiele mieliście czasu na rozmowę – zauważył brat, patrząc na nią tym samym badawczym wzrokiem.

– Mówiłam doktorowi Watsonowi, że już jest za późno na storczyki, ale co go to może obchodzić, jeśli jest tylko chwilowym gościem w naszej okolicy. Ale może wstąpi pan do nas, doktorze?

Wkrótce stanęliśmy przed posępnym kamiennym domem. Kiedyś była tu farma hodowcy bydła, teraz dom został odnowiony i przerobiony na nowoczesne mieszkanie. Otoczony był sadem, ale drzewa, jak zwykle wśród moczarów, były nędzne i skarłowaciałe, tak że całość robiła smutne wrażenie.

Drzwi otworzył nam stary służący w tabaczkowym surducie, o dziwnej, zasuszonej postaci, pasującej do całego otoczenia. Obszerne pokoje były jednak urządzone z wytwornym smakiem, który dowodził dobrego gustu pani domu. Spoglądając przez okna na bezbrzeżne, usiane skałami moczary, ciągnące się aż do najdalszych krańców widnokregu, pytałem siebie ze zdumieniem, co mogło skłonić tego wysoce wykształconego człowieka i tę piękną kobietę do zamieszkania w takim pustkowiu.

– Dziwi się pan, że wybraliśmy sobie takie miejsce – odezwał się Stapleton, jak gdyby w odpowiedzi na moje myśli. – A jednak jesteśmy tu szczęśliwi, prawda, Beryl?

– Zupełnie szczęśliwi – odparła, ale bez wielkiego przekonania.

– Miałem szkołę na północy Anglii – rzekł Stapleton. – Dla człowieka mojego temperamentu była to praca mechaniczna i nudna, ale obcowanie z młodzieżą, urabianie młodych umysłów, wpajanie w nie własnych zapatrywań i myśli miało dla mnie dużo uroku. Nie poszczęściło mi się jednak. W szkole wybuchła epidemia i trzech chłopców umarło. Był to ciężki cios dla mego zakładu, który skutkiem tego

podupadł zupełnie, a ja straciłem bezpowrotnie znaczną część mego kapitału. Gdyby nie brak towarzystwa młodzieży, którą tak bardzo lubiłem, powinienem właściwie cieszyć się z własnego nieszczęścia, ponieważ mając wielkie zamiłowanie do botaniki i zoologii, posiadam tu nieograniczone pole do działania; siostra moja także kocha przyrodę, i to nie mniej ode mnie. Wyjaśnienie to jest odpowiedzią na pytanie, jakie wyczytałem w pańskiej twarzy, gdy przyglądał się pan przez okno moczarom.

– Istotnie, przeszło mi przez myśl, że może tu być trochę nudno, nie tyle dla pana, ile dla pańskiej siostry.

– O nie, ja się nigdy nie nudzę – wtrąciła żywo panna Stapleton.

– Mamy książki, mamy nasze zainteresowania naukowe, wreszcie mamy ciekawych sąsiadów. Doktor Mortimer jest bardzo wykształconym człowiekiem i wielkim specjalistą w swojej dziedzinie; biedny sir Charles był niezrównanym towarzyszem. Zналиśmy go dobrze i nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo odczuwamy jego brak. Jak się panu zdaje, czy przeszkodzę sir Henry'emu, jeśli odwiedzę go dziś po południu? Chciałbym go poznać.

– Sądzę, że będzie panu bardzo rad.

– A zatem może pan uprzedzi go o moim zamiarze. Pragnęlibyśmy, o ile to w naszej mocy, uprzyjemnić mu pobyt, zanim się przyzwyczai do nowego otoczenia. Czy chce pan pójść ze mną na górę obejrzeć mój zbiór motyli? Zdaje mi się, że w całej Anglii południowej nie ma piękniejszego. Zanim skończymy, śniadanie będzie gotowe.

Musiałem jednak wracać do moich obowiązków. Ponury krajobraz, śmierć nieszczęsnego kuca, niesamowity odgłos z moczarów, mający jakoby związek ze straszną legendą Baskerville'ów, wszystko to przejęło mnie niepokojem. A w dodatku do tych nieokreślonych wrażeń przyłączyła się wyraźna przestroga panny Stapleton, wypowiedziana z taką stanowczością, że bez wątpienia skłaniały ją ku temu jakieś ważne powody.

Oparłem się więc wszelkim naleganiom, aby zostać na śniadaniu, i wyruszyłem niezwłocznie w drogę powrotną tą samą ścieżką, którą przyszedłem.

Musiało tam być jednak dla wtajemniczonych jakieś krótsze przejście, gdyż dochodząc do drogi, spostrzegłem ze zdumieniem pannę Stapleton siedzącą na kamieniu. Zarumieniona od wysiłku trzymała dłoń na sercu, jak gdyby chcąc stłumić jego bicie.

– Biegłam co sił, żeby tu panu zastąpić drogę – rzekła. – Nie miałam nawet czasu włożyć kapelusza. Nie mogę zatrzymać się tu dłużej, bo brat zauważy, że mnie

nie ma. Chciałam tylko przeprosić pana za tę głupią pomyłkę... Wzięłam pana za sir Henry'ego. Proszę, niech pan zapomni moje słowa, która pana w niczym nie dotyczą.

– Ależ ja ich zapomnieć nie mogę – rzekłam.

– Jestem przyjacielem sir Henry'ego, a bezpieczeństwo jego bardzo mnie obchodzi. Niech mi pani powie, dlaczego pani tak nalegała, żeby sir Henry powrócił do Londynu?

– Kaprys kobiecy, doktorze Watsonie. Gdy mnie pan pozna lepiej, zrozumie pan, że nie zawsze potrafię wyjaśnić pobudki moich słów i czynów.

– Nie, nie. Pamiętam drżenie głosu pani. Pamiętam spojrzenie pani oczu. Błagam panią, niech pani będzie ze mną szczerą, bo od czasu przyjazdu w te strony czuję, że otacza mnie jakaś tajemnica. Życie tutaj stało się podobne do tego wielkiego Trzęsawiska Grimpen, gdzie wszędzie czyha na człowieka śmierć, a nigdzie nie ma przewodnika, który by wskazał właściwą drogę. Niechże mi pani powie, co miało oznaczać to ostrzeżenie, a przyrzekam, że powtórzę je sir Henry'emu.

Zawahała się przez chwilę, ale twarz jej przybrała znowu chłodny wyraz.

– Przywiązuje pan do moich słów zbyt wielką wagę – rzekła. – Śmierć sir Charlesa była dotkliwym ciosem dla mego brata i dla mnie. Łączyły nas stosunki bardzo bliskie, a droga przez moczary do naszego domu stanowiła ulubioną jego przechadzkę. Był głęboko przejęty klątwą ciążyącą nad całym rodem, a po jego tragicznym zgonie sama zaczęłam wierzyć, iż obawy, jakie wyrażał niejednokrotnie, były uzasadnione. Stąd moje przerażenie, gdy dowiedziałam się, że przybywa do zamku inny członek rodziny Baskerville'ów, i uważałam za swój obowiązek ostrzec go o niebezpieczeństwie, jakie mu grozi. To jedynie miałam na myśli.

– Ale na czym polega to niebezpieczeństwo?

– Słyszał pan opowieść o psie?

– Nie wierzę w te głupstwa.

– Ale ja wierzę. Jeżeli pan ma jakikolwiek wpływ na sir Henry'ego, niech go pan zabierze z tego miejsca, które przynosiło zawsze nieszczęście jego rodziny. Świat jest szeroki. Dlaczego sir Henry ma pozostawać tutaj, gdzie grozi mu niebezpieczeństwo?

– Dlatego właśnie, że mu grozi. Taka jest już natura sir Henry'ego. Obawiam się, że jeśli pani nie da mi jakichś bliższych wyjaśnień, nie zdołam nakłonić go do wyjazdu.

– Nie mogę dać panu bliższych wyjaśnień, bo nic więcej nie wiem.

– Chciałbym zadać pani jeszcze jedno pytanie. Jeśli w słowach pani, wypowiedzianych do mnie przy naszym pierwszym spotkaniu, nie było istotnie żadnej ukrytej myśli, to dlaczego nie chciała pani, żeby je brat słyszał? Nie było w nich nic takiego, co by mu się mogło nie podobać.

– Brat mój pragnie, żeby sir Henry zamieszkał w zamku, gdyż jest zdania, że wymaga tego dobro biednych okolicznych mieszkańców. Gniewałby się bardzo, gdyby słyszał, że powiedziałam coś takiego, co mogłoby nakłonić sir Henry'ego do wyjazdu. Ale spełniłam swój obowiązek i nie mam już nic więcej do powiedzenia. Muszę wracać, gdyż brat spostrzeże, że mnie nie ma, i domyśli się, że rozmawiałam z panem. Do widzenia!

Zawróciła i w kilka chwil później zniknęła wśród głązów, gdy ja z duszą pełną nieokreślonej obawy podążyłem do Baskerville Hallu.

8. Pierwsze sprawozdanie doktora Watsona

Od tej chwili będę podawał bieg wydarzeń, przepisując moje własne listy do Sherlocka Holmesa, które leżą przede mną na stole. Brak mi jednej kartki, ale reszta jest jak najwierniej przepisana. Odtwarzają one moje ówczesne uczucia i podejrzenia dokładniej niż moja pamięć, jakkolwiek zachowałem niezatarte wspomnienia tych tragicznych wypadków.

Baskerville Hall, 13 października

Mój drogi Holmesie!

Moje poprzednie listy i depesze informowały Cię dokładnie o wszystkim, co zaszło dotąd w tym zapomnianym przez Boga zakątku świata. Im dłużej człowiek tu przebywa, tym większe wrażenie wywierają moczary swoim ogromem i ponurym urokiem.

Kto raz dotarł do ich wnętrza, ten pozostawił za sobą wszelkie ślady Anglii współczesnej, natomiast spotyka wszędzie siedziby ludzi przedhistorycznych. Gdziekolwiek stąpniesz, wszędzie widzisz domostwa zapomnianych pokoleń, ich groby i olbrzymie monolity, które przypuszczalnie oznaczają miejsca, gdzie wznosiły się świątynie.

Spoglądając na te szare kamienne domostwa, wsparte na skalistych stokach

wzgórz, zapominasz o wieku, w jakim żyjesz, a gdybyś ujrzał nagle okrytego skórą, obrośniętego człowieka, wylazącego ze swego legowiska i zakładającego na cięciwę łuku strzałę o ostrzu z krzemienia, zdawałoby ci się, że jego obecność tam jest naturalniejsza niż twoja własna.

Dziwić się tylko należy, dlaczego ci przedhistoryczni przodkowie nasi zaludniali tak gęsto ziemię, która niewątpliwie musiała być zawsze nieurodzajna. Nie jestem archeologiem, ale przypuszczam, że był to jakiś szczep łagodny i niewojowniczy, który musiał zadowolić się tym, co pozostawiono. Wszystko to wszakże nie ma nic wspólnego z zadaniem, które mi powierzyłeś, i nie zaciekawia prawdopodobnie Twego ściśle praktycznego umysłu. Pamiętam dobrze, iż obojętne Ci jest najzupełniej, czy ziemia obraca się naokoło słońca, czy też słońce naokoło ziemi. Wracam tedy do faktów dotyczących sir Henry'ego Baskerville'a.

Jeśli nie dostałeś ode mnie sprawozdania w ciągu ostatnich dni, to jedynie dlatego, że nie miałem Ci nic ważnego do doniesienia. Ostatnio jednak zaszła rzecz niezwykła. Przede wszystkim jednak muszę Cię zapoznać z innymi szczegółami, ściśle związanymi z całą sprawą.

O jednym z nich wspomniałem Ci już poprzednio. Chodzi o zbiegłego więźnia, ukrywającego się wśród moczarów. Obecnie są poważne powody do przypuszczeń, że opuścił on już te strony, co znacznie uspokoiło okolicznych mieszkańców. Już dwa tygodnie minęły od jego ucieczki z więzienia i w ciągu tego całego czasu nikt go nie widział i nikt o nim nie słyszał. Niepodobieństwem jest, żeby wytrzymał tak długo na moczarach. Ukryć mógłby się z łatwością w którymkolwiek z tych przedhistorycznych domostw, ale nie miałby co jeść, chyba że schwytałby jednego z pasących się na stokach gór baranów. Sądzymy więc, że stąd uciekł, a okoliczni chłopci śpią teraz spokojnie.

W zamku jest nas czterech mężczyzn, zdolnych obronić się w razie potrzeby, ale wyznaję, że miałem chwilę niepokoju na myśl o Stapletonach. Mieszkają na zupełnym pustkowiu, jest tam tylko dwoje służby – dziewczyna i stary służący, a sam Stapleton nie jest zbyt silny. Byłby więc wraz z siostrą zupełnie bezbronny w rękach takiego szaleńca jak ów morderca z Notting Hill. Sir Henry niepokoił się tym nie mniej ode mnie i zaproponował, żeby stangret Perkins chodził do nich nocować, ale Stapleton nawet słyszeć o tym nie chciał.

Muszę nadmienić, że nasz przyjaciel baronet zaczyna okazywać wyraźne zainteresowanie piękną sąsiadką. Jest to zrozumiałe, bo czas na tym odludziu wlece

się nieznośnie dla człowieka tak czynnego jak on, a panna jest bardzo ładna. Posiada jakiś egzotyczny urok, co stanowi szczególny kontrast z chłodem i obojętnością jej brata. Jednak odniosłem wrażenie, że i u niego pod tą zimną powłoką kryje się gorąca krew. Ma on widocznie wielki wpływ na siostrę; zauważyłem, że panna Stapleton rozmawiając, ciągle spogląda na niego pytającym wzrokiem, jak gdyby szukała uznania dla swoich słów. Mam nadzieję, że jest dla niej dobry. Zimne błyski w oczach tego człowieka, zacięte, wąskie wargi wskazują na naturę stanowczą, a może nawet nieubłaganą. Ręczę, że zainteresowałby Ciebie.

Stapleton odwiedził Baskerville'a zaraz pierwszego dnia, a nazajutrz rano zaprowadził nas obu tam, gdzie jakoby wzięła początek legenda o okrutnym Hugonie. Szliśmy kilka mil przez moczary do miejsca tak ponurego, że mogło ono śmiało zrodzić tę straszną opowieść.

Stanęliśmy u wejścia do niedużego wąwozu między urwistymi skałami. Wąwóz prowadzi do szerokiej kotliny, pokrytej kępami sitowia. Na środku tej kotliny sterczą dwa wielkie głazy o wierzchołkach tak ostrych i spiczastych, że wyglądają jak olbrzymie kły jakiejś potwornej bestii. Całe otoczenie odpowiadało najzupełniej scenie legendarnej tragedii.

Sir Henry rozglądał się dokoła z wielkim zainteresowaniem i niejednokrotnie zapytywał Stapletona, czy wierzy w możliwość oddziaływania sił nadprzyrodzonych na bieg ludzkich spraw. Mówił tonem wesołym, lecz wyczuwało się, że bierze sprawę poważnie. Odpowiedzi Stapletona były powściągliwe, lecz każdy z łatwością mógłby dostrzec, że nie wypowiada otwarcie swego zdania, aby nie niepokoić baroneta. Opowiedział nam jednak o podobnych wypadkach prześladowania rodzin przez jakieś złe siły i pozostawił nas pod wrażeniem, że podziela ogólną wiarę w legendę.

W drodze powrotnej wstąpiliśmy na śniadanie do Merripit House i tu sir Henry poznał pannę Stapleton.

Od pierwszej chwili widok jej wywarł na nim głębokie wrażenie i sędzę, że było ono wzajemne. Gdy wracaliśmy do domu, mówił o niej ciągle, a teraz nie ma prawie dnia, abyśmy nie widzieli się z rodzeństwem. Będą tu dziś na obiedzie, a w przyszłym tygodniu my mamy podobno być u nich.

Należałoby przypuszczać, że Stapleton powinien być zachwycony perspektywą takiego małżeństwa, tymczasem niejednokrotnie zauważyłem wyraz wielkiego niezadowolenia na jego twarzy, gdy sir Henry okazywał swoje zainteresowanie piękną sąsiadką. Stapleton jest niewątpliwie ogromnie do siostry przywiązany i bez niej

czułby się bardzo samotny, lecz byłoby to szczytem egoizmu z jego strony, gdyby z tego względu nie dopuścił do tak świetnego dla niej małżeństwa.

Jednak jestem pewien, że Stapleton nie życzy sobie, żeby przyjaźń młodej pary przekształciła się w miłość, i kilkakrotnie zauważyłem, że stara się nie zostawiać ich sam na sam. Nawiasem mówiąc, jeśli sprawa miłosna przyłączy się do dotychczasowych trudności, wypełnianie Twego polecenia, abym wszędzie towarzyszył sir Henry'emu, stanie się dla mnie bardzo uciążliwe. Utracę całą jego sympatię, jeśli będę chciał dosłownie wypełniać Twoje rozkazy.

Przed kilku dniami – w czwartek dla ścisłości – doktor Mortimer był u nas na śniadaniu. Wykopał czaszkę człowieka z przedhistorycznego grobu w Long Down i jest uszczęśliwiony. Nie znam takiego drugiego entuzjasty. Po śniadaniu przyszedli Stapletonowie i pocziwy doktor, na prośbę sir Henry'ego, zaprowadził nas wszystkich do alei cisowej, żeby nam opowiedzieć dokładnie na miejscu, jak się to wszystko stało w ową fatalną noc.

Aleja jest długa, ponura, ocieniają ją wysokie szpalery, a po obu jej stronach pod szpalerami ciągnie się wąski pas trawnika. Na końcu stoi stara, rozpadająca się altana, a w połowie alei znajduje się furтка, gdzie sir Charles strząsnął popiół z cygara. Jest to biała drewniana furтка, zamykana na kłódkę. Poza nią rozpościerają się moczary.

Pamiętam Twoją hipotezę w tej sprawie i usiłowałem odtworzyć sobie w wyobraźni to, co tam zaszło. Sir Charles stojąc przy furtku ujrzał coś idącego przez moczary, coś, co go przejęło taką grozą, że stracił panowanie nad sobą, zaczął uciekać i biegł bez pamięci, dopóki nie padł martwy z wysiłku i przerażenia. Biegł długim, ponurym tunelem. Przed czym uciekał? Przed zwykłym owczarkiem z moczarów czy też przed jakimś czarnym, upiornym psem? Czy działała tu ręka ludzka? Czy blady, czujny Barrymore wie więcej, niż chce nam powiedzieć? Wszędzie mrok i tajemnica, a na wszystkim niezaprzeczone piętno zbrodni.

Od czasu, gdy pisałem ostatni raz do Ciebie, i poznałem jeszcze jednego sąsiada, pana Franklanda z Lafter Hallu, który mieszka o jakieś cztery mile na południe od nas. Jest to człowiek starszy, siwy, czerwony jak burak, o cholerycznym temperamentem. Ma jedną namiętność – prawo brytyjskie, i stracił już prawie cały majątek na procesy. Walczy w sądach dla samej przyjemności walki i obojętne mu jest, której strony broni. Nic dziwnego, że rozrywka ta jest tak kosztowna.

Czasem zamyka ni stąd, ni zowąd drogę publiczną i zmusza gminę do pozwania

go przed sądy; innym razem własnoręcznie obala płot, okalający grunt któregoś z sąsiadów, i upiera się, że istniała tam od czasów niepamiętnych droga, i zmusza właściciela do zaskarżenia go o najście. Zna doskonale prawa własności dworu i wsi i czasem wyzyskuje te wiadomości na korzyść wieśniaków z Fernworth, a czasem przeciw nim, tak że bywa kolejno albo obnoszony w tryumfie po wsi, albo palony symbolicznie na stosie – zależnie od swego ostatniego wyczynu.

Mówią, że obecnie jest zamieszany w siedem procesów, które pewnie pochłoną resztki jego majątku, co mu wytrąci broń z ręki i uczyni go nieszkodliwym na przyszłość. Poza tym wydaje się człowiekiem łagodnym, dobrodusznym i wspominam o nim tylko dlatego, że nalegałeś, abym opisał Ci wszystkie osoby stanowiące nasze otoczenie.

Pan Frankland wybrał sobie obecnie szczególne zajęcie: uprawiając z amatorstwa astronomię, posiada świetny teleskop i przez cały dzień z dachu swego domu rozgląda się po moczarach w nadziei, że dostrzeże zbiegłego więźnia. Gdyby tylko chciał swoją działalność do tego ograniczyć!

Ale krążą pogłoski, że zamierza wytoczyć proces doktorowi Mortimerowi za otwarcie grobu bez zezwolenia najbliższych krewnych, a to dlatego, że doktor wykopał z grobu w Long Down ową czaszkę przedhistoryczną z okresu kamienia ciosanego. Dzięki Franklandowi mamy życie nieco urozmaicone, gdyż do naprężonej atmosfery wprowadza on bardzo pożądaną pierwiastek komiczny.

A teraz, skoro już wiesz wszystko, co się dotąd działo ze zbiegłym więźniem, Stapletonami, doktorem Mortimerem i Franklandem z Lafter Hallu, przejdę do rzeczy ważniejszych i opowiem Ci o Barrymore'ach, a zwłaszcza o niespodziewanym wydarzeniu ubiegłej nocy.

Przede wszystkim powrócę do depezy, którą wysłałeś z Londynu, żeby się upewnić, czy Barrymore był istotnie w zamku. Jak już wspominałem, słowa kierownika poczty wykazały, że próba ta nie powiodła się. Powiedziałem o tym sir Henry'emu, a on, ze swą zwykłą szczerością, wezwał Barrymore'a i zapytał go, czy odebrał depezę osobiście. Barrymore, wyraźnie zdziwiony, zastanowił się przez chwilę.

– Nie – odparł – byłem na strychu i żona mi ją przyniosła.

– A czy odpowiedziałeś sam na depezę?

– Nie, poleciłem żonie, żeby odpowiedziała za mnie.

Wieczorem Barrymore sam powrócił do tego tematu.

– Nie rozumiem dobrze, sir Henry, dlaczego pan mi dziś rano zadawał te pytania – rzekł.

– Mam nadzieję, że w niczym nie nadużyłem pańskiego zaufania?

Sir Henry uspokoił jego obawy i udobruchał ofiarowując mu znaczną część swojej starej garderoby, ponieważ ubrania, zamówione w Londynie, już nadeszły.

Pani Barrymore zaciekawia mnie bardzo. Jest to niewiasta tęga, ograniczona, ale zacna, ze skłonnością do purytanizmu. Trudno sobie wyobrazić osobę mniej uczuciową. A jednak pisałem Ci, że pierwszej nocy po przyjeździe słyszałem jej gorzki płacz, a potem zauważyłem niejednokrotnie ślady łez na jej twarzy. Gnębi ją niewątpliwie jakieś wielkie zmartwienie. Czasem wydaje mi się, że trapią ją wyrzuty sumienia, a czasem znów posądzam Barrymore'a, że jest tyranem domowym. Odczułem od razu coś niezwykłego i tajemniczego w tym człowieku, ale przygoda ostatniej nocy wzmogła do najwyższego stopnia moje podejrzenia.

Niemniej zajście samo przez się może się wydać błahe.

Jak Ci wiadomo, mam lekki sen, a od chwili mego przyjazdu śpię nadzwyczaj czujnie. Otóż ubiegłej nocy, około drugiej nad ranem, zbudził mnie odgłos skradających się kroków. Wstałem i cicho uchyliłem drzwi. Ujrzałem wydłużony czarny cień. Padał on od postaci mężczyzny, sunącego po korytarzu ze świecą w rękę. Miał na sobie tylko koszulę i spodnie i był boso. Dojrzałem zaledwie zarys postaci, lecz po wzroście poznałem Barrymore'a. Szedł wolno i ostrożnie, a całe jego zachowanie wzbudziło podejrzenia.

Pisałem Ci, że korytarz przecięty jest galerią, biegnącą dokoła hallu, i po jej drugiej stronie ciągnie się dalej. Zaczekałem, aż Barrymore zniknął mi z oczu, i podążyłem za nim. Gdy okrążyłem galerię, był on już na końcu drugiej części korytarza. Światło padające przez otwarte drzwi wskazywało, że wszedł do jednego z pokoiów. Ponieważ pokoje w tym skrzydle zamku są nie zamieszkane i nie umeblowane, jego wyprawa stawała się coraz bardziej tajemnicza. Światło padało nieruchomo, jak gdyby Barrymore stał bez ruchu. Zakradłem się, jak mogłem najciszej, pod drzwi i zajrzałem do pokoju.

Barrymore stał skulony przy oknie i trzymał świecę przed samą szybą. Zwrócony do mnie profilem, wpatrywał się z napięciem w czarną dal moczarów, a rysy jego jakby skamieniały w oczekiwaniu. Stał tak przez kilka minut, po czym westchnął głęboko i niecierpliwym ruchem zgasił świecę. Powróciłem co tchu do siebie i wkrótce usłyszałem znów odgłos cichych kroków na korytarzu. Po długiej

chwili, gdy zapadłem już w pół-sen, dobiegł mnie zgrzyt obracanego w zamku klucza, lecz nie mogłem zdać sobie sprawy, skąd ten dźwięk pochodził.

Nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy, ale w tym ponurym domu dzieją się jakieś tajemnicze sprawy, które prędzej czy później będziemy musieli wyjaśnić. Nie zaprzętam Ci głowy swoimi przypuszczeniami, gdyż żądałeś ode mnie tylko faktów. Dziś rano długo rozmawiałem z sir Henry'm i ułożyliśmy plan kampanii na podstawie moich obserwacji z ubiegłej nocy. Nie powiem Ci dziś, na czym nasz plan polega, a przeczytasz z tym większym zainteresowaniem moje następne sprawozdanie.

9. Drugie sprawozdanie doktora Watsona

Światło na moczarach

Baskerville Hall, 15 października

Mój drogi Holmesie!

Jeżeli przez pierwsze dni mego pobytu tutaj nie przysłałem Ci zbyt obszernych listów, musisz przyznać, że nadrabiam teraz stracony czas i że wypadki szybko następują po sobie. Ostatnie sprawozdanie zakończyłem opisem nocnej wyprawy Barrymore'a, a dzisiaj mam całą moc nowin, które wprawia Cię niewątpliwie w zdumienie.

Rzeczy przybrały obrót zupełnie niespodziewany. Pod niektórymi względami wiele się wyjaśniło przez ostatnie dwie doby, pod innymi zaś jeszcze bardziej powikłało. Ale opiszę Ci wszystko po kolei i sam osądzisz.

Nazajutrz rano po owej nocnej przygodzie udałem się przed śniadaniem do pokoju, do którego w nocy wchodził Barrymore. Zauważyłem, że okno zachodnie, przez które wyglądał z takim natężeniem, tym się różni od innych, że widać stamtąd wyraźnie moczary dzięki przerwie między drzewami, podczas gdy ze wszystkich innych okien widok jest zasłonięty. Stąd wynika, że Barrymore wypatrywał kogoś lub czegoś na moczarach.

Nie wyobrażam sobie, jak mógł przypuszczać, że dojrzy coś w tak ciemną noc. Przyszło mi do głowy, że może wchodzi tu w grę jakaś przygoda miłosna, co tłumaczyłoby jego tajemnicze zachowanie, a także i rozdrażnienie żony. Barrymore jest niezwykle przystojnym mężczyzną, toteż przypuszczenie moje miało wszelkie

cechy prawdopodobieństwa.

Odgłos otwieranych drzwi, który usłyszałem po powrocie do siebie, mógł oznaczać, że lokaj wychodził na schadzkę. Takie snułem wnioski dziś rano i dzielę się z Tobą swymi podejrzeniami, jakkolwiek w końcu okazało się, że były bezpodstawne.

Niezależnie od tego, jaka była istotna przyczyna postępowania Barrymore'a, czułem, że zbyt wielką wziąłem na siebie odpowiedzialność, gdybym przemilczał o tym wszystkim aż do wyjaśnienia całej sprawy. Po śniadaniu poszedłem więc z baronetem do jego gabinetu i powiedziałem mu o wszystkim, co widziałem. Sir Henry okazał mniejsze zdziwienie, niż przypuszczałem.

– Wiedziałem, że Barrymore odbywa nocne wędrówki, i chciałem już z nim o tym pomówić – rzekł. – Słyszałem kilka razy odgłosy jego kroków na korytarzu o tej właśnie godzinie, którą pan wymienił.

– Może zatem co noc chodzi do tego okna – wtrąciłem.

– Może, a w takim razie będziemy mogli go zaskoczyć i przekonać się, po co tam chodzi. Ciekaw jestem, co począłby pański przyjaciel Holmes, gdyby był tutaj.

– Myślę, że to samo, co pan zamierza uczynić – odparłem. – Poszedłby za Barrymore'em i przekonałby się, co on tam robi.

– Wobec tego pójdziemy razem.

– Wtedy usłyszysz nas z pewnością.

– Nie sądzę, ma słuch przytępiony, zresztą musimy zaryzykować. Dziś wieczorem zaczekamy w moim pokoju na jego pojawienie się.

Sir Henry zatarł ręce z zadowoleniem. Widać było, że cieszy się z tego urozmaicenia zbyt spokojnego życia wśród moczarów.

Baronet nawiązał stosunki z architektem, który wykonał swego czasu plany dla sir Charlesa, oraz z przedsiębiorcą budowlanym w Londynie, tak że wkrótce nastąpią tu wielkie zmiany. Byli tu już tapicerzy i stolarze z Plymouth, co dowodzi, że nasz przyjaciel ma wielki rozmach i postanowił nie szczędzić ani trudu, ani kosztów dla przywrócenia dawnej świetności siedzibie rodzinnej.

Gdy dom zostanie odnowiony i urządzony, brak będzie baronetowi tylko żony, a mówiąc między nami, wszystko wskazuje na osobę, która mogłaby nią zostać, jeśli tylko zechce. Rzadko widywałem mężczyznę tak zakochanego, jak jest zakochany sir Henry w naszej pięknej sąsiadce, pannie Stapleton. A jednak ta miłosna intryga nie toczy się tak gładko, jakby można się było spodziewać w tych okolicznościach. Dzisiaj na przykład przyjaciel nasz natknął się na niespodziewaną przeszkodę i sprawiło mu

to wielką przykrość.

Po rozmowie o lokaju sir Henry wziął kapelusz i zabierał się do wyjścia. Oczywiście uczyniłem to samo.

– Jak to, czy pan chce iść ze mną? – zapytał spoglądając na mnie szczególnym wzrokiem.

– To zależy od tego, czy pan pójdzie na moczary – odparłem.

– Tak, właśnie tam idę.

– Przecież pan wie, jakie mam polecenie. Przykro mi narzucać się, ale słyszał pan sam, jak usilnie Holmes nalegał, żebym pana nie opuszczał, zwłaszcza przy wyprawach na moczary.

Sir Henry położył mi dłoń na ramieniu.

– Mój drogi panie – rzekł z uśmiechem. – Holmes z całą swoją mądrością nie może przewidzieć pewnych sytuacji, a taka właśnie sytuacja powstała po moim przyjeździe w te strony. Rozumie mnie pan? Jestem pewien, że byłby pan ostatnim człowiekiem na świecie, który by chciał mi przeszkodzić. Muszę pójść sam.

Znalazłem się w bardzo głupim położeniu. Nie wiedziałem ani co począć, ani co powiedzieć, i zanim się spostrzegłem, sir Henry wziął laskę i już go nie było.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zacząłem robić sobie gorzkie wyrzuty, że pozwoliłem mu wyjść bez opieki. Wyobraziłem sobie, z jakim uczuciem wracałbym do Ciebie, by Ci oznajmić, że zdarzyło się jakieś nieszczęście na skutek zlekceważenia Twoich poleceń. Zapewniam Cię, że na samą myśl o tym krew uderzyła mi do głowy... Pomyślałem, że zdążę go jeszcze dogonić, i pośpieszyłem niezwłocznie w kierunku Merripit House.

Staralem się iść jak najszybciej, ale nigdzie nie mogłem dostrzec sir Henry'ego. Wreszcie przybyłem do miejsca, z którego skręca w bok ścieżka na moczary. Obawiając się, że może jednak podążyłem w złym kierunku, wdrapałem się na skalisty pagórek, skąd mogłem rozejrzeć się po okolicy. Wtedy zobaczyłem go na ścieżce od razu.

Stał na ścieżce w odległości około ćwierć mili, a obok niego znajdowała się kobieta, którą mogła być tylko panna Stapleton. Spotkanie to było widocznie z góry umówione. Szli wolno, zatopieni w rozmowie. Wiedziałem, że panna Stapleton żywą gestykulacją jak gdyby starała się dodać wagi własnym słowom. On słuchał z napięciem. Kilkakrotnie potrząsnął głową, widocznie wyrażając ostry sprzeciw.

Stałem wśród skał, patrząc na nich i nie wiedząc, co robić dalej. Dogonić ich i

przerwać tę poufną rozmowę było niepodobieństwem, a jednak miałem obowiązek nie spuszczać ani na chwilę z oka sir Henry'ego. Odgrywać rolę szpiega w stosunku do przyjaciela to zadanie nad wyraz wstrętne. Jednak nie pozostawało mi nic innego, jak tylko śledzić go z oddali, a następnie oczyścić sumienie przyznając się do winy. Prawda, że w wypadku nagłego niebezpieczeństwa byłem za daleko, by mu przyjść z pomocą, niemniej jednak przyznasz mi z pewnością, że położenie moje było bardzo trudne i że nic więcej nie mogłem uczynić.

Nasz przyjaciel, sir Henry, i młoda panna zatrzymali się na ścieżce i stali, pogrążeni w rozmowie, gdy nagle zauważyłem że nie jestem jedynym świadkiem ich spotkania. Coś zielonego mignęło między skałami, a przyjrząwszy się bliżej, spostrzegłem, że był to Stapleton ze swoją siatką na motyle. Znajdował się dużo bliżej młodej pary niż ja i szedł w ich kierunku.

W tej chwili sir Henry nagle objął w pół pannę Stapleton, lecz ona, jak mi się zdawało, usiłowała wyrwać się z jego uścisku i odwróciła głowę. Sir Henry schylił się ku niej, a ona podniosła rękę jakby w obronie. Nagle odskoczyli od siebie. To Stapleton ich spłoszył. Biegł do nich jak szalony z tą swoją głupią siatką powiewającą za nim. Stanąwszy przed zakochanymi zaczął w uniesieniu wymachiwać rękoma i tupać nogami.

Nie miałem pojęcia, o co chodzi, ale zdawało mi się, że Stapleton w ostrych słowach zwrócił się do sir Henry'ego, a ten z początku starał się coś tłumaczyć, a gdy to nie odnosiło skutku, i jego słowa stały się gwałtowne i gniewne. Panna była wyniosła i milcząca.

W końcu Stapleton odwrócił się i skinął rozkazująco na siostrę, która spojrzawszy z wahaniem na sir Henry'ego, odeszła z bratem. Gniewne ruchy przyrodnika wskazywały na to, że i z panny jest niezadowolony.

Baronet stał przez chwilę, patrząc za odchodzącymi, po czym jak istny obraz przygnębienia, wolnym krokiem, z opuszczoną głową ruszył w powrotną drogę.

Nie rozumiałem, co to wszystko miało znaczyć, ogarnął mnie głęboki wstyd, że byłem świadkiem takiej sceny bez wiedzy mego przyjaciela. Zbiegłem więc z pagórka i dogoniłem baroneta. Oczy miał roziskrzzone gniewem, brwi zmarszczone, twarz zmienioną jak człowiek głęboko dotknięty, który nie wie, co począć.

– A pan skąd się tu wziął, Watsonie? – spytał.

– Chyba wbrew mojej woli nie szedł pan za mną?

Powiedziałem mu wszystko: jak przyszedłem do przekonania, że nie

powiniennem był puścić go samego, jak podążyłem za nim i jak stałem się świadkiem tego, co zaszło. Na chwilę oczy jego zapłonęły gniewem, ale rozbroiła go moja szczerść i w końcu roześmiał się żałośnie.

– Mogłoby się człowiekowi zdawać, że na środku tego pustkowia na pewno znajdzie samotność – rzekł – a tu, do pioruna, cała okolica wyległa, by patrzeć na moje oświadczyzny... i do tego bardzo nieudolne oświadczyzny! Skąd pan obserwował to widowisko?

– Stałem na tym oto wzgórzu.

– A więc z ostatniego rzędu? Za to brat jej usadowił się w pierwszych rzędach. Czy widział pan, jak wyskoczył na nas?

– Widziałem.

– Czy nigdy nie robił on na panu wrażenia wariata?

– Nie, nie mogę tego powiedzieć.

– Ja też nie. Dotychczas miałem go za normalnego człowieka, ale teraz, niech mi pan wierzy, któryś z nas powinien mieć nałożony kaftan bezpieczeństwa. Co się ze mną dzieje, Watsonie? Zna mnie pan już od kilku tygodni, proszę mi więc szczerze powiedzieć, czy mogę być dobrym mężem dla kobiety, którą kocham?

– Doskonałym.

– Stapleton nie może nic zarzucić memu stanowisku społecznemu, a zatem ma coś przeciw mojej osobie. Ale co? Nie wyrządziłem nigdy nikomu najmniejszej krzywdy, jestem porządnym człowiekiem, a jednak on nie pozwala mi dotknąć nawet koniuszków jej palców.

– Czy tak powiedział?

– Tak, i znacznie więcej jeszcze. Znam ją dopiero od kilku tygodni, ale od pierwszej chwili poczułem, że ta kobieta jest dla mnie stworzona, a ona również była szczęśliwa przebywając ze mną, na to mogę przysiąc. Kobieta miewa w oczach błyski stokroć wymowniejsze od słów. Ale brat jej nigdy nie dopuszczał do zbliżenia między nami i dzisiaj dopiero po raz pierwszy zdarzyła mi się sposobność porozmawiania z nią bez świadków. Chętnie zgodziła się na spotkanie, lecz nie pozwoliła mi mówić o miłości. Powracała ciągle do tego samego tematu, ostrzegając mnie, że grozi mi tu niebezpieczeństwo i że nie uspokoi się, dopóki stąd nie wyjadę. Odpowiedziałem jej, że od chwili, kiedy ją ujrzałem, nie śpieszy mi się wcale z wyjazdem, i jeżeli istotnie zależy jej na tym, bym opuścił te strony, to może mnie do tego zmusić jedynie jadąc razem ze mną. Po czym oświadczyłem się o jej rękę, ale zanim zdążyła odpowiedzieć,

wpadł na nas ten jej brat. Wyglądał jak wariat, błądy z wściekłości, z furią w oczach. Po co spotkałem się z jego siostrą? – krzyczał. – Jak śmiem okazywać jej uczucia, które są dla niej wstrętne? Czy sądzę, że dlatego, iż jestem baronetem, to mi wszystko wolno? Gdyby nie był jej bratem, dałbym mu należytą odprawę. Ale w tych warunkach powiedziałem mu tylko, że nie mam powodu wstydzić się swoich uczuć dla jego siostry i mam nadzieję, że zechce ona zostać moją żoną. Ale to bynajmniej nie poprawiło sprawy, tak że i ja uniosłem się w końcu i odpowiedziałem mu może ostrzej, niż to przy niej wypadało. Skończyło się na tym, że odszedł wraz z nią, jak pan sam widział, a ja nic z tego nie rozumiem. Niech mi pan powie, co to wszystko może znaczyć, a będę panu nieskończenie wdzięczny.

Usiłowałem zająć się wytłumaczyć tym i owym, ale w istocie sam nic z tego nie rozumiałem. Za przyjacielem naszym przemawia tytuł, majątek, wiek, charakter, powierzchowność. Nie wiem, co mu można zarzucić, chyba to, że zły los prześladowa jego rodzinę. Dziwi mnie bardzo, że oświadczyzny baroneta zostały tak brutalnie odrzucone, bez względu na uczucie panny, i że przyjęła ona decyzję brata bez sprzeciwu.

Dopiero wizyta Stapletona, który zjawił się tego samego dnia po południu, położyła kres naszym rozważaniom. Przyszedł przeprosić za swoje niewłaściwe zachowanie i po długiej, poufnej rozmowie z sir Henry'm w jego gabinecie nastąpiło całkowite pogodzenie, dla którego przypieczętowania mamy być w piątek na obiedzie w Merripit House.

– Mimo wszystko – rzekł sir Henry po odejściu Stapletona – uważam go w dalszym ciągu za wariata; nie mogę zapomnieć jego wzroku, gdy pędził ku mnie dziś rano. Muszę jednak przyznać, że przeproszał mnie niezwykle gorąco.

– Czy wyjaśniał czymkolwiek swoje postępowanie?

– Mówił, że siostra jest dla niego wszystkim na świecie. Jest to zupełnie naturalne i cieszę się, że ją należycie ocenia. Nie rozstawali się nigdy, jak powiada, całe swe życie spędził samotnie, z nią jako jedyną towarzyszką, tak że nie może wprost znieść myśli o utraceniu jej. Początkowo nie zauważył mego zainteresowania się nią, ale gdy przekonał się na własne oczy o mych uczuciach i zrozumiał, że mogę mu ją zabrać, doznał takiego wstrząsu, iż w tym momencie nie panował ani nad słowami, ani nad czynami. Zapewniał mnie, że żałuje niezmiernie tego zajścia, i przyznał, iż wysoce egoistyczne i nierozsądne było pragnienie zatrzymania przy sobie na całe życie kobiety tak pięknej jak jego siostra. Jeśli ma go porzucić – mówił – to woli, żebym to

uczyniła dla sąsiada takiego jak ja niż dla kogo innego. Ale w każdym razie cios to dla niego ciężki i musi minąć pewien czas, zanim się z tą myślą oswoi. Zapewniał mnie następnie, iż przestanie stawiać opór, jeśli mu przyrzeknę, że nie poruszę tej sprawy przez trzy miesiące i zadowolę się przez ten czas przyjaźnią jego siostry, nie wspominając jej nic o mych uczuciach. Przyrzekłem mu, że zastosuję się do jego życzenia, i na tym zakończyliśmy naszą rozmowę.

W ten sposób jedna z naszych drobnych tajemnic została wyjaśniona. Wiemy teraz, dlaczego Stapleton spogląda tak niechętnym okiem na starającego się o rękę siostry, chociaż starający się przedstawia taką świetną partię jak sir Henry.

A teraz przechodzę do innej nici z tego zawikłanego motka, którą udało mi się rozplatać – do tajemnicy nocnego płaczu, do śladów łez na twarzy pani Barrymore, do nocnej wędrówki lokaja pod owo zachodnie okno.

Powinszuj mi, kochany Holmesie, i przyznaj, że nie zrobiłem Ci zawodu jako Twój pomocnik i że nie żałujesz zaufania, jakie mi okazałeś wysyłając mnie tutaj. Wszystko to zostało wyjaśnione w ciągu jednej nocy.

Napisałem "jednej nocy" ale właściwie stało się to w ciągu dwóch nocy, gdyż pierwsza zeszła nam na niczym.

Siedzieliśmy z sir Henry'm w jego gabinecie prawie do godziny trzeciej rano, ale nie dobiegł nas żaden odgłos oprócz bicia zegara na schodach. Smętne było to czuwanie i skończyło się na tym, że obaj zasnęliśmy w fotelach.

Na szczęście to nas nie zniechęciło i postanowiliśmy spróbować raz jeszcze. Następnego nocy przy przyćmionym świetle lampy siedzieliśmy paląc papierosy w zupełnej ciszy. Trudno uwierzyć, jak wolno wlokły się godziny, a jednak podtrzymywał nas ten sam cierpliwy zapach, który podtrzymuje myśliwego, gdy śledzi pułapkę, w którą ma wpaść zwierzyna.

Wybiła pierwsza, potem druga, zniechęceni zamierzaliśmy już zaniechać dalszego czekania, gdy naraz zerwaliśmy się obaj na równe nogi, słysząc skrzypienie podłogi na korytarzu.

Gdy umilkł odgłos skradających się kroków, baronet otworzył ostrożnie drzwi i wyszliśmy z pokoju. Barrymore minął już galerię i korytarz pogrążony był w ciemności. Szliśmy na palcach aż do drugiego skrzydła i zdążyliśmy jeszcze dostrzec wysoką, lekko zgarbioną postać brodatego mężczyzny, wchodzącego właśnie do tego samego co poprzednio pokoju. Żółte pasmo światła, padające przez otwarte drzwi, przecinało mrok korytarza.

Posuwaliśmy się cicho ku tym drzwiom, próbując najpierw każdą deskę podłogi, zanim oparliśmy się na niej całym ciężarem ciała. Mimo że szliśmy bez butów, stare deski ugiwały się i skrzypiały pod nogami i wydawało się wprost niemożliwe, żeby Barrymore nie dosłyszał nas. Na szczęście jednak jest on trochę głuchy, a był przy tym zupełnie pochłonięty swoim zajęciem.

Wreszcie doszliśmy do drzwi i zajrzeliśmy do pokoju. Barrymore stał skulony przy oknie, trzymając świecę w rękę; bladą twarz, na której malowało się wyteżone oczekiwanie, przycisnął do szyby, zupełnie jak wtedy, gdy go tam widziałem po raz pierwszy.

Nie mieliśmy umówionego planu działania, ale baronet jest człowiekiem, który uważa, iż prosta droga najprędzej prowadzi do celu. Wszedł więc do pokoju, a wtedy Barrymore odskoczył od okna z okrzykiem przestachu i stanął przed nami drżący i śmiertelnie blady. Jego czarne oczy, błyszczące w białej jak maska twarzy, spoglądały z przerażeniem i zdumieniem to na mnie, to na sir Henry'ego.

– Co ty tu robisz? – spytał baronet.

– Nic, proszę pana. – Był tak wystraszony, że zaledwie mógł mówić, a świeca drżała mu w rękę i rzucała na ścianę chybotałe cienie. – To okna, sir Henry... Chodzę w nocy i patrzę, czy są zamknięte.

– Na drugim piętrze?

– Tak, proszę pana, oglądam wszystkie okna.

– Słuchaj, Barrymore – rzekł sir Henry surowo – postanowiliśmy dowiedzieć się prawdy, więc im prędzej ją wyznasz, tym lepiej dla ciebie. Mów zaraz, tylko bez kłamstw. Coś ty tu robił przy oknie?

Lokaj spojrział na nas z rozpaczą i załamał ręce, jak człowiek ostatecznie zgnębiony i nieszczęśliwy.

– Nie robiłem nic złego, proszę pana. Trzymałem świecę przy oknie.

– A dlaczego trzymałeś świecę przy oknie?

– Niech mnie pan o to nie pyta... błagam, niech mnie pan nie pyta. Daję panu słowo, że to nie jest moja tajemnica i że nie mogę jej zdradzić. Gdyby dotyczyła tylko mnie, nie ukrywałbym jej przed panem.

Błysnęła mi nagła myśl i wziąłem świecę z parapetu, gdzie ją Barrymore postawił.

– Ręczę, że to sygnał – rzekłem. – Zobaczymy, czy będzie odpowiedź.

Trzymałem przez chwilę świecę w taki sposób jak on i wpatrywałem się

uważnie w mrok za oknem. Z trudnością mogłem rozróżnić ciemniejszy pas drzew i jaśniejszy obszar moczarów, księżyc bowiem skrył się za chmury.

Naraz wydałem okrzyk radości: mały żółty punkcik świetlny przebił ciemności i jaśniał w dali.

– Oto jest! – zawołałem.

– Nie, nie, panie, to nic nie jest... To nic nie znaczy! – przerwał Barrymore – zapewniam pana...

– Niech pan przesunie świecę przed szybą – zawołał baronet. – Patrz, i tamto światło się porusza! Czy i teraz jeszcze będziesz przeczył, ty łotrze, że to są sygnały? Mów zaraz, kto jest twoim współnikiem i jaki knujecie spisek?

Twarz lokaja stała się teraz zuchwała.

– To moja rzecz, nie pana. Nie powiem.

– W takim razie wynoś się z mego domu... Natychmiast!

– Dobrze! Jeśli pan każe, to sobie pójdę.

– I odchodzisz wypędzony! Do pioruna, jak ci nie wstyd! Rodzina twoja żyła przeszło sto lat pod jednym dachem z moją, a ty teraz knujesz przeciwko mnie!

– Nie, nie, sir Henry, nie przeciwko panu! – odezwał się nagle głos kobiety.

Pani Barrymore, bledsza i bardziej jeszcze przerażona od męża, stała we drzwiach. Postać jej, o obfitych kształtach, tylko w spódnicy i narzuconym szalu, byłaby komiczna, gdyby nie tragiczny wyraz twarzy.

– Mamy się stąd wynieść, Elizo. Skończyło się. Idź, pakuj rzeczy – rzekł lokaj.

– Och, John, John, co ja narobiłam. To moja wina, sir Henry... Tylko moja. On spełnia jedynie to, o co go prosiłam.

– Mówcie zatem! Co to znaczy?

– Mój nieszczęsny brat umiera z głodu na moczarach. Nie możemy przecież pozwolić mu zginąć tak blisko od nas. Światło stąd jest sygnałem, że przygotowaliśmy dla niego pożywienie, a światło stamtąd wskazuje miejsce, gdzie mamy mu żywność zanieść.

– Brat wasz jest zatem...

– Zbiegłym więźniem, sir Henry... zbrodniarzem Seldenem.

– Teraz pan wie prawdę – odezwał się Barrymore – mówiłem panu, że to nie moja tajemnica i że nie mogę jej panu wyjawić. Przekonał się pan, że nie kłamałem i że jeżeli był tu jakiś spisek, to bynajmniej nie przeciw panu.

Tak więc zostały wyjaśnione tajemnicze wędrówki nocne i światło w oknie.

Zdumieni do najwyższego stopnia, spoglądaliśmy wraz z sir Henry'm na panią Barrymore. Czy podobna, żeby w żyłach tej statecznej, uczciwej kobiety płynęła ta sama krew, co w żyłach jednego z największych w naszym kraju zbrodniarzy?

– Tak, proszę pana – zaczęła po chwili – jestem z domu Selden, a to jest mój młodszy brat. Był rozpieszczany i psuty w dzieciństwie, pozwalaliśmy mu na wszystko, więc nabrał przekonania, że świat został stworzony dla jego przyjemności i że może robić, co mu się podoba. Potem, gdy dorósł, natrafił na złe towarzystwo i diabeł go opętał, matkę wpędził do grobu, a nazwisko nasze unurzał w błocie. Dopuszczał się jednej zbrodni po drugiej, stopniowo upadał coraz niżej i tylko łaska boska ocaliła go od szubienicy. Ale dla mnie pozostał zawsze malcem o jasnych kędziorach, którego jako starsza siostra piastowałam. Uciekając z więzienia wiedział, że tu mieszkamy i że mu nie odmówimy pomocy. Gdy przywłókł się w nocy do nas, wycieńczony znużeniem i głodem, ścigany przez strażników więziennych, co mieliśmy robić? Ukryliśmy go u siebie, karmiliśmy i pielęgowaliśmy. Potem pan wrócił i bratu zdawało się, że będzie bezpieczniejszy wśród moczarów, więc postanowił tam się ukryć i przeczekać, dopóki cała ta wrzawa, wywołana jego ucieczką, nie ucichnie. Co drugą noc upewnialiśmy się, czy jeszcze znajduje się w okolicy. Stawialiśmy świecę w oknie; jeżeli odpowiadał takim samym sygnałem, mąż zanosił mu trochę chleba i mięsa. Z dnia na dzień spodziewaliśmy się, że pójdzie sobie dalej w świat, ale dopóki tu był, nie mogliśmy go opuścić. Oto cała prawda, którą wyznaję panu jako uczciwa chrześcijanka. Przyzna pan, że nie mój mąż tu zawinił, lecz ja, bo to, co uczynił, zrobił przez wzgląd na mnie.

Słowa kobiety brzmiały poważnie i przekonywająco.

– Czy to prawda, Barrymore?

– Tak, proszę pana, szczerą prawdą.

– Trudno, nie mogę mieć ci za złe, że pomagalesz żonie. Zapomnij o moich poprzednich słowach. Wracajcie oboje do siebie, a jutro rano jeszcze o tym pomówimy.

Po ich wyjściu wyjrzelśmy znów przez okno. Sir Henry otworzył je na oścież, a zimny wiatr nocny owiał nas, przejmując dreszczem. W oddali, w mroku migotało jeszcze żółte światelko.

– Dziwię się jego odwadze – rzekł sir Henry.

– Może umieścił światło tak, że tylko stąd jest widoczne.

– Może być. Jak panu się zdaje, czy to daleko?

– Myślę, że to będzie pod Cleft Tor.

– Nie więcej niż mila lub dwie?

– Nawet nie tyle.

– Oczywiście, nie może być bardzo daleko, skoro .Barrymore nosił tam jedzenie... A ten łotr czeka tam ze swoją świeczką. Do pioruna, Watsonie, pójdę i schwytam tego zbrodniarza.

To samo przeszło mi przez myśl. Miałbym pewne skrupuły, gdyby Barrymore'owie zwierzyli się nam dobrowolnie ze swojej tajemnicy, ale przecież zmusiliśmy ich do tego. Człowiek ów był niebezpiecznym mordercą, nie zasługującym ani na współczucie, ani na litość. Wykorzystując sposobność schwywania go i unieszkodliwienia spełnialiśmy tylko swój obowiązek. Wobec jego brutalnej i gwałtownej natury inni mogliby przypłacić życiem naszą obojętność. Którejkolwiek nocy, na przykład, mógłby napaść na naszych sąsiadów, Stapletonów, a ta myśl niewątpliwie sprawiła, że sir Henry z taką odwagą podejmował się tej niezbyt bezpiecznej wyprawy.

– Pójdę z panem – rzekłem.

– Dobrze, niech pan weźmie rewolwer i włoży buty. Im wcześniej wyruszymy, tym lepiej, bo ten łotr może zgasić świecę i ukryć się.

W pięć minut później byliśmy już w drodze. Szliśmy przez ciemne zarośla wśród smętnego poświstu jesiennego wichru i szelestu spadających liści. Powietrze nocne przesiąknięte było wilgocią i wonią zgnilizny. Od czasu do czasu księżyc wyglądał zza chmur pędzonych po niebie, a gdy doszliśmy do moczarów, zaczął padać drobny deszczyk. Światło płonęło jeszcze.

– Czy ma pan broń? – spytałem.

– Mam nóż myśliwski.

– Musimy zaskoczyć go znienacka, bo mówią, że nie cofa się przed niczym. Trzeba go schwytać i obezwładnić, zanim zdąży stawić opór.

– Co by o tym powiedział Holmes, Watsonie? – spytał baronet. – Właśnie jest owa nocna godzina, kiedy panuje moc złego ducha.

Jakby w odpowiedzi na te słowa wśród wielkiego pustkowia moczarów rozległ się ten niesamowity odgłos, który już raz dobiegł mych uszu na skraju rozległego Trzęsawiska Grimpen. Niesiony wiatrem, przerywał ciszę nocną i szedł ku nam: najpierw przeciągły pomruk, potem przeraźliwe wycie, które kończyło się żalonym skowytom. Powtarzało się to raz po raz – przerażające i tak głośne, dzikie, groźne, że aż powietrze zdawało się drgać dookoła.

Baronet schwycił mnie za rękaw. Pomimo ciemności widziałem, że był blady jak chusta.

– Na litość boską, co to jest, Watsonie?

– Nie wiem. To jakiś odgłos, częsty podobno wśród moczarów. Już go raz słyszałem.

Głos umilkł i dookoła nas zaległa grobowa cisza. Staliśmy wyżejając słuch, ale żaden dźwięk nie dobiegł nas już z pustkowiecia.

– Watsonie – odezwał się baronet – to było wycie psa.

– Głos mu się załamał z przerażenia, a i mnie serce zaczęło walić jak młotem.

– Jak oni to nazywają? – spytał.

– Kto?

– Ludzie w tej okolicy.

– Ach, ci zabobonni wieśniacy. Czy panu to nie jest obojętne?

– Niech mi pan jednak powie, co mówią?

Zawahałem się, ale nie mogłem nie odpowiedzieć.

– Mówią, że to wycie psa Baskerville'ów.

Sir Henry westchnął głęboko i milczał przez długą chwilę.

– Tak, to był pies – odezwał się wreszcie – ale zdawało mi się, że odgłos dolatywał z tamtej strony.

– Trudno określić kierunek.

– Wzmagał się i słabnął wraz z podmuchem wiatru. Czy nie szedł od strony wielkiego Trzęsawiska Grimpen?

– Tak, tam jest trzęsawisko.

– Z pewnością dobiegał stamtąd. Niech mi pan powie szczerze, czy pan nie myślał, że to wycie psa? Nie jestem dzieckiem. Może pan powiedzieć prawdę.

– Stapleton był ze mną, gdy usłyszałem ten odgłos po raz pierwszy. Mówił, że to może być buczenie jakiegoś rzadko spotykanego ptaka.

– Nie, nie, to był pies. Boże wielki! Czyżby istotnie było coś z prawdy w tych wszystkich opowieściach? Czy to możliwe, że grozi mi jakieś tajemnicze niebezpieczeństwo? Ale pan chyba w to nie wierzy, Watsonie?

– Oczywiście, że nie.

– A jednak co innego było śmiać się z tej historii w Londynie, a co innego stać tutaj w nocy wśród moczarów i słyszeć tego rodzaju odgłosy. A mój stryj? Przecież obok jego zwłok dostrzeżono ślady psich łap. Wszystko to ma związek ze sobą. Nie

jestem tchórzem, ale to wycie przeraziło mnie do głębi. Niech pan dotknie mojej ręki.

Była zimna jak lód.

– Jutro zapomni pan o tym.

– Nie sędzę, abym mógł kiedykolwiek zapomnieć. Co pan radzi teraz robić?

– Może wrócimy do zamku?

– Nie, do diabła, przyszlismy tutaj, żeby schwytać zbrodniarza, i złapiemy go. Puściliśmy się w pogoń za więźniem, a jakiś szatański pies w pogoń za nami. Naprzód! Postawimy na swoim, choćby wszystkie diabelskie siły zebrały się na moczarach, by nam przeszkodzić.

Szliśmy powoli, potykając się w ciemnościach. Dokoła nas wznosiły się czarne urwiste wzgórza, a przed nami jaśniała żółta plamka. Bardzo jest trudno ocenić odległość światła podczas ciemnej nocy; czasami zdawało się nam, że świeci ono gdzieś daleko na widnokregu, czasami, że znajduje się o kilka jardów przed nami.

W końcu jednak dostrzegliśmy je wyraźnie, a byliśmy już wtedy bardzo blisko. Świeca tkwiła w szczelinie skały, osłonięta od wiatru i widoczna tylko z zamku Baskerville.

Ukryci za wielkim granitowym głazem patrzyliśmy na ten świetlny sygnał.

Niesamowicie wyglądała świeczka paląca się wśród moczarów; żadnego znaku życia dookoła – nic, tylko żółty płomyk i połyskujące w jego świetle skały.

– Co teraz zrobimy? – szepnął sir Henry.

– Będziemy czekać. Musi on być gdzieś w pobliżu. Może uda nam się go zobaczyć.

Zaledwie wymówiłem te słowa, ujrzelismy go obaj. Ponad szczeliną w skałach, w której płonęła świeca, ukazała się pozołkła, ohydna twarz – twarz straszna, zwierzęca. Ubłocony, obrośnięty, z długimi, zmierzwionymi włosami na głowie, człowiek ten mógł uchodzić za jednego z przedhistorycznych ludzi zamieszkujących niegdyś te okolice.

Światło odbijało się w jego małych chytrych oczach. Rozglądał się gorączkowo dookoła, usiłując przeniknąć zalegające ciemności, jak przebiegły dziki zwierz, gdy usłyszy kroki myśliwego.

Widocznie coś wzbudziło podejrzenie zbrodniarza. Może Barrymore dawał mu jeszcze jakiś umówiony, a nam nie znany sygnał lub może miał inne powody do obaw, dość że dostrzegłem przestraszony na jego wstrętnej twarzy.

W każdej chwili mógł się wycofać z kręgu światła i zniknąć w ciemnościach.

Skoczyłem więc naprzód, a sir Henry za mną. Widząc nas, zbieg z głośnym przekleństwem rzucił w naszą stronę odłamek skały, który roztrzaskał się o granitowy głaz.

Przez mgnienie oka widziałem wyraźnie przysadzistą, barczystą postać zbrodniarza, gdy zrywał się do ucieczki. Na szczęście w tejże chwili księżyc wysunął się zza chmur. Wbiegliśmy na grzbiet pagórka, ale Selden pędził już z szaloną szybkością na dół po urwistym stoku, przeskakując przez kamienie ze zwinnością kozicy. Mógłbym go położyć jednym celnym strzałem, ale zabrałem rewolwer ze sobą dla obrony własnej, a nie po to, żeby zabijać bezbronного, uciekającego człowieka.

Obaj z sir Henry'm biegamy doskonale, ale wkrótce przekonaliśmy się, że nie dogonimy zbiega. Biegliśmy, ile nam tchu starczało, lecz pomimo tego odległość między nami zwiększała się stale, aż w końcu wydał się nam już tylko małym punkcikiem, sunącym szybko między głazami na zboczu dalekiego wzgórza. Wreszcie zatrzymaliśmy się zdyszani i usiedliśmy na skałach, patrząc na znikającego w oddali zbiega.

Właśnie wstawaliśmy z zamiarem powrotu do domu po nieudanej pogoni, gdy ujrzałem nagle dziwne i niespodziewane zjawisko. Księżyc świecił już nisko na niebie, a zębaty szczyt skały zasłaniał dolną część jego srebrzystej tarczy. Tam na szczycie zobaczyłem nagle czarną sylwetkę mężczyzny odcinającą się na jasnym tle jak rzeźba z hebanu.

Nie sądz, Holmesie, że to było złudzenie. Zapewniam Cię, że nigdy w życiu nie widziałem niczego takk wyraźnie. O ile mogłem zauważyć, była to postać wysokiego i szczupłego mężczyzny. Stał ze skrzyżowanymi rękami i pochyloną głową, jak gdyby w zadumie nad tym bezbrzeżnym pustkowiem rozpościerającym się u jego stóp.

Może był to duch moczarów. W każdym razie nie był to zbiegły więzień. Czarna postać ukazała się daleko od miejsca, w którym Selden znikł nam z oczu, zresztą była ona znacznie wyższa od niego.

Z okrzykiem zdziwienia odwróciłem się do baroneta, by wskazać mu zjawisko, lecz ta krótka chwila wystarczyła, aby ów mężczyzna zniknął.

Ostry szczyt skały zakrywał, jak poprzednio, niższą część tarczy księżyca, ale na szczycie nie było już śladu milczącej, nieruchomej postaci.

Chciałem podążyć w tamtą stronę i przeszukać urwisko, ale było to dość daleko. Poza tym baronet był jeszcze zanadto pod wrażeniem straszliwego głosu, który mu przypominał ponurą legendę rodzinną, i nie miał ochoty szukać nowych

przygód. Ponieważ nie zdążył zobaczyć samotnej postaci na szczycie skały, nie doznał takiego wstrząsu, jakiemu ja uległem na widok tego mężczyzny o tak imponującej postawie.

– To niewątpliwie strażnik na warcie. Pełno ich na moczarach od czasu, gdy Selden uciekł z więzienia – mówił.

Być może, że wyjaśnienie baroneta jest słuszne; niemniej jednak chciałbym to sprawdzić.

Dzisiaj zamierzam donieść zarządowi więzienia w Princetown, gdzie należy szukać zbiega; wielka szkoda że nie udało nam się go schwytąć i tam odstawić.

Takie są przygody ostatniej nocy i musisz przyznać, mój drogi, że przesyłam Ci sprawozdanie nie lada. Zawiera ono wprowadzie sporo szczegółów bez znaczenia, sądzę jednak, iż lepiej będzie, gdy Ci zawsze opiszę wszystko, co zaszło, a Ty sam wybierzesz te fakty, które Ci dopomogą do wysnucia wniosków.

Nie ulega wątpliwości, że robimy pewne postępy. Na przykład co się tyczy Barrymore'ów, wykryliśmy pobudki ich postępowania, przyczyniając się niemało do wyjaśnienia sytuacji. Ale moczary ze swymi tajemnicami i dziwnymi mieszkańcami pozostają dotąd niedostępne i niezbadane.

Może w następnym liście będę mógł przesłać Ci więcej wyjaśnień. Najlepiej byłoby, gdybyś mógł sam przyjechać do nas.

10. Wyjątek z Dziennika Doktora Watsona

Dotychczas mogłem się posiłkować sprawozdaniami, które wysyłałem do Sherlocka Holmesa. Teraz jednak dobiegłem w opowieści mojej do momentu, w którym zmuszony jestem porzucić tę metodę i oprzeć się na moich wspomnieniach i na dzienniku, który wówczas prowadziłem. Zanim przejdę do scen, których każdy szczegół utkwiał mi mocno w pamięci, przytoczę kilka wyjątków z mego dziennika. Zacznę od tego, co napisałem w nim następnego ranka po naszym nieudanym pościgu za więźniem i innych dziwnych przygodach wśród moczarów.

16 października

Dzień posepny, mglisty, drobny deszczyk pada nieustannie. Cały zamek jakby

spowity w mgłę, która unosi się od czasu do czasu, ukazując falistą równinę moczarów, cienkie, srebrzyste pasemka strumyków spływających po zboczach wzgórz i odległe głązy, lśniące wilgocią. Smutno i ponuro – w zamku i na świecie. Baronet w złym humorze po nocnych przejściach. Mnie samemu jakiś ciężar przytłacza serce i ogarnia mnie przecucie grożącego nieustannie niebez-pieczeństwa, tym straszniejsze, że nie wiem, skąd ono na nas spadnie.

A czyż nie mam słusznego powodu do obaw po tylu zdarzeniach, świadczących o tym, że działa tu jakaś złowroga siła? Na przykład śmierć ostatniego pana zamku, tak zgodna z treścią rodzinnej legendy, i powtarzające się opowieści chłopów o ukazywaniu się jakiegoś dziwnego stworzenia na moczarach. Wszak sam słyszałem na własne uszy odgłos podobny do odległego wycia psa.

To jest niemożliwe przecież, żeby działała tu istotnie jakaś siła nadprzyrodzona. Trudno przypuścić, aby mógł rzeczywiście istnieć jakiś upiorny pies, który zostawia ślady łap i wyje. Stapleton może wierzyć w takie zabobony, może w to wierzyć i Mortimer. Ale co do mnie, pochlebiam sobie, że posiadam jedną zaletę – zdrowy rozsądek, i nic na świecie nie zmusi mnie do uwierzenia w taką bajkę. Gdybym uwierzył, zniżyłbym się do poziomu tych biednych chłopów, którzy nie tylko wierzą święcie w istnienie owego szatańskiego psa, ale jeszcze opowiadają, że ze ślepiów i z pyska bucha mu piekielny ogień.

Holmes nie dawałby wiary takim bredniom, ja zaś jestem przecież jego towarzyszem i pomocnikiem. Niemniej jednak fakt pozostaje faktem, że dwa razy słyszałem to wycie na moczarach.

Przypuśćmy, że włóczy się tam istotnie jakiś olbrzymi pies, ale czy nie jest to zbyt daleko idące przypuszczenie? Gdzie ukrywałby się taki pies, skąd brałby pożywienie? Skąd by się wziął i dlaczego nikt nie widuje go we dnie? Przyznać trzeba, że takie tłumaczenie jest nieomal równie trudne do uzasadnienia, jak to, że wchodzą tu w grę siły nadprzyrodzone.

Poza tym, pomijając już psa, przecież w Londynie działali niewątpliwie żywi ludzie: ów nieznajomy w dorożce i list ostrzegający sir Henry'ego przed moczarami. Te fakty nie przekraczają stanowczo dziedziny rzeczywistości, ale mogłyby być zarówno dziełem troskliwego przyjaciela, jak i wroga.

Gdzież jest teraz ten wróg czy przyjaciel? Czy pozostał w Londynie, czy też przybył tu za nami? Czy był to ów mężczyzna, którego widziałem na szczycie skały?

Co prawda widziałem go przez chwilę i zdążyłem rzucić na niego tylko jedno

spojrzenie, niemniej jednak przysięgłbym, że go tu jeszcze nie spotkałem, a znam już teraz wszystkich sąsiadów. Postać była o wiele wyższa od Stapletona i daleko szczuplejsza od Franklanda. Mógłby to być Barrymore, ale pewien jestem, że pozostał on w domu i nie poszedł za nami.

Jakiś nieznajomy zatem śledzi nas tutaj, podobnie jak nas śledził w Londynie: nie pozbyliśmy się go widocznie. Gdybym mógł go schwytać, skończyłyby się nareszcie wszystkie nasze utrapienia. Trzeba będzie wyteńczyć wszystkie siły i dołożyć wszelkich starań, aby ten cel osiągnąć.

W pierwszej chwili chciałem zwierzyć się sir Henry'emu z powziętych zamiarów. Po namyśle jednak postanowiłem działać na własną rękę i w ogóle mówić jak najmniej o swoich planach. Baronet jest milczący i zamyślony. Ten głos na moczarach rozdrażnił go w wysokim stopniu. Nie chcę więc zwiększać jego niepokoju, trzeba działać samemu i starać się nie zaniedbać niczego.

Dziś po śniadaniu znów zdarzył się mały incydent.

Barrymore poprosił sir Henry'ego o rozmowę i spędził z nim jakiś czas przy zamkniętych drzwiach w gabinecie. Siedząc w pokoju bilardowym, słyszałem podniesione głosy i domyśliłem się, o co chodzi. Po chwili baronet otworzył drzwi i poprosił mnie do gabinetu.

– Barrymore ma do nas urazę – rzekł. – Uważa on, że postąpiliśmy niełojalnie, ścigając szwagra, skoro zaufał nam i z własnej woli powierzył swoją tajemnicę.

Lokaj stał przed nami błąd, lecz już opanowany.

– Bardzo pana przepraszam, sir Henry, że się uniosłem – rzekł – proszę mi darować. Ale byłem tak dotknięty, gdy dowiedziałem się, że panowie dziś w nocy ścigali Seldena! Biedak ma już i tak tyle trudności do zwalczenia, że przynajmniej ja nie powinienem dodawać mu nowych.

– Gdybyś był zwierzył się nam dobrowolnie, to co innego – odparł baronet. – Ale powiedziałaś nam o tym, a raczej zrobiła to twoja żona dopiero pod naciskiem, kiedy nie było dla was już innego wyjścia.

– Nie przypuszczałem, że pan z tego skorzysta... doprawdy, nie przypuszczałem.

– Ten człowiek jest niebezpieczny dla całej okolicy. Na moczarach dużo jest odosobnionych domów, a Selden nie cofnie się przed niczym. Dość spojrzeć na niego, by się o tym przekonać. Weź na przykład dom pana Stapletona, gdzie jest tylko jeden mężczyzna do obrony. Nikt tu nie będzie bezpieczny, dopóki Selden nie znajdzie się

znów pod kluczem.

– On nie wtargnie do żadnego domu, proszę pana. Zaręczam słowem honoru. I już nie zrobi nikomu krzywdy w tym kraju. Zapewniam pana, że za kilka dni będzie już w drodze do Ameryki Południowej. Błagam, niech pan nie zawiadamia policji, że Selden jest na moczarach. Zaniechali już pościgu w tamtych stronach i może on się tam ukrywać, dopóki okręt nie odpłynie. Jeśli pan go wyda, będziemy mieli oboje z żoną duże przykrości. Błagam pana, niech pan nie daje znać policji.

– A cóż pan na to? – zwrócił się baronet do mnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Gdyby się wyniósł z kraju, przyniosłoby to ulgę płacącym podatki.

– Ale jak przeszkodzić temu, żeby przed wyjazdem nie popełnił jeszcze jakiejś zbrodni?

– To byłoby szaleństwem z jego strony, sir Henry. Zaopatrzyliśmy go we wszystko. Gdyby popełnił teraz jakieś przestępstwo, zdradziłby swoją kryjówkę.

– To prawda – rzekł sir Henry. – A więc Barrymore...

– Niech panu to Bóg wynagrodzi, dziękuję z całego serca! Moja żona nie przeżyłaby tego, gdyby go znów zamknęli w więzieniu.

– Sądzę, Watsonie, że powstrzymując się od zawiadomienia policji stajemy się współwinni zbrodni. Ale po tym, co usłyszałem od Barrymore'a, nie mogę wydać tego człowieka. I nie mówmy już o tym więcej. Dobrze, Barrymore, możesz odejść.

Lokaj podziękował kilku urywanymi słowami i skierował się ku drzwiom. Naraz zawahał się i zawrócił.

– Pan był dla nas taki dobry, że chciałbym się chociaż czymś odwdzięczyć. Ja coś wiem, proszę pana, o czym wcześniej należało powiedzieć, ale śledztwo było już dawno ukończone, kiedy to wykryłem. Nie mówiłem o tym ani słówka nikomu. Dotyczy to śmierci biednego sir Charlesa.

Zerwaliśmy się obaj z baronetem na równe nogi.

– Wiesz, co spowodowało jego śmierć?

– Nie, sir Henry, tego nie wiem.

– A więc co?

– Wiem, dlaczego był przy furtce o tak późnej godzinie. Miał się spotkać z kobietą.

– Spotkać z kobietą? Sir Charles?

– Tak, proszę pana.

- Jak się ta kobieta nazywała?
- Nie znam jej nazwiska, znam tylko inicjały: L.L.
- A skąd wiesz o tym?

– Stryj pański otrzymał rano w dniu swojej śmierci list. Dostawał zazwyczaj dużo listów, bo był znaną osobistością i bardzo uczynnym człowiekiem, tak że ludzie często zwracali się do niego o pomoc. Ale zdarzyło się, że tego dnia przyszedł tylko ten jeden list i dlatego zwróciłem na niego uwagę. Miał stempel pocztowy Coombe Tracey i zaadresowany był ręką kobiecą.

– No i cóż?

– Zapomniałem o tym i gdyby nie żona, nie byłbym sobie tego szczegółu przypomniał. Przed kilku tygodniami, porządkując gabinet sir Charlesa, nie tknięty od jego śmierci, żona moja znalazła w głębi kominka resztki spalonego listu. List był cały zwęglony z wyjątkiem jednego skrawka, na którym jeszcze dało się odczytać litery. Zdawało nam się, że był to dopisek do listu; zawierał tylko te wyrazy: "Zaklinam pana na honor dżentelmena, niech pan spali ten list i będzie przy furtce o godzinie dziesiątej". List podpisany był inicjałami L.L.

– Czy masz jeszcze ten nie dopalony skrawek papieru?

– Nie, proszę pana, zaledwie dotknęliśmy go, rozsypał się w proch.

– Czy sir Charles odbierał już przedtem listy zaadresowane tym samym pismem?

– Nie zwracałem uwagi na listy sir Charlesa. Nie zauważyłbym i tego ostatniego, gdyby nie zdarzyło się, że tego dnia żadne inne listy nie nadeszły.

– Czy nie masz pojęcia, kto to jest L.L.?

– Nie, proszę pana. Ale sądzę, że gdyby udało nam się dojść do nazwiska owej pani, dowiedzielibyśmy się niejednego szczegółu o śmierci sir Charlesa.

– Nie rozumiem doprawdy, dlaczego zataiłeś tak ważną wiadomość?

– Bo widzi pan, zaraz potem spadło na nas to nieszczęście z Seldenem, a zresztą byliśmy bardzo przywiązani do sir Charlesa, doznaliśmy od niego tylu dobrodziejstw... Wyciągnięcie tej historii nie wskrzesiłoby naszego biednego pana, a gdzie kobieta wchodzi w grę, należy zawsze postępować bardzo ostrożnie. Nawet najlepszy z nas...

– Myślałeś, że to może zaszkodzić jego dobremu imieniu?

– Zdawało mi się, że z tego nic dobrego wyjść nie może. Ale teraz byłbym niewdzięczny, gdybym za tyle okazanej mi przez pana dobroci nie powiedział

wszystkiego, co wiem w tej smutnej sprawie.

– Dobrze, możesz odejść.

Gdy lokaj wyszedł, sir Henry zwrócił się do mnie.

– No, doktorze Watsonie, co pan myśli o tym nowym szczególe?

– Zdaje mi się, że jeszcze bardziej zaciemnia to całą sprawę.

– I ja tak sądzę. Ale gdybyśmy mogli odnaleźć ową L.L., wszystko by się wyjaśniło. Tyleśmy już jednak zyskali, że wiemy o istnieniu kogoś, kto zna okoliczności, jakie poprzedzały śmierć sir Charlesa; gdybyśmy tylko mogli odnaleźć tę kobietę! Jak pan myśli, co teraz należy zrobić?

– Przede wszystkim donieść o tym niezwłocznie Holmesowi. Może ten szczegół przyda mu się do rozwiązania zagadki. Jestem prawie pewny, że dowiedziawszy się o tym przyjedzie do nas.

Poszedłem niezwłocznie do siebie i skreśliłem sprawozdanie do Holmesa o naszej rozmowie z Barrymorem. Był on widocznie ostatnio zajęty, bo otrzymywałem z Baker Street z rzadka tylko krótkie liściki bez komentarzy do przesłanych przeze mnie wiadomości i bez dalszych dla mnie wskazówek. Niewątpliwie sprawa szantażu pochłania go całkowicie. A jednak ten nowy szczegół powinien stanowczo zwrócić jego uwagę i pobudzić na nowo zainteresowanie dla naszej sprawy. Chciałbym, żeby był tutaj.

17 października

Deszcz lał przez cały dzień, szeleszcząc w liściach bluszczu wijącego się na mirach zamku i spływając po szybach. Mimo woli przyszedł mi na myśl zbiegły więzień, bez dachu nad głową na tych ponurych, zimnych moczarach! Biedaczysko! Cierpi teraz za swoje zbrodnie. A potem to wspomnienie wywołało inne – twarz dostrzeżoną w dorożce, postać na szczycie skały. Czy i on – ów nieznajomy, tajemniczy człowiek – znajdował się również na zalanym deszczem pustkowiu?

Wieczorem włożyłem płaszcz nieprzemakalny i z głową pełną dręczących myśli chodziłem długo po moczarach. Deszcz smagał mnie po twarzy, a wiatr gwizdał w uszach. Biada tym, którzy zabłąkają się teraz na Trzęsawisko Grimpen, bo tam nawet twardy do niedawna grunt zmienia się jesienią w mokradło.

Odnalazłem Czarny Szczyt, na którym przedwczoraj dostrzegłem samotnego mężczyznę, i z tego skalistego wierzchołka rozglądałem się po pustkowiu,

rozpościerającym się u moich stóp. Fale deszczu, pędzone wiatrem, przelatywały po rdzawych zboczach, a ciężkie ołowiane chmury zwiślały nisko nad krajobrazem, tworząc jakby szary wieniec dookoła fantastycznych wzgórz.

Na lewo, w odległej kotlinie, na wpół ukryte we mgle, wznosiły się dwie smukłe wieże Baskerville Hallu. Były to jedyne dostrzegalne dla mnie oznaki życia ludzkiego, z wyjątkiem owych przedhistorycznych domostw, gęsto rozsianych po stokach pagórków. Nigdzie ani śladu owego mężczyzny, którego widziałem na tym samym miejscu w tamtą pamiętną noc.

Gdy wracałem kamienistą dróżką, dogonił mnie doktor Mortimer, jadący dwukółką z odległej farmy Foulmire. Doktor okazywał nam dużo życzliwości; codziennie prawie przyjeżdżał do zamku, aby dowiedzieć się, jak się nam powodzi. Zaprosił mnie do swego powoziku proponując odwiezienie do domu. Opowiedział mi, że jest bardzo zmartwiony zniknięciem swego ulubionego spaniela. Pies wybiegł na moczary i już nie wrócił. Pocieszałem doktora, jak mogłem, ale przypomniał mi się kuc na Trzęsawisku Grimpen i nie sądzę, by Mortimer ujrzał kiedykolwiek swego pieska.

– Chciałem pana o coś zapytać, doktorze – rzekłem, trzęsąc się na wyboistej drodze – przypuszczam, że mało jest w najbliższej okolicy osób, których by pan nie znał?

– Zdaje mi się, że znam chyba wszystkich.

– Czy może mi pan zatem wymienić nazwisko i imię kobiety, zaczynające się od liter L.L.?

Doktor zamyślił się przez chwilę.

– Nie – odparł. – Jest tu wprawdzie trochę Cyganów i robotników, których nazwisk nie znam, ale wśród rodzin chłopskich i ziemiańskich nie ma ani jednej kobiety o takich inicjałach. Ale zaraz, zaraz – dodał po chwili. – Jest przecież Laura Lyons... Ma pan więc L.L.... mieszka w Coombe Tracey.

– Któż to taki? – spytałem.

– Córka Franklanda.

– Co? Tego starego wariata?

– Właśnie. Wyszła za mąż za malarza nazwiskiem Lyons, który tu przyjechał, aby szkicować moczary. Okazało się, że był to jakiś szubrawiec, który ją wkrótce porzucił. Jeśli jednak dobrze słyszałem, wina nie leżała wyłącznie po jego stronie. Frankland nie chciał słyszeć o córce, bo wyszła za mąż bez jego pozwolenia, a może też

miał i inne przyczyny. Toteż młoda kobieta, opuszczona przez ojca i męża, nie miała lekkiego życia.

– Z czego ona żyje?

– Zdaje się, że stary Frankland daje jej skromną zapomogę, lecz nie może to być wiele, bo sam kiepsko stoi finansowo. Jakiegokolwiek były przewinienia Laury Lyons, niepodobna było pozwolić, żeby zeszła na złą drogę. Gdy dowiedziano się o jej losach, kilka osób dopomogło jej do zdobycia uczciwego zarobku. Stapleton, sir Charles, nawet i ja przyłożyliśmy się do tego w miarę naszych możliwości. Chcieliśmy, by założyła biuro przepisywania na maszynie.

Doktora zainteresował powód moich pytań, ale udało mi się zaspokoić jego ciekawość nie mówiąc mu zbyt wiele, bo nie widzę potrzeby wtajemniczenia kogokolwiek w moje zamiary. Jutro rano udam się do Coombe Tracey i jeżeli zdołam rozmówić się z ową panią o wątpliwej reputacji, będzie to duży krok naprzód do wyświeatlenia jednego z ogniw łańcucha tajemnic.

Zaczynam nabierać chytrości węża, gdy bowiem Mortimer zadał mi pytania, na które odpowiedzieć nie chciałem, zapytałem go znienacka, do jakiego, typu należy czaszka Franklanda, i przez resztę jazdy mówiliśmy już tylko o frenologii. Nie na darmo spędziłem tyle lat z Sherlockiem Holmesem.

Jeden tylko jeszcze godny uwagi wypadek zaszedł w ciągu dzisiejszego ponurego dnia, mianowicie moja rozmowa z Barrymore'em, która dała mi ważny atut do ręki; skorzystam z niego w odpowiedniej chwili.

Mortimer został na obiedzie, po czym zasiadł z baronetem do ecarte. Lokaj przyniósł mi kawę do biblioteki, z czego skorzystałem, by mu zadać kilka pytań.

– No i cóż – rzekłem – czy ten wasz kochany szwagier już pojechał, czy też ukrywa się jeszcze na moczarach?

– Nie wiem, proszę pana. Mam nadzieję, że sobie pojechał, bo sprowadzał tu na nas same zmartwienia. Zanosilem mu żywność ostatni raz przed trzema dniami i potem już nie dał znaku życia.

– Czy widzieliście go wtedy?

– Nie, proszę pana. Ale gdy później przechodziłem tamtędy, jedzenia już nie było.

– Widocznie zatem przebywał tam jeszcze?

– Tak by się zdawało, jeśli ten drugi nie zabrał zapasów.

Filiżanka, którą podniosłem do ust, zatrzymała się w pół drogi. Spojrzałem ze

zdumieniem na Barrymore'a.

– Jak to, więc wiecie, że jeszcze ktoś inny ukrywa się na moczarach?

– Wiem, że jest tam jeszcze inny mężczyzna.

– Widzieliście go?

– Nie, proszę pana.

– Więc skąd o nim wiecie?

– Mówił mi o nim Selden przed tygodniem, a może i dawniej. On się też ukrywa, ale myślę, że to nie jest więzień. Panie doktorze, mnie się to wszystko nie podoba, mówię panu szczerze... to mi się nie podoba! – mówił gwałtownie i z wielką powagą.

– Słuchajcie, Barrymore. W tej całej sprawie obchodzi mnie tylko dobro waszego pana. Przyjechałem tu jedynie po to, by mu dopomóc. Powiedzcie mi zatem otwarcie, co wam się nie podoba?

Barrymore zawahał się przez chwilę, jak gdyby żałował poprzedniego wybuchu lub nie umiał wyrazić swych myśli.

– Wszystko, co się tam dzieje, proszę pana! – zawołał w końcu, wskazując ręką w stronę okna wychodzącego na moczary. – Mogę przysiąc, że dzieje się tam coś złego, że knuje się tam jakaś zbrodnia. Byłbym uszczęśliwiony, gdyby sir Henry chciał powrócić do Londynu.

– Ale cóż was tak niepokoi?

– Niech pan sobie przypomni śmierć sir Charlesa. Nie była to zwykła śmierć, wnosząc z tego, co mówił sędzia śledczy. Niech pan weźmie pod uwagę odgłosy na moczarach w nocy. Nie ma w całej okolicy człowieka, który by tam poszedł po zachodzie słońca, nawet za dobrą zapłatą. A ten nieznajomy, który się ukrywa śledząc i wyczekując! Na co on czeka? Co to znaczy? Wszystko to nie wróży nic dobrego dla każdego, kto nosi nazwisko Baskerville. Kamień spadnie mi z serca w dniu, w którym zjawi się nowa służba, a ja będę mógł stąd wyjechać.

– Powróćmy do tego nieznajomego – rzekłem.

– Czy możecie mi coś o nim powiedzieć? Co mówił Selden? Czy wysledził, gdzie się ukrywa i co robi?

– Widział go raz czy dwa, ale Selden jest taki skryty, że z niczym się nie zdradza. Myślał najpierw, że to policjant, ale wkrótce przekonał się, że tamten ma jakieś osobiste cele. O ile mój szwagier mógł dostrzec, wyglądał na dżentelmena, ale nie zdołał wykryć, co robi.

- A gdzie się ukrywa?
- Na stoku pagórka, wśród tych starych ruin... tam gdzie podobno kiedyś żyli jacyś ludzie.
- A skąd bierze jedzenie?
- Selden wykrył, że obsługuje go jakiś wyrostek, który przynosi wszystko, co mu jest potrzebne. A zakupy robi, zdaje się, w Coombe Tracey.
- Dobrze, Barrymore. Pomówimy o tym jeszcze innym razem.

Gdy lokaj wyszedł, zbliżyłem się do okna i patrzyłem przez zalane deszczem szyby na pędzące po niebie chmury i uginające się pod podmuchem wichru wierzchołki drzew. Nieprzyjemna to była noc nawet dla człowieka przebywającego w wygodnym, ciepłym pokoju, a cóż dopiero dla bezbronnego, którego jedynym schronieniem były przedhistoryczne ruiny.

Jakże potężna musi być nienawiść, skłaniająca do przebywania w taką noc w takim miejscu! Jak niesłychanej wagi musi być ten cel wymagający takiej ofiary.

Tam więc w ruinach na moczarach znajduje się rozwiązanie problemu, który mnie gnębi. Przysięgam, że zrobię wszystko, co tylko w ludzkiej mocy, i zanim minie doba, dotrę do jądra tajemnicy.

11. Człowiek z Czarnego Szczytu

Wyjątek z mojego dziennika, stanowiący poprzedni rozdział, doprowadził opowieść do 18 października. Od tego dnia niezwykle wypadki zaczęły szybko zmierzać do strasznego rozwiązania. Zajścia dni następnych wryły się tak głęboko w mej pamięci, że mogę je powtórzyć nie uciekając się do pomocy spisanych wówczas notatek.

Powracam tedy do dnia, w którym udało mi się stwierdzić dwa fakty znamiennej wagi: że pani Laura Lyons z Coombe Tracey pisała do sir Charlesa Baskerville'a i wyznaczyła mu spotkanie w tym samym miejscu i o tej samej godzinie, w której zaskoczyła go śmierć. Poza tym, że tego drugiego ukrywającego się na moczarach mężczyznę można znaleźć wśród ruin na stoku pagórka. Czułem, że jeśli nie zdołam rzucić dalszego światła na tę sprawę mając takie dwa fakty w rękę, będzie to dowodem bądź braku inteligencji z mojej strony, bądź też braku odwagi.

Poprzedniego dnia nie miałem okazji, aby zakomunikować baronetowi

wiadomość o pani Lyons, doktor Mortimer bowiem grał z nim w karty do późnej nocy. Przy śniadaniu jednak zawiadomiłem go o swoim odkryciu i spytałem, czy zechce towarzyszyć mi do Coombe Tracey.

W pierwszej chwili zapalił się do tego projektu, ale po namyśle uznaliśmy obaj, że jeśli pojedę sam, będę mógł osiągnąć lepsze wyniki. Im bardziej oficjalne będą odwiedziny, tym mniej z pewnością się dowiemy. Zostawiłem więc sir Henry'ego w domu, nie bez wyrzutów sumienia, i wyruszyłem w drogę.

Przybywszy do Coombe Tracey, kazałem Perkinsowi wyprząc konie i zacząłem poszukiwać mieszkania pani Lyons. Znalazłem je bez trudności, znajdowało się bowiem w samym środku miasteczka.

Służąca wpuściła mnie bez ceremonii, a gdy wszedłem do pokoju, pani, siedzącą przy maszynie do pisania, zerwała się z uprzejmym uśmiechem. Gdy jednak zobaczyła, że to ktoś nieznajomy, uśmiech znikł jej z twarzy, usiadła z powrotem na swoim miejscu i spytała mnie o powód odwiedzin.

Na pierwszy rzut oka pani Lyons robiła wrażenie niezwykle pięknej kobiety. Jej oczy i włosy, miały ten sam kasztanowy odcień, a jej policzki o ciepłej cerze brunetki; której nie szpeciły nawet dość liczne piegry, okrywał rumieniec tak delikatny jak płatki róż.

Pierwszym moim wrażeniem na jej widok, powtarzam, był zachwyt. Po pewnej chwili jednak obudził się we mnie krytycyzm. Było coś w jej twarzy, co psuło tę wspaniałą urodę: czy była to pewna pospolitość w wyrazie, czy zimne spojrzenie, czy skrzywienie ust – sam sobie nie zdawałem sprawy. Zresztą te uwagi nasunęły mi się dopiero później. W danej chwili miałem wrażenie, że znajduję się w obecności bardzo pięknej kobiety, która mnie pyta o powód odwiedzin. Teraz dopiero zrozumiałem, jak delikatnej podjąłem się misji.

– Mam przyjemność – zacząłem – znać ojca pani.

Wstęp był dość niezręczny i pani Lyons dała mi to niezwłocznie do zrozumienia.

– Z moim ojcem nic mnie nie łączy – rzekła. – Nic mu nie zawdzięczam i nie mamy żadnych wspólnych znajomych. Ojciec tak dbał o mnie, że gdyby nie sir Charles Baskerville oraz kilku innych zacnych ludzi, umarłabym z głodu.

– Przyszedłem do pani właśnie w sprawie śmierci sir Charlesa Baskerville'a.

Piegry na jej twarzy zaznaczyły się wyraźniej.

– Cóż ja mogę panu o niej powiedzieć? – spytała, a palce jej przebiegały

nerwowo po klawiszach maszyny do pisania.

– Przecież pani go znała.

– Mówiłam już, że zawdzięczam dużo jego dobroci: Jeśli jestem teraz w stanie się utrzymać, to przede wszystkim dzięki pomocy, jakiej mi udzielił, gdy znajdowałam się w beznadziejnej sytuacji.

– Czy pani pisywała do sir Charlesa?

Spojrzała na mnie z błyskiem gniewu w pięknych oczach.

– Jaki jest cel tych pytań? – spytała ostrym tonem.

– Uniknięcie skandalu publicznego. Lepiej, żebym ja tutaj zadał pani te pytania, niż żeby cała sprawa stała się głośna.

Zbladła i siedziała przez chwilę w milczeniu. W końcu spojrzała na mnie wyzywająco.

– Dobrze, odpowiem na pytania – rzekła. – Co pan chce wiedzieć?

– Czy pani pisywała do sir Charlesa?

– Oczywiście... raz czy dwa, żeby mu podziękować za jego delikatność i wspaniałomyślność.

– Czy pamięta pani daty tych listów?

– Nie.

– Czy pani się z nim widywała?

– Parę razy, gdy przyjeżdżał do Coombe Tracey. Sir Charles był człowiekiem bardzo skromnym i dla swych dobrych uczynków nie szukał rozgłosu.

– Ale jeśli pani widywała się z nim tak rzadko i tak rzadko do niego pisywała, jakże się to stało, że znał tak dobrze sytuację pani, aby przyjść jej z pomocą?

Na to pytanie odpowiedziała bez wahania.

– Kilku znajomych wiedziało o moich trudnościach, porozumieli się zatem, by mi dopomóc. Jednym z nich był pan Stapleton, sąsiad i bliski przyjaciel sir Charlesa, człowiek niezmiernej dobroci. Od niego sir Charles dowiedział się o mojej ciężkiej sytuacji.

Wiedziałem już, że w kilku wypadkach zmarły pan Baskerville używał pośrednictwa Stapletona do rozdawania zapomóg; wyjaśnienia pani Lyons miały zatem wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

– Czy pani pisała kiedykolwiek do sir Charlesa, prosząc go o spotkanie? Twarz pani Lyons oblała się rumieńcem gniewu.

– Zadaje mi pan doprawdy bardzo dziwne pytania.

- Przykro mi, ale muszę je powtórzyć.
- Odpowiem więc: oczywiście nie pisałam.
- Nawet w dniu śmierci sir Charlesa?

Rumieniec znikł z twarzy młodej kobiety i ustąpił miejsca śmiertelnej bladości. Wargi jej poruszyły się, nie mogąc wymówić wyrazu "nie", który dostrzegłem raczej, niż dosłyszałem.

– Pamięć zawodzi panią niewątpliwie – rzekłem. – Mógłbym nawet przytoczyć urywek z pani listu: "Zaklinam pana na honor dżentelmena, niech pan spali ten list i będzie przy furtce o godzinie dziesiątej".

Myślałem, że pani Lyons zemdleje, ale wysiłkiem woli zdołała się opanować.

– Czy już nie ma na świecie dżentelmenów? – wykrztusiła z trudem.

– Jest pani niesprawiedliwa dla sir Charlesa. Spalił on pani prośbę. Ale czasem list, chociaż spalony, pozostaje czytelny. A więc przyznaje się pani do napisania tego listu.

– Tak, napisałam go! – zawołała wyładowując wzburzenie w potoku słów. – Napisałam go. Dlaczego mam zaprzeczać? Nie mam żadnego powodu wstydzić się tego. Chciałam, żeby mi pomógł. Zdawało mi się, że najlepiej będzie, gdy się z nim osobiście rozmówię, i dlatego prosiłam go o spotkanie.

– Ale dlaczego o takiej godzinie?

– Ponieważ dowiedziałam się właśnie, że wyjeżdża nazajutrz do Londynu na kilka miesięcy, a miałam powody, dla których wcześniej pójść nie mogłam.

– Ale dlaczego wyznaczyła mu pani spotkanie w ogrodzie zamiast pójść do niego do domu?

– Czy pan sądzi, że wypada kobiecie chodzić samej o takiej porze do kawalera?

– I cóż zaszło podczas tego spotkania?

– Nie byłam tam wcale.

– Nie była pani?

– Nie, przysięgam panu na wszystko, co mam najświętszego. Nie byłam. Przeszkodziło mi coś zupełnie niespodziewanego.

– A mianowicie?

– To moja osobista sprawa. Nie mogę tego powiedzieć.

– Przyznaje się więc pani do wyznaczenia sir Charlesowi spotkania w miejscu i o godzinie jego nagłej śmierci i twierdzi pani, że spotkanie to się nie odbyło?

– Tak, to jest szczerą prawdą. Pomimo usilnych starań nie udało mi się nic

więcej wydobyć od pani Lyons.

– Bierze pani na siebie dużą odpowiedzialność i stawia się pani w bardzo fałszywym położeniu, nie wyznając otwarcie wszystkiego – rzekłem, wstając, by zakończyć tę długą i bezskuteczną wizytę. – Jeśli będę zmuszony zwrócić się o pomoc do policji, będzie pani poważnie skompromitowana. Jeśli naprawdę jest pani niewinna, dlaczego nie przyznała się pani od razu do napisania listu do sir Charlesa w dniu jego śmierci?

– Bo obawiałam się, żeby nie wysnuto stąd jakichś fałszywych wniosków i żebym nie została wplątana w skandal.

– A dlaczego nalegała pani tak usilnie, żeby sir Charles spalił ten list?

– Skoro pan go czytał, powinien pan wiedzieć dlaczego.

– Nie powiedziałem pani, że czytałem cały.

– Ale przytoczył pan urywek.

– Przytoczyłem dopisek. List, jak powiedziałem, był spalony i niecały czytelny.

Pytam panią raz jeszcze, dlaczego nalegała pani tak usilnie na sir Charlesa, żeby otrzymany list spalił?

– To jest sprawa ściśle osobista.

– Tym bardziej powinno pani zależeć na uniknięciu dochodzenia przez policję.

– A więc powiem panu. Jeśli pan słyszał o moich nieszczęściach, to musi pan wiedzieć, że wyszłam nierozważnie za mąż i ciężko za to odpokutowałam.

– Słyszałem o tym.

– Życie moje było jednym pasmem udręczeń. Mąż, którego nienawidzę, prześladował mnie bez ustanku. Prawo było po jego stronie i mógł on w każdej chwili zmusić mnie do ponownego współżycia. Dowiedziałam się, iż mogłabym odzyskać wolność, gdybym poniosła pewne koszta. Wtedy napisałam do sir Charlesa. Chodziło tu o całe moje życie, o spokój, szczęście, szacunek dla samej siebie, słowem – o wszystko. Znałam jego wspaniałomyślność i pomyślałam sobie, że gdybym sama opowiedziała mu wszystkie szczegóły, na pewno by mi dopomógł.

– Dlaczegoż więc pani nie poszła na spotkanie?

– Dlatego że otrzymałam tymczasem pomoc z innego źródła.

– Dlaczego, nie zawiadomiła pani o tym sir Charlesa?

– Byłabym to uczyniła, ale nazajutrz rano przeczytałam w gazecie o jego śmierci.

Odpowiedzi pani Lyons były logicznie powiązane ze sobą i to, co mówiła,

wydawało się prawdopodobne, a dalsze moje pytania nie zdołały jej zbić z tropu. Pozostało jeszcze tylko do sprawdzenia, czy istotnie przedsięwzięła kroki rozwodowe przeciw mężowi w tym samym czasie, kiedy rozegrała się tragedia sir Charlesa.

Nie ośmieliłaby się chyba twierdzić, że nie była w Baskerville Hallu, gdyby rzecz miała się inaczej. Musiałaby w takim razie wynająć jakiś pojazd i wróciłaby do Coombe Tracey dopiero nad ranem. Taka wyprawa nie utrzymałaby się w tajemnicy. Należy zatem sądzić, że mówiła prawdę albo przynajmniej część prawdy.

Wyszedłem od pani Lyons zawiedziony i zniechęcony. Napotkałem znów ten nieprzenikniony mur zamykający każdą drogę, którą usiłowałem dotrzeć do celu. A jednak, gdy przypomniałem sobie wyraz twarzy tej kobiety i jej zachowanie, nabierałem coraz głębszego przekonania, że ukrywa ona coś przede mną.

Dlaczego tak zbladła? Dlaczego musiałem przemocą wydobywać z niej każdy szczegół? Dlaczego była tak powściągliwa we wszystkim, co dotyczyło tragedii sir Charlesa? Byłem przekonany, że po wyjaśnieniu tych pytań nie okaże się ona tak niewinna, za jaką chciała uchodzić przede mną. Na razie jednak dalsze śledztwo w tym kierunku byłoby bezskuteczne. Należało więc zabrać się do rozwiązania innej zagadki, do której klucza trzeba było szukać wśród przedhistorycznych osiedli na moczarach.

Wskazówki, jakie mi dał Barrymore, były bardzo niedokładne. Uprzytomniłem to sobie w drodze do domu na widok łańcucha pagórków, z których każdy wykazywał ślady prastarych siedzib ludzkich.

Lokaj powiedział mi tylko, że nieznajomy przebywał w jednym z opuszczonych domostw, a przecież setki ich były rozrzucone po moczarach. Tajemniczego mężczyznę widziałem jednak na Czarnym Szczycie. Postanowiłem więc, że szczyt ten stanowić będzie punkt wyjściowy do wszystkich moich poszukiwań na moczarach. Obejdę po kolei wszystkie domostwa, dopóki nie natrafię na właściwe. A gdy znajdę w nim tego mężczyznę, to pod groźbą rewolweru zmuszę go do wyznania, kim jest i dlaczego śledzi nas tak długo. Mógł nam się wymknąć wśród tłumu na Regent Street, ale tu, na tym pustkowiu, już mu się to nie uda.

Jeżeli odnajdę jego siedzibę, ale chwilowo pustą, pozostanę w niej tak długo, dopóki "lokator" nie powróci. Wyśliznął się Holmesowi w Londynie. Co to byłby za tryumf dla mnie, gdybym zwyciężył tam, gdzie sam mistrz poniósł porażkę!

Los był nam dotąd ciągle przeciwny w naszych poszukiwaniach, lecz teraz nareszcie zaczynał nam sprzyjać. A zwiastun pomyślnej zmiany ukazał się w postaci

pana Franklanda stojącego na gościńcu przed furtką swego ogrodu.

– Dzień dobry, doktorze Watsonie – zawołał, a na jego czerwonej twarzy, okolonej siwymi faworytami, malował się wyraz niezwykle dobrego humoru. – Musi pan dać wypocząć koniom i wstąpić do mnie na kieliszek wina, żeby uczcić moje zwycięstwo.

Nie żywiłem dla niego bynajmniej przyjaznych uczuć, gdy dowiedziałem się, jak postąpił z córką, ale i tak miałem zamiar odesłać Perkinsa do domu, więc skorzystałem z tej okazji. Wsiadłem z powozu i poleciłem stangretowi, aby zawiadomił sir Henry'ego, że wrócę dopiero na obiad, po czym poszliśmy z Franklandem do jadalni.

– Dziś jest wielki dzień w moim życiu – mówił chichocząc. – Odniosłem podwójne zwycięstwo. Nauczę ja ich tu wszystkich, że prawo jest prawem i że istnieje człowiek, który się nie obawia powoływać na nie. Wygrałem sprawę o przeprowadzenie drogi publicznej przez sam środek parku starego Mildletona, o jakieś sto jardów od jego domu. Cóż pan na to? Do diabła, nauczymy tych magnatów, że nie wolno im lekceważyć praw zwykłych obywateli. Poza tym ogrodziłem i zamknąłem lasek, gdzie mieszkańcy Fernworth urządzali sobie majówki. Ci durnie myślą, że nie istnieje prawo własności i że mogą wszędzie rozkładać się ze swoimi zatłuszczonymi papierami i butelkami. Sąd już wydał wyrok w obu sprawach, i to w obu na moją korzyść. Takiego dobrego dnia nie miałem od czasu, gdy doprowadziłem do skazania sir Johna Morlanda za to, że naruszył prawo polując we własnych zagajnikach.

– W jaki sposób, u licha, pan to przeprowadził?

– Niech pan przejrzy akta sądowe. Warto je przeczytać... Frankland contra Morland, akta sądu przysięgłych. Kosztowało mnie to 200 funtów szterlingów, ale wygrałem sprawę.

– Czy przyniosło to panu jakąś korzyść?

– Nie, panie, żadnej. Dumny jestem z tego, że nie kierował mną żaden interes osobisty. Działąłem zawsze z poczucia obowiązku obywatelskiego. Nie wątpię na przykład, iż mieszkańcy Fernworth spalą mnie dziś wieczorem symbolicznie na stosie.

Gdy ostatni raz urządzali podobną szopkę, powiedziałem policji, że powinna zabronić takich głupich wybryków. Ale stosunki w miejscowej policji są wprost skandaliczne. Nie chcą mi zapewnić ochrony, jaka mi przysługuje. Powiedziałem im, że pożałują jeszcze swego postępowania, a przepowiednia moja zaczyna się już

sprawdzać.

– A to w jaki sposób? – spytałem.

Twarz starego maniaka przybrała wyraz tajemniczy.

– Bo mógłbym ich poinformować o tym, co wszelkimi środkami usiłują teraz wykryć, ale nic mnie nie zmusi do przyścia z pomocą tym łajdakom.

Od dłuższego już czasu szukałem wymówki, która by mi pozwoliła uwolnić się od tej paplaniny, ale teraz nagle zapragnąłem posłyszeć więcej. Znając już przekorną naturę Franklanda, wiedziałem, iż każda wyraźniejsza oznaka zainteresowania z mojej strony byłaby najpewniejszym sposobem powstrzymania jego wynurzeń.

– Wykrył pan pewnie jakiegoś kłusownika? – zapytałem obojętnie.

– Ho, ho, mój panie, to sprawa daleko poważniejsza. A co pan myśli o więźniu ukrywającym się na moczarach?

– Czyżby pan wiedział, gdzie on się ukrywa? – spytałem zdumiony.

– Tego dokładnie nie wiem, ale jestem pewien, że mógłbym dopomóc policji w schwytaniu go. Czy nie wpadło panu na myśl, że najpewniejszym sposobem wyśledzenia tego zbrodniarza byłoby wykrycie, skąd bierze pożywienie?

Oczywiście Frankland zaczynał być niepokojąco bliski prawdy.

– Niewątpliwie – odparłem – ale skąd pan wie, że on się znajduje na moczarach?

– Stąd, że widziałem na własne oczy chłopca, który go zaopatruje w żywność.

Ogarnął mnie niepokój o Barrymore'a. Niebezpieczna sprawa znaleźć się na łasce i nielasce tego złośliwego plotkarza. Po następnej uwadze Franklanda ciężar spadł mi jednak z serca.

– Zdziwi się pan pewnie, że to jakiś mały chłopak przynosi mi jedzenie. Widzę go codziennie przez teleskop. Idzie tą samą ścieżką, o tej samej godzinie, a do kogóż by chodził, jeśli nie do więźnia?

Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Nie okazałem jednak nadał żadnego zainteresowania. Chłopak. Przecież Barrymore mówił mi, że nasz nieznajomy był obsługiwany przez wyrostka. Frankland zatem wpadł na trop owego nieznajomego, nie zaś na trop Seldena. Gdyby zechciał podzielić się ze mną swoimi wiadomościami, oszczędziłby mi dużo pracy i zachodu. Ale przede wszystkim trzeba było udawać niedowiarstwo i obojętność.

– Sądzę, że to prędzej syn któregoś z pasterzy nosi obiad ojcu.

Najlżejszy sprzeciw doprowadzał do pasji starego despotę. Spojrzał na mnie

zjadliwie, a siwe wąsy nastroszyły mu się jak u złego kota.

– Doprawdy? – rzekł, wskazując na bezbrzeżne moczary. – Czy widzi pan Czarny Szczyt? O, tam. A czy widzi pan dalej ten niski pagórek, pokryty gęstymi zaroślami? Otóż jest to najbardziej kamienista część moczarów. Czy jest prawdopodobne, aby pasterz obrał takie miejsce dla swego stada owiec? Pańskie przypuszczenie jest zupełnie niedorzeczne.

Odpowiedziałem z pokorą, że mówiłem nie znając tych wszystkich szczegółów. Uległość moja spodobała się Franklandowi i wywołała dalsze zwierzenia.

– Może pan być pewny, że zanim wygłoszę o czymś zdanie, muszę mieć na to niezbite dowody. Widziałem niejednokrotnie tego chłopca niosącego jakieś zawiniątko. Co dzień, a niekiedy dwa razy dziennie udawało mi się... ale chwileczkę, doktorze... Jeśli mnie oczy nie mylą, coś porusza się w tej chwili na tamtym zbocz.

Jakkolwiek odległość była duża, niemniej dostrzegłem wyraźnie mały czarny punkcik na zielonoszarym tle krajobrazu.

– Chodźmy prędzej! – zawołał Frankland, pędząc po schodach. – Zobaczy go pan na własne oczy i sam osądzi.

Na płaskim dachu stał na trójnogu potężny teleskop. Frankland przyskoczył do lunety i wydał okrzyk radości.

– Prędko, doktorze Watsonie, prędko, zanim zniknie nam za wzgórzem.

Istotnie, mały chłopiec z węzełkiem na ramieniu wchodził powoli na wzgórze. Gdy stanął na szczycie, postać jego w obdartym odzieniu zarysowała się wyraźnie na błękitnym tle nieba. Obejrzał się dookoła szybko i trwożliwie, jakby w obawie pogoni, po czym zniknął za pagórkem.

– No i cóż? Mam słusność?

– Oczywiście, wydaje się, że chłopiec ten spełnia jakieś tajemnicze polecenie.

– A nawet miejscowy policjant odgadłby, jakie to polecenie. Ale nikt nie dowie się ode mnie ani słówka; zobowiązuję pana również do tajemnicy. Ani słówka. Rozumie pan?

– Niech pan będzie spokojny.

– Postąpili, ze mną haniebnie... haniebnie. Gdy wszystkie fakty zostaną ujawnione w procesie Frankland contra Królowa, dreszcz oburzenia wstrząśnie całym krajem. Nic nie zmusi mnie do przyścia z pomocą policji. Policja nie posiadałaby się z radości, gdyby te łotry spaliły mnie nie symbolicznie, ale we własnej osobie... Co, pan już odchodzi? O, nie, nie puszcę pana. Musi pan wychylić ze mną butelczynę z okazji

moich zwycięstw.

Ale oparłem się jego naleganiom i zdołałem też odwieść go od zamiaru odprowadzenia mnie do domu. Dopóki mógł mnie dostrzec, szedłem gościńcem, potem skręciłem szybko w bok na moczary i podążyłem ku skalistemu pagórkowi, za którym zniknął chłopiec. Los sprzyjał mi i przysiągłem sobie, że jeżeli nie uda mi się wyzyskać pomyślnego zbiegu okoliczności, nie będzie to winą braku energii i wytrwałości z mojej strony.

Słońce zachodziło już, gdy stanąłem na szczycie pagórka. Zbocza z jednej strony były złocisto-szmaragdowe, a z drugiej zasnuwane już szarym cieniem. Białe opary wznosiły się z wolna na widnokręgu, a spośród nich wyłaniały się wyraźnie fantastyczne kształty szczytów Belliver i Vixen.

Nic nie zakłócało ciszy panującej na rozległej równinie – żadnego ruchu, żadnego dźwięku. Tylko jakiś duży szary ptak, rybitwa albo kulik, szybował po błękitnym przestworzu. On i ja byliśmy jedynymi żywymi stworzeniami pomiędzy bezbrzeżnym sklepieniem nieba a pustkowiem na ziemi. Dziki krajobraz, uczucie samotności i ciężąca na mnie odpowiedzialność – wszystko to przejmowało mnie dreszczem.

Chłopca nie było widać nigdzie. U moich stóp, w kotlinie między pagórkami, znajdowało się jedno z owych prastarych kamiennych osiedli. Na jednym z domostw dach zachował się prawie w całości, tak że mogło ono służyć za schronienie. Serce zabiło mi jak młotem, gdy to dostrzegłem. Tam musiał się ukrywać nasz nieznajomy. Nareszcie stanąłem u progu jego kryjówki i lada chwila mogłem mu wydrzeć tajemnicę.

Zbliżałem się do mego celu tak ostrożnie jak Stapleton, gdy podchodzi z siatką do upatrzonego motyla, i przekonałem się, że istotnie ruiny te były zamieszkane. Ledwie widoczna ścieżka prowadziła wśród głazów do otworu zastępującego drzwi. Wewnątrz panowała cisza. Może nieznajomy czatował w ukryciu, a może wałęsał się po moczarach. W najwyższym napięciu nerwów cisnąłem papierosa, chwyciłem rewolwer i podszedłszy szybko do wejścia, zajrzałem do środka. Kryjówka była pusta.

Wszystko jednak wskazywało na to, że nie byłem na fałszywym tropie. Tu niewątpliwie mieszkał nieznajomy. Koce, okryte płaszczem nieprzemakalnym, leżały na kamiennym legowisku, na którym niegdyś zwykł był spoczywać człowiek neolityczny. Popiół tlił się jeszcze na palenisku. Obok paleniska stały sprzęty kuchenne i wiadro, do połowy napełnione wodą. Szereg pustych puszek od konserw

świadczył, że kryjówka była już zamieszкана od dłuższego czasu. Gdy wzrok mój przywykł do panującego dokoła półmroku, dostrzegłem w kącie kubek i pół butelki wódki.

Płaski kamień ustawiony pośrodku służył za stół. Leżało na nim małe zawiniątko, to samo niewątpliwie, które przez teleskop dostrzegłem na ramieniu chłopca. Zawierało ono bochenek chleba, ozór wędzony i dwie puszki kompotu z brzoskwiń. Po obejrzeniu zawiniątka kładłem je już z powrotem, gdy nagle ujrzałem zapisaną kartkę papieru. Serce zabiło mi gwałtownie. Schwyciłem kartkę i przeczytałem następujące wyrazy, skreślone ołówkiem niewprawną ręką:

“Doktor Watson pojechał do Coombe Tracey.”

Przez chwilę stałem z kartką w ręku zastanawiając się nad znaczeniem tego lakonicznego doniesienia. A więc to mnie, nie sir Henry'ego, śledził ów tajemniczy nieznajomy. Nie robił tego sam, ale przez kogoś zaufanego – może tego wyrostka – i oto był meldunek.

A więc każdy mój krok od chwili przybycia tutaj był śledzony. Od dawna już miałem uczucie, że znajdujemy się w sieci zarzuconej na nas z niezwykłą zręcznością przez jakieś nieznane siły, w cienkiej sieci, oplątującej nas tak lekko, że dopiero w ostatniej chwili zdołamy się spostrzec, jak mocno jesteśmy w nią zaplątani.

Jeśli był tu jednak meldunek, mogły się znaleźć i inne, zacząłem więc rozglądać się i szukać dookoła. Nie dostrzegłem jednak nigdzie śladu żadnej innej kartki ani też jakiegokolwiek wskazówki, która pozwoliłaby wnioskować o charakterze lub zamiarach mieszkającego w tym dziwnym miejscu człowieka, to jedno tylko było pewne, że musiał prowadzić isticie spartańskie życie i mało dbał o wygody.

Gdy pomyślałem o ostatnich ulewach i zobaczyłem szerokie szpary między tworzącymi dach kamieniami, zrozumiałem, jak ważny musiał być cel, do którego zmierzał nieznajomy, i jak niezachwiane było jego postanowienie osiągnięcia tego celu, skoro mógł wytrwać w tak niegościnnym schronieniu. Czy był to nasz zacięty wróg, czy też nasz anioł stróż? Przysięgłem sobie, że nie opuszczę tej kryjówki, dopóki się tego nie dowiem....

Słońce było już nisko nad horyzontem, a niebo na zachodzie płonęło czerwienią i złotem. Jeziorka wielkiego Trzęsawiska Grimpen tworzyły rdzawe plamy na tle otaczającej je zieleni. W dali widniały dwie wieże Baskerville Hallu, a za nimi słup wznoszącego się dymu wskazywał położenie wioski Grimpen. W środku, między zamkiem a wioską, za wzgórzem, stał dom Stapletonów.

W złotym wieczornym świetle cały krajobraz tchnął ciszą i spokojem. Lecz spokój ten nie udzielił się mojej duszy, gdyż ogarnął mnie nieokreślony lęk przed spotkaniem, które stawało się bliższe z każdą chwilą.

Z napiętymi nerwami, lecz niezachwiany w powziętym postanowieniu, siedziałem w ciemnej kryjówce i z gorączkową niecierpliwością czekałem na powrót jej mieszkańca.

Wreszcie usłyszałem, że nadchodzi. Z daleka dobiegł mnie odgłos podkutych butów uderzających o kamienie. Odgłos ten zbliżał się coraz bardziej. Cofnąłem się w najciemniejszy kąt i odwiodłem kurek rewolweru w kieszeni, zdecydowany nie zdradzać swej obecności, dopóki nieznajomy się nie pokaże. Kroki na chwilę umilkły, co dowodziło, że się zatrzymał. Po czym odgłos kroków zaczął się znowu zbliżać i jakiś cień przesłonił wejście do kryjówki.

– Co za piękny wieczór, kochany Watsonie – odezwał się dobrze mi znany głos.
– Z pewnością będzie ci przyjemniej na zewnątrz niż w tej norze.

12. Śmierć na moczarach

Przez chwilę siedziałem z zapartym oddechem, jak osłupiały, nie dowierzając własnym uszom. Po czym wróciła mi przytomność, a ciężar odpowiedzialności spadł mi z serca. Jeden tylko człowiek na świecie miał taki zimny, przenikliwy, ironiczny głos.

– Holmes! – krzyknąłem. – Holmes!

– Chodź tutaj – odezwał się – a proszę cię, tylko ostrożnie z rewolwerem.

Schyliwszy się wyszedłem przez niski otwór i spostrzegłem swego przyjaciela, siedzącego na kamieniu; na widok mojej zdumionej twarzy jego szare oczy zabłyśły uciechą.

Schudł nieco, widać było po nim zmęczenie, ale mówił z ożywieniem i cerę miał zdrową, spaloną słońcem i wiatrem. W sportowym ubraniu, w czapce na głowie wyglądał jak zwykły turysta zwiedzający moczary. Dbający jak kot o czystość – co jest jedną z jego cech charakterystycznych – był tak starannie ogolony i miał na sobie koszulę tak śnieżnej białości, jak gdyby przed chwilą wyszedł ze swego mieszkania na Baker Street.

– Nikt jeszcze nigdy nie ucieszył mnie tak swoim widokiem – rzekłem,

ściskając jego dłoń.

– Ani równie zdziwił, prawda?

– Tak... muszę to przyznać.

– Mogę cię zapewnić, że moje zdumienie nie ustępowało twojemu. Nie miałem pojęcia, że wysledziłeś moją przygodną kryjówkę, ani też, że w niej siedzisz, dopóki nie znalazłem się o jakieś dwadzieścia kroków od wejścia.

– Poznałeś moje ślady?

– Nie, mój drogi; nie podjąłbym się nawet rozpoznania twoich śladów wśród tysiąca innych. Jeśli zechcesz kiedy ukryć się przede mną, musisz zmienić dostawcę tytoniu, bo gdy ujrzę niedopałek papierosa z firmy Bradley z Oxford Street, wiem, że mój przyjaciel Watson jest w pobliżu. Patrz, leży tam na ścieżce. Rzuciłeś go pewnie w uroczystej chwili ataku na moją kryjówkę.

– Jakbyś wiedział.

– Domyśliłem się od razu... a znając twoją podziwu godną wytrwałość, byłem przekonany, że zastanę cię tu w zasadzce, z bronią w ręku, czekającego na mieszkańca tej siedziby. Wziąłeś mnie więc za owego zbrodniarza?

– Nie wiedziałem, kim jesteś, ale byłem zdecydowany wyjaśnić, tę tajemnicę.

– Wyśmienicie, Watsonie! A w jaki sposób stwierdziłeś moją obecność? Dostrzegłeś mnie tamtej nocy, kiedy wybraliście się w pogoń za więźniem, a ja byłem na tyle nieostrożny, że stanąłem w blasku księżyca?

– Tak, widziałem cię wtedy.

– I przeszukałeś pewnie wszystkie domostwa, aż wreszcie trafiłeś tutaj?

– Nie. Zauważono twego chłopca i to mi posłużyło za wskazówkę.

– Z pewnością ten stary jegomość z teleskopem... Nie mogłem zrozumieć, co to takiego, gdy po raz pierwszy zobaczyłem światło odbijające się w soczewkach. – Wstał i zajrzał do swojej kryjówki. – A... widzę, że Cartwright przyniósł mi posiłek... Co to za kartka? Więc byłeś w Coombe Tracey?

– Byłem.

– U Laury Lyons?

– Właśnie.

– Doskonale. Poszukiwania nasze zatem biegły równolegle, a gdy zestawimy osiągnięte wyniki, mam nadzieję, że będziemy bardzo bliscy całkowitego wyjaśnienia sprawy.

– Cieszę się z całego serca, że jesteś tutaj, bo odpowiedzialność i tajemnica

zaczynały mi już zbyt mocno działać na nerwy. Ale jak to się stało, u licha, żeś tu przyjechał, i coś tu robił? Byłem pewien, że siedzisz na Baker Street i męczysz się nad tą sprawą szantażu.

– Zależało mi właśnie na tym, żebyś tak myślał.

– A więc bierzesz mnie do pomocy, ale mi nie ufasz! – zawołałem z odcieniem goryczy. – Sądzę, że nie zasłużyłem sobie na takie traktowanie z twojej strony.

– Mój drogi, byłeś mi nieocenioną pomocą, zarówno w tym wypadku, jak i w wielu innych, i proszę cię, żebyś wybaczył mi ten wybieg. Prawdę mówiąc, wszystko to stało się częściowo przez wzgląd na ciebie. Z uwagi na grożące ci niebezpieczeństwo przybyłem tutaj, żeby osobiście zbadać sytuację. Gdybym przybył razem z sir Henrykiem i z tobą, to prawdopodobnie podzieliłbym wasz punkt widzenia, a obecność moja ostrzegłaby naszych bardzo groźnych przeciwników. Tymczasem, pozostając w ukryciu, mogłem działać ze swobodą, jakiej nie miałbym nigdy, gdybym zamieszkał w zamku; stanowiąc zatem nieznaną czynnik i mam możliwość rozwinięcia całej energii w chwili krytycznej.

– Ale dlaczego nie wtajemniczyłeś mnie w swoje plany?

– Bo gdybyś o nich wiedział, nic by to nam nie pomogło, a doprowadziłbyś do zdradzenia mojej obecności. Zechciałbyś może mi coś powiedzieć albo z dobrego serca przynieść mi coś z zamku i w ten sposób narazilibyśmy się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Wziąłem ze sobą Cartwrighta... pamiętasz tego chłopca z biura posłańców... i ten zaspokaja moje skromne potrzeby: bochenek chleba i czysty kołnierzyk. Czegoż człowiekowi więcej trzeba? Pomagał mi przy tym dodatkową parą oczu i parą bardzo zwinnych nóg, a zarówno jedno, jak i drugie były dla mnie nieocenioną pomocą.

– A więc wszystkie moje sprawozdania poszły na marne?

Głos zadrżał mi z żalu na wspomnienie wysiłków, jakie w nie włożyłem, i dumy, jaką mnie napawały.

Holmes wyjął z kieszeni plik papierów.

– Oto są twoje sprawozdania, mój drogi, bardzo dokładnie przejrane, zapewniam cię. Wydałem odpowiednie zarządzenia, dzięki czemu przychodzą tu tylko z jednodniowym opóźnieniem. Muszę ci szczerze powinszować gorliwości i inteligencji, jaką wykazałeś w tak niezwykle zawiłej sprawie.

Ta gorąca pochwała Holmesa załagodziła urazę, jaką do niego czułem za to, że mnie wywiódł w pole. Musiałem także w głębi duszy przyznać mu słuszność. Lepiej się

stało dla naszej sprawy, że nie wiedziałem o jego obecności na moczarach.

– O, tak, to już lepiej! – rzekł na widok mojej rozchmurzonej twarzy. – A teraz opowiedz mi o wyniku twojej wizyty u pani Laury Lyons. Nietrudno mi było odgadnąć, że pojechałeś do niej, gdyż jest ona jedyną osobą w Coombe Tracey, która może nam się przydać. Gdybyś ty nie był u niej dzisiaj, prawdopodobnie ja pojechałbym tam jutro.

Słońce zaszło zupełnie i zmrok szybko zapadał. Ochłodziło się znacznie, schroniliśmy się więc do kryjówki Holmesa i tam, siedząc w półmroku, opowiedziałem mu przebieg rozmowy z panią Lyons. Słuchał z takim zainteresowaniem, że musiałem niektóre szczegóły powtarzać dwukrotnie.

– Wszystko to jest bardzo istotne – rzekł, gdy skończyłem – wypełnia bowiem niezrozumiałą dla mnie dotąd lukę w tej niesłychanie zawilej sprawie. Wiesz może, iż ową panią łączą ze Stapletonem bardzo bliskie stosunki.

– Nie wiedziałem, że znają się tak dobrze.

– O, bardzo... Widują się, pisują do siebie, słowem, porozumienie między nimi jest jak najlepsze. Jest to bardzo pożyteczna broń w naszych rękach. Gdyby tylko mogła mi posłużyć do uwolnienia jego żony z więzów małżeńskich.

– Czyjej żony?

– Teraz ja ci coś powiem w zamian za wszystkie twoje nowiny. Otóż kobieta, która uchodziła tutaj za pannę Stapleton, jest jego żoną.

– Co ty mówisz, Holmesie! Czy jesteś pewien? Jak on mógł wobec tego dopuścić, żeby sir Henry się w niej zakochał?

– Zakochanie sir Henry'ego nie mogło zaszkodzić nikomu, tylko jemu samemu. Zresztą, jak to sam zauważyłeś, Stapleton pilnował starannie, żeby baronet zanadto się do niej nie zbliżał. Powtarzam, że ta kobieta jest jego żoną, a nie siostrą.

– Ale w jakim celu to wymyślne kłamstwo?

– Ponieważ przewidywał, że może ona być dla niego bardziej pożyteczna w charakterze kobiety niezamężnej.

Wszystkie moje przeczucia, wszystkie nieuchwytnie podejrzenia zaczęły teraz przybierać realne kształty ześrodkowując się na Stapletonie. Dostrzegłem coś strasznego w tym spokojnym, bezbarwnym człowieku w kapeluszu słomkowym na głowie, z siatką na motyle w ręku – dostrzegłem osobnika o niewyczerpanej cierpliwości i przebiegłości, o uśmiechniętej twarzy, a duszy mordercy.

– A więc to on jest naszym wrogiem?... To on śledził nas w Londynie?

- Tak mi się wydaje.
- A ostrzeżenie... przyszło pewnie od niej?
- Naturalnie.

Z otaczającego nas mroku zaczął się wyłaniać jakiś nieuchwytny jeszcze, ale coraz wyraźniejszy, przerażający w swojej grozie spisek.

– Skąd wiesz, że ta kobieta jest żoną Stapletona? – spytałem. – Czy jesteś tego pewien?

– Ponieważ przy pierwszym spotkaniu z tobą zapomniał się tak dalece, że opowiedział ci niektóre prawdziwe fakty ze swego życia; zdaje mi się, że żałował już nieraz tego swego gadulstwa. Stapleton był kiedyś istotnie właścicielem szkoły w północnej Anglii. Otóż, nie ma nic łatwiejszego, jak odnaleźć ślady człowieka na takim stanowisku. Istnieją agencje, które na żądanie mogą stwierdzić tożsamość każdego uprawiającego zawód pedagogiczny. Niedługo poszukiwania wykazały, że zamknięto w tamtych okolicach pewną szkołę na skutek ohydneho wypadku, jaki się tam wydarzył. Po tym wypadku właściciel szkoły zniknął razem z żoną. Nosił on wtedy inne nazwisko, ale rysopis zgadzał się dokładnie z powierzchownością Stapletona, a gdy wyczytałem jeszcze, że jegomość ów zajmował się entomologią, nie miałem już żadnej wątpliwości.

Ciemności zaczęły się rozpraszać, ale mrok pokrywał jeszcze wiele szczegółów.

– Jeśli ta kobieta jest istotnie żoną Stapletona, to jaką rolę odgrywa tu pani Laura Lyons? – spytałem.

– Twoja rozmowa z tą panią przyczyniła się bardzo do wyjaśnienia sytuacji. Nie wiedziałem nic o jej zamierzonym rozwodzie z mężem. Przypuszczam wobec tego, że pani Lyons, uważając Stapletona za kawalera, liczy niezawodnie na to, że się z nią ożeni.

– A gdy się dowie prawdy?

– Zyskamy w niej sprzymierzeńca. Przede wszystkim musimy się z nią zobaczyć obaj, i to jutro. Ale, Watsonie, czy nie uważasz, że sir Henry za długo pozostaje bez twojej opieki? Powinieneś już dawno być w Baskerville Hallu.

Ostatnie purpurowe odblaski zgasły na zachodzie i noc zapadła na moczarach, a na granatowym niebie zajaśniały tu i ówdzie pierwsze gwiazdy.

– Jeszcze jedno pytanie – rzekłem wstając. – Nie powinniśmy mieć chyba przed sobą żadnych tajemnic. Co znaczy to wszystko? Do czego zmierza Stapleton? Jaki jest jego cel?

– Morderstwo, Watsonie – odpowiedział Holmes zniżonym głosem – wyrafinowane, z zimną krwią uplanowane morderstwo. Nie żądaj ode mnie szczegółów. Zarzuciłem już sieć na niego, podobnie jak on na bareneta, i dzięki tobie mam go już prawie w swojej mocy. Grozi nam tylko jedno niebezpieczeństwo: może nas zaskoczyć i wymierzyć cios, zanim my będziemy gotowi do ataku. Jeszcze jeden dzień, dwa najwyżej, a będę miał wszystkie dowody w rękę, tymczasem zaś ty czuwaj nad baronetem równie troskliwie jak kochająca matka nad chorym dzieckiem. Twój wyjazd dzisiejszy był konieczny, a mimo to wolałbym, żebyś nie opuszczał sir Henry'ego. A to co?

Krzyk, krzyk okropnej, śmiertelnej trwogi rozdarł nagle panującą na moczarach ciszę.

– O, Boże! – wyjąkałem. – Co to jest? Co to znaczy?

Holmes zerwał się na równe nogi. Zobaczyłem jego atletyczną postać na tle wejścia do kryjówki, gdzie stanął pochylony, z głową wysuniętą naprzód, usiłując wzrokiem przeniknąć ciemności.

– Cicho! – szepnął. – Cicho.

Usłyszeliśmy krzyk dlatego, że był tak przeraźliwy, ale szybko uświadomiłem sobie, iż pochodził z daleka. Teraz rozległ się bliżej, głośniejszy, bardziej przejmująco.

– Gdzie to się dzieje? – szepnął Holmes, a drżenie jego głosu wskazywało, że ten człowiek o żelaznych nerwach jest poruszony do głębi. – Gdzie to się dzieje, Watsonie?

– Zdaje mi się, że tam – odparłem, wskazując ręką.

– Nie, chyba tam.

I znów ten krzyk trwogi, jeszcze głośniejszy i znacznie bliższy, rozbrzmiał w ciszy nocnej. Ale tym razem przyłączył się do niego inny odgłos – jakiś głuchy, groźny pomruk, wzmagający się i cichnący na przemian jak szum morskich fal.

– To pies! – krzyknął Holmes. – Chodź, Watsonie, chodź prędko. O, Boże, abyśmy nie przybyli za późno!

I popędził naprzód, a ja tuż za nim. Naraz, gdzieś wśród skał tuż przed nami, rozległ się ostatni, rozpaczliwy krzyk, a potem usłyszeliśmy głuchy łoskot. Stanęliśmy, nasłuchując. Ale żaden inny dźwięk nie przerwał już martwej ciszy tej bezwietrznej nocy.

Holmes przycisnął dłoń do czoła gestem rozpaczony i tupnął nogą z wściekłością.

– Pobił nas, Watsonie. Spóźniliśmy się.

– Nie, nie... to niemożliwe.

– Cóż za głupiec ze mnie, dlaczego zwlekałem tak długo. Patrz, Watsonie, to są skutki pozostawienia sir Henry'ego bez opieki. Ale, przysięgam, jeżeli stało się to najgorsze, morderca nie ujdzie naszej zemsty.

Pędziliśmy na oślep wśród ciemności potykając się o głązy, przedzierając się przez krzaki jałowca, wdrapując się na wzgórza, to znów zbiegając ze stoków, a ciągle dążąc w stronę, skąd dobiegły nas te straszne odgłosy. Z każdego szczytu Holmes rozglądał się pilnie dookoła; ale nieprzenikniony mrok zalegał moczary i nic nie poruszało się wśród rozległego pustkowia.

– Czy widzisz coś?

– Nic.

– Ale... słuchaj... co to jest?

Cichy jęk doleciał naszych uszu. Po chwili powtórzył się znowu – z lewej strony. Pasma skał kończyło się w tym miejscu urwiskiem. U jego podnóża leżała jakaś czarna, bezkształtna masa. Gdy torując sobie drogę wśród głązów zbliżaliśmy się do tego miejsca, ujrzelśmy, że był to mężczyzna; leżał twarzą do ziemi z głową skręconą, z ciałem zgiętym jak do skoku. Patrząc na tę dziwną postać nie mogłem sobie w pierwszej chwili uprzytomnić, że jęk, który słyszeliśmy, był jękiem konającego człowieka. Teraz ciemna postać, nad którą pochyliliśmy się obaj, leżała martwo, bez ruchu.

Holmes dotknął ręką głowy ofiary i cofnął się natychmiast z okrzykiem zgrozy. W świetle zapalki ujrzałem, że mój przyjaciel ma zakrwawione palce i że z roztrzaskanej czaszki leżącego mężczyzny krew płynie strumieniem. A co więcej – na ten widok serca ścisnęły nam się z bólu – spostrzeżliśmy, że były to zwłoki sir Henry'ego Baskerville'a.

Obaj pamiętaliśmy dobrze rdzawy kolor tego sportowego ubrania, w którym widzieliśmy go po raz pierwszy na Baker Street. Jedno mgnienie oka i zapalka zgasła, tak jak zgasła nadzieja w naszych sercach.

Holmes jęknął i pomimo ciemności zauważyłem, że pobladł.

– Podły! nikczemnik! – krzyknąłem zacisnąwszy pięści. – Nie daruję sobie nigdy, że dopuściłem do tego nieszczęścia!

– Moja wina jest większa od twojej. W pogoni za drobnymi szczegółami, chcąc mieć szereg niezbitych dowodów, dopuściłem do śmierci mego klienta. Jest to najcięższa porażka, jaka mnie spotkała w ciągu całej mojej kariery. Ale czyż mogłem

przewidzieć, że sir Henry, pomimo moich ostrzeżeń, będzie narażał swe życie chodząc samotnie po moczarach? Tak, czyż mogłem to przewidzieć?

– I pomyśleć, że słyszeliśmy jego krzyki... takie straszne krzyki... i nie zdołaliśmy go ocalić. Gdzież jest ten okropny pies, który go o śmierć przyprawił? Włóczy się pewnie jeszcze wśród skał. A Stapleton? Gdzie się kryje? Zapłaci on za tę zbrodnię.

– Zapłaci. Już ja się o to postaram. Stryj i bratanek zamordowani... jeden umarł z przerażenia na sam widok zwierzęcia, które uważał za coś nadprzyrodzonego, drugi znalazł śmierć uciekając przed tą bestią. Ale teraz musimy jeszcze dowieść, że istnieje związek między mordercą a zwierzęciem. Słyszeliśmy wprawdzie warczenie goniącego psa, ale na tej podstawie nie możemy nawet przysiąc, że ten pies w ogóle istnieje, tym bardziej że śmierć sir Henry'ego nastąpiła bez wątplenia wskutek upadku ze skały. Ale klnę się na wszystko, że w ciągu dwudziestu czterech godzin przestępca pomimo całej swojej przebiegłości znajdzie się w mojej mocy.

Ze ściśniętym sercem staliśmy nad okaleczonym ciałem, przybici nagłą i nieodwołalną katastrofą, która zniweczyła w tak tragiczny sposób wszystkie nasze wysiłki.

Księżyc powoli wysuwał się zza chmur. Weszliśmy na skałę, z której spadł nasz biedny przyjaciel, i ze szczytu spoglądaliśmy na moczary, w połowie osrebrzone blaskiem księżyca, w połowie jeszcze tonące w mroku.

W oddali, od strony wioski Grimpen, jaśniało żółte światelko. Mogło płonąć jedynie w samotnej siedzibie Stapletonów. Z gorzkim przekleństwem pogroziłem pięścią, patrząc w tę stronę.

– Dlaczego nie mielibyśmy go zaarrestować natychmiast?

– Dlatego, że nie mamy jeszcze wystarczających dowodów. Ten łotr jest ostrożny i przebiegły w najwyższym stopniu. W sądzie nie chodzi o to, co my wiemy, ale czego możemy dowieść. Jeden fałszywy krok z naszej strony, a zbrodniarz może nam się jeszcze wymknąć.

– Cóż zatem należy robić?

– Będziemy mieli jutro dużo roboty. A teraz oddajmy ostatnią posługę naszemu biednemu przyjacielowi.

Zeszliśmy z urwistego stoku i zbliżyliśmy się do zwłok, odcinających się teraz wyraźnie od posrebrzonych blaskiem księżyca skał. Widok pokrzywionej w przedśmiertnym skurczu postaci przejął mnie bólem i lzy zakreśliły mi się w oczach.

– Trzeba wezwać kogoś do pomocy, Holmesie. Sami nie zdołamy zanieść go do zamku... Wielkie nieba, człowieku, czyś ty oszalał?

Holmes krzyknął, pochylił się nad zwłokami i nagle wydało mi się, że zwariował, bo zaczął skakać, śmiać się i ściskać moją rękę, Nie poznawałem swego poważnego, zwykle opanowanego przyjaciela.

– Broda... Patrz... Ten człowiek ma brodę...

– Brodę?

– To nie baronet... to... ależ tak... to mój sąsiad, zbiegły więzień.

Z gorączkowym pośpiechem odwróciliśmy zwłoki i zboczona krwią broda ukazała nam się w świetle księżyca.

Niepodobna było omylić się na widok tego wystającego czoła i zapadłych, zwierzęcych oczu. To była ta sama twarz, którą dostrzegłem owej nocy przy świetle świecy w szczelinie skały – twarz zbrodniarza Seldena.

I w jednej chwili wyjaśniło mi się wszystko. Przypomniałem sobie, że baronet darował swoją starą garderobę Barrymore'owi, Barrymore zaś dał ją Seldenowi, chcąc mu dopomóc do ucieczki. Buty, koszula, czapka – wszystko było własnością sir Henry'ego.

Wypadek był bardzo smutny, niewątpliwie, ale człowiek ten i tak zasłużył sobie na śmierć według prawa swego kraju. Z sercem przepełnionym radością opowiedziałem Holmesowi historię garderoby Seldena.

– W takim razie ubranie stało się przyczyną śmierci tego biedaka – rzekł. – Jasne jest teraz, iż do wytresowania psa Stapleton użył jakiegoś przedmiotu należącego do sir Henry'ego, pies więc pogonił za Seldenem. Jedna rzecz wszakże pozostaje nie wyjaśniona: skąd on mógł w ciemnościach rozpoznać, że pies go ściga?

– Słyszał go prawdopodobnie.

– Taki twardy człowiek, jak ten morderca, słysząc szczekanie psa na moczarach, nie przeraziłby się do tego stopnia, by wołać głośno o pomoc i narażać się na ujęcie przez policję. Sądząc z jego krzyków musiał biec bardzo długo, od chwili gdy spostrzegł, że zwierzę go ściga. Skąd jednak wiedział, że jest ścigany?

– Większą zagadką jest dla mnie coś innego. Jeżeli założymy, że wszystkie nasze wnioski są słuszne, to w takim razie dlaczego ten pies...

– Ja z góry nic nie zakładam.

– Otóż dlaczego ten pies został wypuszczony właśnie dzisiaj? Sądzę, że nie wałęsa się zawsze swobodnie po moczarach. Stapleton nie wypuściłby go, gdyby nie

spodziewał się, że sir Henry wyjdzie dziś wieczorem.

– Trudniej jest odpowiedzieć na moje pytanie niż na twoje, które prawdopodobnie będzie niebawem wyjaśnione, podczas gdy moje może pozostać na zawsze otoczone tajemnicą. A teraz pytanie, co poczniemy ze zwłokami tego nieszczęśnika? Nie możemy ich zostawić na żer lisom i krukowi.

– Proponuję, żeby je złożyć w najbliższym z tych starych domostw, dopóki nie zawiadomimy policji.

– Doskonale... Myślę, że damy sobie radę sami... Watsonie, a to co? Patrz, to on... co za piekielna odwaga! Słuchaj, żebyś mi ani słowem nie zdradził swoich podejrzeń... ani słówka, inaczej wszystkie moje plany runą.

Jakaś postać, idąca ścieżką przez moczary, zbliżała się ku nam; niebawem dostrzegłem czerwony krążek palącego się cygara, a w świetle księżyca rozpoznałem zwinną sylwetkę i sprężysty chód przyrodnika. Dostrzegłszy nas, przystanął na chwilę, po czym znowu ruszył ku nam.

– Czy to pan, doktorze Watsonie? Ze wszystkich ludzi na świecie najmniej spodziewałem się zastać pana na moczarach o tak późnej porze. Ale, mój Boże, co to? Jakiś wypadek? Nie... to chyba nie nasz przyjaciel sir Henry?

Minął mnie szybko i pochylił się nad zmarłym. Słyszałem, jak wciągnął głęboko powietrze, cygaro wypadło mu z dłoni.

– Kto... kto to jest? – wyjąkał.

– Selden, więzień, który uciekł z Princetown.

Stapleton zwrócił ku nam twarz śmiertelnie bladą, lecz najwyższym wysiłkiem woli pokonał swoje zdumienie i rozczarowanie. Byстрыm wzrokiem spoglądał kolejno na mnie i na Holmesa.

– Mój Boże. Jakie to smutne zdarzenie... Co spowodowało jego śmierć?

– Zdaje mi się, że roztrzaskał sobie głowę, spadając z tych skał. Przechadzałem się z przyjacielem po moczarach, gdy nagle usłyszeliśmy krzyk.

– Ja również usłyszałem krzyk i dlatego wyszedłem z domu. Byłem niespokojny o sir Henry'ego.

– Dlaczego właśnie o sir Henry'ego? – Nie mogłem powstrzymać się od tego pytania.

– Dlatego, że prosiłem go, by spędził wieczór z nami, i byłem zdziwiony, że nie przyszedł. Gdy zaś usłyszałem krzyki na moczarach, ogarnął mnie niepokój o niego. Ale – przenikliwe oczy przyrodnika znów biegały od mojej twarzy ku twarzy Holmesa

- czy nie słyszeli panowie nic innego oprócz krzyku?
- Ja nie – odparł Holmes – a ty?
 - I ja nie.
 - Ale dlaczego zadaje pan to pytanie? – rzekł Holmes.
 - O, tak tylko... panowie znają przecież bajki, krążące wśród chłopów, o jakimś upiornym psie. Utrzymują, że czasem słyszą jego wycie na moczarach. Zastanawiam się więc, czy panowie nie słyszeli tej nocy jakichś podejrzanych odgłosów.
 - Nie słyszeliśmy nic takiego – rzekłem.
 - A co, według pana, spowodowało śmierć tego biedaka?
 - Jestem pewien, że strach, w jakim żył nieustannie, i skrajne wyczerpanie zaćmiły mu umysł. W przystępie obłądu biegł po moczarach, dostał się przypadkiem na te skały i spadając, roztrzaskał sobie czaszkę.
 - Przypuszczenie pańskie wydaje mi się wielce prawdopodobne – rzekł Stapleton i odetchnął głęboko, co świadczyło, iż doznał wielkiej ulgi. – A jakie jest pańskie zdanie, panie Holmesie?
- Przyjaciel mój złożył lekki ukłon.
- Jak pan szybko rozpoznaje ludzi – odpowiedział z podziwem.
 - Spodziewaliśmy się pana w tych stronach od czasu przyjazdu doktora Watsona. Przybył pan w porę, by zostać świadkiem tej tragedii.
 - Tak, istotnie. Nie wątpię, że wyjaśnienia mojego przyjaciela okażą się zgodne z prawdą. Niemile wspomnienia zabiorę z sobą jutro do Londynu.
 - A... pan wyjeżdża jutro?
 - Taki mam zamiar.
 - Spodziewam się, że pobyt pana wyjaśni nieco wypadki, które nas tak zaniepokoiły.
- Holmes wzruszył ramionami.
- Nie zawsze można odnosić sukcesy. Detektyw musi opierać się na faktach, nie zaś na legendach i pogłoskach. Dotychczas nie wykryłem nic w tej sprawie.
- Mój przyjaciel mówił swobodnym tonem i słowa jego robiły wrażenie zupełnej szczerości. Niemniej Stapleton patrzył na niego podejrzliwie. Po chwili zwrócił się do mnie:
- Zaproponowałbym przeniesienie tego biedaka do mego domu, ale nie chciałbym przestraszyć siostry. Sądzę, że jeśli zakryjemy mu twarz, może tu poleżeć bezpiecznie do jutra rana.

Tak uczyniliśmy. Po czym, nie przyjąwszy zaproszenia Stapletona, ruszyliśmy z Holmesem do Baskerville Hallu. Przyrodnik został sam. Odwróciwszy się ujrzelśmy, jak szedł wolnym krokiem w głąb moczarów. Na osrebrzonym blaskiem księżycy stoku czarna plama wskazywała, gdzie leżał człowiek, który zginął tak okropną śmiercią.

– Zbliżamy się do krytycznego momentu – rzekł Holmes po dłuższym milczeniu. – Ten człowiek ma stalowe nerwy. Jak potrafił się opanować na widok, że ktoś inny padł ofiarą jego knowań! Powiedziałem ci już w Londynie, Watsonie, i powtarzam jeszcze raz, że nigdy nie mieliśmy bardziej godnego naszej sprawy przeciwnika.

– Żałuję, że cię widział.

– I ja również żałowałem w pierwszej chwili. Ale niepodobna było uniknąć tego spotkania.

– Czy twoim zdaniem zmieni on teraz swoje plany, skoro wie, że jesteś, tutaj?

– Stanie się może ostrożniejszy, a może też zdobędzie się od razu na jakiś rozpaczliwy krok. Jak większość mądrych przestępców, zaufa może zbyt w swojej przebiegłości i wyobrazi sobie, że nas całkowicie wywiódł w pole.

– Dlaczego więc nie aresztujemy go?

– Mój drogi, tyś się urodził na człowieka czynu. Wrodzony instynkt nakłania cię zawsze do energicznej działalności. Przypuśćmy na przykład, że zaarrestowalibyśmy Stapletona dzisiejszej nocy; jaka z tego korzyść? Nie moglibyśmy dowieść mu niczego. I na tym właśnie polega jego piekielna przebiegłość. Gdyby działał przy pomocy innego człowieka, moglibyśmy wykryć tego współnika i zyskać świadka, ale jeśli nawet wydobędziemy owego olbrzymiego psa na światło dzienne, nie dopomoże nam to do zarzucenia stryczka na szyję jego pana.

– Mamy już chyba dostateczne dowody jego winy.

– Dowody? Same tylko podejrzenia i domysły. Wyśmieliby nas w sądzie, gdybyśmy jawili się z taką bajką i z takimi dowodami.

– A śmierć sir Charlesa?

– Znaleziono go nieżywego, bez żadnych śladów obrażeń cielesnych. My obaj wiemy, że umarł ze strachu, i wiemy też, co go tak przerażyło; ale w jaki sposób przekonamy o tym dwunastu nierozgarniętych sędziów przysięgłych? Jakie są dowody, że pies istnieje? Gdzie są znaki jego kłów? Wiemy, oczywiście, że żaden pies nie ruszy zmarłego, wiemy także, że sir Charles skonał, zanim to zwierzę do niego

dobiegło. Ale musielibyśmy tego wszystkiego dowieść, a to nie jest możliwe.

– No, a wypadek dzisiejszy?

– Na nic nam się nie przyda. Znow bowiem nie było bezpośredniego związku między psem a śmiercią tego człowieka. Nie widzieliśmy psa, lecz tylko słyszeliśmy go, więc nie możemy dowieść, że gonił właśnie tego więźnia. Bo i dlaczego miałby go gonić? Nie, mój drogi; musimy pogodzić się z tym, że na razie nie mamy żadnej podstawy do wytoczenia sprawy i że warto jest dołożyć wszelkich usiłowań, by znaleźć niezbite dowody, pozwalające wnieść skargę do sądu.

– A w jaki sposób zabierzesz się do tego?

– Pokładam wielkie nadzieje w pani Laurze Lyons; może nam być bardzo użyteczna, gdy przedstawimy jej istotny stan rzeczy. Mam też swoje własne plany. Kto wie, co nam jutro przyniesie. Ale mam nadzieję, że zanim dzień jutrzejszy minie, będę miał wszystkie atuty w ręku.

Nie mogłem nic więcej dowiedzieć się od niego i zatopieni w myślach doszliśmy do bramy zamku.

– Wejdiesz ze mną? – spytałem.

– Tak, nie widzę potrzeby dalszego ukrywania się. Jeszcze jedno słowo, Watsonie. Nie wspominaj sir Henry'emu o psie. Niech wyobraża sobie przyczynę śmierci Seldena, tak jak Stapleton chciałby, abyśmy ją sobie wyobrażali. Będzie odporniejszy wobec próby, która go czeka jutro; jeśli się nie mylę, doniosłeś mi w sprawozdaniu, że jest zaproszony na obiad w Merripit House?

– Tak, i ja również.

– Ty musisz odmówić, żeby on poszedł sam. Wymyślimy dla ciebie jakiś powód. A teraz, skoro spóźniliśmy się na obiad, sądzę, że dostaniemy przynajmniej kolację.

13. Zarzucanie sieci

Sir Henry bardziej się ucieszył, niż zdziwił widokiem Sherlocka Holmesa, gdyż po ostatnich wydarzeniach już od kilku dni spodziewał się jego przybycia. Niemniej jednak uniósł brwi ze zdumienia, gdy spostrzegł, że mój przyjaciel nie ma ze sobą walizki i że się wcale z tego nie tłumaczy. Zaopatrzyliśmy Holmesa natychmiast we wszystko, czego potrzebował, i zasiadłszy do spóźnionej kolacji, opowiedzieliśmy

baronetowi to, co uznaliśmy za stosowne.

Poprzednio jednak musiałem spełnić przykry obowiązek i zawiadomić Barrymore'a i jego żonę o śmierci Seldena. Nowina przyniosła lokajowi wielką ulgę, ale żona jego rozpląkała się żałośnie. Dla całego świata zmarły był mordercą, na wpół zwierzęciem, na wpół szatanem; dla niej wszakże pozostał zawsze swawolnym chłopcem, który czepiał się jej spódnicy, gdy była młodą dziewczyną. Złym na wskroś musi być taki człowiek, którego nie oplakuje żadna kobieta.

– Od wyjazdu Watsona nudziłem się piekielnie przez cały dzień w domu – rzekł baronet. – Sądzę, że należy mi się pochwała za dotrzymanie obietnicy. Gdybym nie był przysięgł, że sam wychodzić nie będę, mógłbym dużo przyjemniej spędzić wieczór, gdyż miałem zaproszenie od Stapletona.

– Nie wątpię, że spędziłby pan wieczór dużo przyjemniej – odparł Holmes sucho. – Ale nie domyśla się pan nawet, że już oplakiwaliśmy śmierć pana.

Sir Henry spojrzał na nas ze zdumieniem.

– A to dlaczego?

– Ten nieszczęsny zbrodniarz miał na sobie pańskie ubranie. Obawiam się, że lokaj pana, który mu je dał, będzie miał przykrości z policją.

– Nie przypuszczam. O ile pamiętam, ubranie nie miało żadnych znaków.

– Tym lepiej dla niego... a właściwie nie tylko dla niego, bo nie on jeden postępował wbrew przepisom prawa. Nie jestem pewien, czy jako sumienny detektyw nie powinienem natychmiast kazać aresztować was wszystkich. Sprawozdania Watsona są bardzo obciążającymi dokumentami.

– A jak tam stoi nasza sprawa? – spytał baronet. – Czy udało się panu wpaść na jakiś trop? Bo co do nas, nie jesteśmy obaj z Watsonem o wiele mądrzejsi dzisiaj niż w chwili przyjazdu do Baskerville Hallu.

– Zdaje mi się, że niedługo będę mógł wyjaśnić panu całą sytuację. Sprawa jest ciężka i niesłychanie zawiślana. Niektóre punkty są jeszcze niejasne, ale rozwiązanie zagadki już wkrótce nastąpi.

– Watson powiedział panu niewątpliwie, że słyszeliśmy wycie na moczarach, mogę zatem przysiąc, że owa legenda nie jest czczym zabobonem. Miałem sporo do czynienia z psami na Dalekim Zachodzie i nie pomylę psiego wycia z żadnym innym odgłosem. Jeśli pan zdoła temu psu z moczarów nałożyć kaganiec i uwiązać go na łańcuchu, gotów jestem ogłosić pana największym w świecie detektywem..

– Sądzę, że nałożę mu kaganiec i uwiążę na łańcuchu bez wielkich trudności,

jeżeli pan mi pomoże.

– Zrobię wszystko, co mi pan każe.

– Doskonale, żądam jednak, żeby pan był mi ślepo posłuszny i nie pytał o powód moich poleceń.

– Dobrze, jak pan sobie życzy.

– Jeśli pan dotrzyma słowa, myślę, że wkrótce uda nam się wyjaśnić tę sprawę.

Nie wątpię...

Urwał nagle i utkwił wzrok w jakiś punkt ponad moją głowę. Światło lampy padało wprost na jego twarz, która zastygła w takim napięciu, że stała się podobna do oblicza klasycznego posągu, będącego uosobieniem czujności i oczekiwania.

– Co się stało? – krzyknęliśmy obaj z baronetem.

Gdy Holmes spojrział na nas, zauważyłem, że stara się opanować silne wzburzenie. Twarz miał spokojną, ale w oczach jego jaśniało zadowolenie.

– Proszę mi wybaczyć podziw znawcy – rzekł, wskazując ręką szereg portretów zawieszonych na przeciwległej ścianie. – Watson twierdzi wprawdzie, że nie mam pojęcia o sztuce, ale to zwykła zazdrość, ponieważ nasze zapatrywania się różnią. Ma pan tu istotnie zbiór bardzo pięknych portretów.

– Cieszy mnie, że je pan chwali – odparł sir Henry, spoglądając z pewnym zdumieniem na mego przyjaciela. – Przyznaję, że nie znam się na malarstwie i umiałbym lepiej ocenić konia lub byka niż obraz. Nie wiedziałem, że pan i na takie rzeczy czas znajduje.

– Umiem ocenić dzieło dobre, gdy je widzę, a tu znajduję niejedno. Przysięgnę, że ta pani, tam, w niebieskich jedwabiach, to Kneller, a ten otyły dżentelmen w peruce to chyba Reynolds. Domyślałem się, że to portrety rodzinne.

– Tak, co do jednego.

– A czy pan zna imiona tych swoich przodków?

– Barrymore długo pouczał mnie i sądzę, że potrafię dość dobrze powtórzyć lekcję.

– A więc kim jest ten dżentelmen z teleskopem?

– To wiceadmirał Baskerville, który służył pod Rodneyem w Indiach Zachodnich. A ten w błękitnym stroju, ze zwitkiem papierów w ręku, to sir William Baskerville, przewodniczący Komisji w Izbie Gmin za czasów Pitta.

– A ten kawaler naprzeciw mnie... w czarnym aksamicie i koronkach?

– Z tym kawalerem powinien pan zawrzeć znajomość, gdyż on jest powodem

całego nieszczęścia. To właśnie niegodziwy Hugon, od którego wywodzi się legenda psa Baskerville'ów. Nie zapomnimy go chyba nigdy.

Spoglądał na portret z zainteresowaniem i z pewnym zdziwieniem.

– A to ciekawe – rzekł Holmes – wygląda na człowieka spokojnego, skromnego, chociaż, co prawda, diabeł patrzy mu z oczu. Wyobrażałem go sobie jako osobnika o bardziej potężnej budowie i okrutniejszym wyrazie twarzy.

– Autentyczność tego portretu nie ulega wątpliwości, bo na odwrotnej stronie płótna jest imię i data 1647.

Holmes nie mówił więcej na ten temat, ale portret starego awanturника tak go zafascynował, że do końca kolacji nie odrywał od niego wzroku.

Później dopiero, gdy sir Henry udał się na spoczynek, Holmes podzielił się ze mną swymi domysłami. Zaprowadził mnie z powrotem do sali jadalnej i podnosząc lichtarz do góry oświetlił podnieszczony wiekiem portret Hugona.

– Nie widzisz nic szczególnego? – spytał. Wpatrywałem się w szeroki, ozdobiony piórami kapelusz, w długie loki, w biały koronkowy kołnierz – to wszystko, co stanowiło obramowanie dla pociągłej, surowej twarzy portretu. Ta twarz nie miała wprawdzie zwierzęcego wyrazu, ale była ponura i harda, o zaciśniętych wąskich ustach i zimnym, nieubłaganym spojrzeniu.

– Czy portret ten przypomina ci kogoś?

– Zarys szczęki ma podobny do sir Henry'ego.

– To chyba tylko sugestia. Ale poczekaj chwilę.

Holmes wszedł na krzesło i trzymając świecę w lewej ręce, prawą zasłonił kapelusz i długie loki.

– Boże wielki! – krzyknąłem zdumiony. Na płótnie ukazało się oblicze Stapletona.

– A co, teraz widzisz. Moje oczy wyszkolone są w badaniu twarzy bez względu na oprawę. Najważniejszą zaletą kryminologa jest umiejętność rozpoznawania ludzi pomimo wszelkich przebrań.

– Niesłychane. To mógłby być portret Stapletona.

– Tak, stoimy wobec ciekawego wypadku całkowitego odziedziczenia cech zarówno fizycznych, jak i umysłowych. Studiowanie portretów rodzinnych może przekonać każdego do teorii atawizmu. Stapleton pochodzi z rodu Baskerville'ów, to nie ulega wątpliwości.

– I ma pretensje do spadku.

– Właśnie. Ten portret dostarczył nam przypadkowo jednego z najważniejszych ogniów, którego nam dotąd brakowało. Mamy go, Watsonie, mamy go. I mogę przysiąc, że jutro, nim zapadnie noc, łotr będzie trzepotał w naszej sieci równie rozpaczliwie, jak jego motyle. Szpilka, korek, kartka z napisem, a możemy go dołączyć do zbioru na Baker Street.

Holmes, oddalając się od portretu, wybuchnął śmiechem, co zdarzało mu się rzadko; a ten śmiech był zawsze dla kogoś złą wróżbą.

Nazajutrz rano wstałem wcześniej, ale Holmes był jeszcze wcześniej na nogach, gdyż ubierając się widziałem, jak szedł główną aleją parkową.

– Tak, będziemy mieli dziś gorący dzień – rzekł, gdyśmy się spotkali, i zatarł ręce z uciechy na myśl o bliskiej chwili działania. – Sieci zarzucone zostały w odpowiednim miejscu i niebawem zaczną się połów. Zanim noc zapadnie, będziemy wiedzieli, czy schwytaliśmy naszego wielkiego, żarłocznego szczupaka, czy też nam się wymknął.

– Byłeś na moczarach?

– Wysłałem z Grimpen do Princetown meldunek o śmierci Seldena. Przypuszczam, że nikt z was nie będzie niepokojony tą sprawą. Zawiadomiłem też mego wiernego Cartwrighta, co się ze mną stało. Chłopiec warowałby przed moją kryjówką jak pies przy grobie swego pana, gdybym go nie zawiadomił, że jestem bezpieczny.

– A teraz co zamierzasz?

– Zobaczyć się z sir Henry'm. A... oto jest.

– Dzień dobry, Holmesie – rzekł baronet. – Wygląda pan jak generał układający plan bitwy z szefem sztabu.

– Porównanie pańskie jest zupełnie trafne. Watson pyta mnie właśnie o rozkazy.

– I ja również po to przychodzę.

– Doskonale. Jest pan zaproszony na obiad do naszych przyjaciół Stapletonów, prawda?

– Tak. Spodziewam się, że panowie pójdziecie ze mną. Stapletonowie są bardzo gościnni i będą wam radzi.

– Niestety, obawiam się, że będziemy musieli pojechać z Watsonem do Londynu.

– Do Londynu?

– Tak, zdaje mi się, że w obecnej sytuacji będziemy tam potrzebniejsi.

Twarz baroneta spochmurniała.

– Myślałem, że pozostaniecie tu ze mną, dopóki się cała sprawa nie wyjaśni. Pobyty w zamku wśród moczarów nie jest bardzo przyjemny dla samotnego człowieka.

– Mój kochany panie, musi pan mi ufać i spełniać ściśle wszystkie moje polecenia. Niech pan powie Stapletonom, że niecierpiące zwłoki sprawy wezwały nas do Londynu; spodziewamy się jednak, że wkrótce powrócimy do Devonshire. Czy nie zapomni pan im tego powiedzieć?

– Jeśli panu na tym zależy.

– Zapewniam pana, że tak.

Widziałem po zasepionym czole baroneta, że był głęboko dotknięty naszym wyjazdem, który uważał za dezercję.

– Kiedyż panowie chcą jechać? – spytał sucho.

– Zaraz po śniadaniu. Pojedziemy powozem do Coombe Tracey, ale Watson pozostawi swoje rzeczy tutaj jako gwarancję swego powrotu. Watsonie, napisz do Stapletona bilecik, przepaszając go, że nie możesz być na obiedzie.

– Mam wielką ochotę pojechać z wami do Londynu – rzekł baronet. – Dlaczego mam tu sam zostać?

– Bo musi pan być na posterunku. Obiecał mi pan przecież posłuszeństwo, a ja o to proszę.

– A więc dobrze, zostanę.

– Jeszcze jedno polecenie. Proszę pojechać do Merripit House powozem, odesłać jednak konie i powiedzieć Stepletonowi, że wróci pan do domu piechotą.

– Piechotą przez moczary?

– Tak.

– Ale przecież upominał mnie pan wielokrotnie, żebym tego nie robił.

– Tym razem może się pan przespacerować bezpiecznie. Gdybym nie miał takiego zaufania do pańskich silnych nerwów i odwagi, nie należałbym na to, ale w tym wypadku to jest konieczne.

– Dobrze, zastosuję się do pańskiego życzenia.

– Jeśli ceni pan swoje życie, proszę nie zbaczać ze ścieżki prowadzącej z Merripit House do gościńca. Jest to zresztą najbliższa droga do domu.

– Będę we wszystkim posłuszny.

– Wyśmienicie. Chciałbym bardzo wyjechać zaraz po śniadaniu, żeby być w

Londynie po południu.

Byłem zdumiony tym planem, jakkolwiek pamiętałem, że Holmes wspominał o swoim wyjeździe Stapletonowi poprzedniego wieczoru. Nie przyszło mi jednak do głowy, że zechce, bym mu towarzyszył, ani też nie mogłem zrozumieć, dlaczego mamy obaj być nieobecni w chwili, którą on sam nazywał krytyczną.

Nie pozostawało mi nic innego prócz bezwzględnego posłuszeństwa. Pożegnaliśmy się więc z naszym zasmuconym przyjacielem i w dwie godziny później byliśmy na dworcu w Coombe Tracey. Powóz odesłaliśmy do zamku. Na peronie mody chłopak zbliżył się do Holmesa. Był to Cartwright.

– Czy pan ma dla mnie jakieś polecenie? – zapytał.

– Pojedziesz najbliższym pociągiem do Londynu i wyślesz niezwłocznie do sir Henry'ego Baskerville'a depeszę z moim podpisem. W depeszy poprosisz go, aby odesłał mi listem poleconym na Baker Street pozostawiony przeze mnie notes.

– Dobrze, proszę pana.

– A teraz dowiedz się na stacji, czy nie ma tam dla mnie jakiejś wiadomości.

Chłopiec powrócił z telegramem, a Holmes podał mi go po przeczytaniu.

Telegram brzmiał, jak następuje:

Depeszę otrzymałem. Przyjeżdżam piąta czterdzieści. Zabieram ze sobą nakaz aresztowania in blanco. Lestrade.

– To odpowiedź na moją ranną depeszę. Lestrade jest, moim zdaniem, jednym z najlepszych agentów policyjnych i może nam się przydać. A teraz, Watsonie, myślę, że nie możemy zrobić nic lepszego jak złożyć wizytę twojej znajomej, pani Laurze Lyons.

Zaczynałem pojmować plan kampanii Holmesa. Postanowił za pośrednictwem baroneta przekonać Stapletonów o naszym wyjeździe, a wrócić wraz ze mną w chwili, w której obecność nasza okaże się potrzebna. Depesza z Londynu, w razie, gdyby sir Henry wspomniał o niej Stapletonom, rozproszyłaby ich ostatnie podejrzenia. W myśli już widziałem sieć naszą zaciskającą, się coraz mocniej dokoła żarłocznego szczupaka.

Panią Laurę Lyons zastaliśmy w domu przy pracy. Sherlock Holmes rozpoczął z nią rozmowę w sposób tak bezpośredni, że była tym wyraźnie zaskoczona.

– Badam okoliczności, które towarzyszyły śmierci sir Charlesa Baskerville'a –

rzekł. – Obecny tu mój przyjaciel, doktor Watson, powtórzył mi wszystko, czego dowiedział się od pani, jak również i to, co pani przed nim zataiła.

– A cóż ja zataiłam? – spytała wyzywająco.

– Przyznała się pani do wyznaczenia sir Charlesowi spotkania przy furtce o godzinie dziesiątej. Wiemy, że w tym właśnie miejscu i o tej godzinie zaskoczyła go śmierć. Przemilczała pani zatem, jaki zachodził związek między tymi wypadkami.

– Nie było żadnego związku.

– W takim razie byłby to rzeczywiście niezwykle zbieg okoliczności. Ale zdaje mi się mimo wszystko, że taki związek istniał i że zdołamy to wykazać. Chcę być z panią zupełnie szczery. Uważam, że popełniono tu morderstwo, a zebrane dowody są obciążające nie tylko dla przyjaciela pani, pana Stapletona, ale i dla jego żony.

– Jego żony! – krzyknęła, zrywając się z krzesła.

– Nie stanowi to już dzisiaj żadnej tajemnicy dla nikogo, że osoba, która uchodziła za siostrę, jest w istocie jego żoną.

Pani Lyons usiadła, ściskając dłońmi poręcze fotela z taką siłą, że jej różowe paznokcie zbieleły od nacisku.

– Jego żona! – powtórzyła. – Jego żona. Przecież on nie jest żonaty...

Sherlock Holmes wzruszył ramionami.

– Proszę mi to udowodnić! – wykrzyknęła. – A jeśli pan może mi to udowodnić... – Złowrogi błysk w jej oczach był wymowniejszy od wszelkich słów.

– Przybyłem właśnie z tym zamiarem – odparł Holmes, wydobywając kilka dokumentów z kieszeni. – Oto fotografia tej pary, zrobiona w Yorku przed czterema laty. Napis brzmi: "Państwo Vandeleur", a pozna pani z łatwością Stapletona i ją również, jeśli ją pani zna z widzenia. A oto są trzy przez wiarygodne osoby sporządzone rysopisy owych państwa Vandeleur, którzy w swoim czasie prowadzili szkołę prywatną Św. Olivera. Proszę je przeczytać, a pewien jestem, że nie będzie pani wątpiła o tożsamości tych ludzi.

Parii Laura rzuciła okiem na dokumenty, a potem spojrzała na nas z rozpaczą.

– Panie Holmes – rzekła po chwili – ten człowiek oświadczył mi się i zapewniał, że się ze mną ożeni, jeśli dostanę rozwód. Podły! Okłamywał mnie na każdym kroku. Nie powiedział mi nigdy słowa prawdy. I dlaczego?... Dlaczego? ... Zdawało mi się, że robi wszystko dla mojego dobra. Teraz widzę, iż byłam tylko narzędziem w jego ręku. Dlaczego miałabym być wspaniałomyślna względem tego, który mnie tak niecznie oszukał? Dlaczego miałabym ochraniać go od skutków jego

własnych występnych czynów?... Niech mnie pan pyta o wszystko, a odpowiem szczerze, nic nie ukrywając. Przysięgam panu tylko, że gdy pisałam ów list, nie miałam żadnych złych zamiarów względem sir Charlesa Baskerville'a, który był mi najżyczliwszym przyjacielem.

– Wierzę pani najzupełniej – odparł Sherlock Holmes. – Opowiadanie o tych wydarzeniach musi być dla pani bardzo przykre. Chcąc to pani ułatwić, będę mówił, co moim zdaniem zaszło, i proszę mnie poprawić, gdy się w czymś pomyłę. To Stapleton namówił panią do wysłania listu?

– Sam mi go dyktował.

– Przypuszczam, że on podsunął pani myśl uzyskania pomocy finansowej od sir Charlesa na przeprowadzenie rozwodu?

– Tak.

– A potem, gdy list był wysłany, poradził, żeby pani nie poszła na spotkanie?

– Powiedział mi, że ubliżyłoby to jego miłości własnej, gdyby jakiś inny mężczyzna dał pieniądze na ten cel, i że jakkolwiek jest człowiekiem biednym, poświęci ostatni grosz dla usunięcia przeszkód, które nas dzielą.

– Co za nadzwyczajna konsekwencja! A potem nie słyszała pani nic więcej, dopóki nie przeczytała pani w gazecie o śmierci sir Charlesa?

– Tak.

– Stapleton kazał pani przysiąc, że nie wspomni pani nikomu o zamierzonym spotkaniu z sir Charlesem.

– Tak. Powiedział, że śmierć jego jest bardzo tajemnicza i że jeśli prawda wyjdzie na wierzch, znajdę się z pewnością na liście osób podejrzanych. Groźbami zmusił mnie do milczenia.

– Oczywiście. Niemniej jednak miała pani pewne podejrzenia?

Zawahała się i spuściła oczy.

– Znałam go – odparła. – Ale gdyby mnie nie oszukał, nie zdradziłabym go nigdy.

– Moim zdaniem cudem uszła pani cało – rzekł Sherlock Holmes. – Wie, że ma go pani w swojej mocy, a mimo to żyje pani jeszcze. Stała pani przez kilka miesięcy nad brzegiem przepaści. Teraz musimy panią pożegnać. Według wszelkiego prawdopodobieństwa usłyszy pani znów o nas niedługo.

– Sprawa nasza wyjaśnia się pomału i jedna trudność za drugą usuwa nam się z drogi – rzekł Holmes, gdy staliśmy na dworcu, czekając na pociąg z Londynu. – Już

wkrótce będę mógł opowiedzieć dokładniej szczegóły jednej z najbardziej sensacyjnych współczesnych zbrodni. Ci, którzy zajmują się kryminalistką, pamiętają niewątpliwie analogiczne wypadki w Grodnie w roku 1866; mamy też morderstwo Andersena w Karolinie Północnej, ale obecna sprawa wyróżnia się zupełnie specyficznymi szczegółami. Nawet teraz jeszcze nie mamy w ręku żadnego konkretnego dowodu przeciw temu nikczemnikowi. Ale zdaje mi się, że jeszcze dziś wieczór, zanim udamy się na spoczynek, zdobędziemy potrzebne nam dowody.

Pociąg londyński wpadł na stację, a z wagonu pierwszej klasy wyskoczył niski, barczysty mężczyzna. Zamieniliśmy z nim uścisk dłoni i spostrzegłem od razu po pełnym szacunku zachowaniu Lestrade'a względem mego towarzysza, że nauczył się wielu rzeczy od czasu, gdy po raz pierwszy obaj zetknęliśmy się przy pracy. Pamiętałem dobrze, z jaką pogardą praktyczny Lestrade przyjmował wtedy wywody teoretyka Sherlocka Holmesa.

– Jakaś ciekawa sprawa? – spytał.

– Takiej nie było od lat – odparł Holmes. – Mamy jeszcze dwie godziny do rozpoczęcia akcji. Wykorzystamy ten czas na zjedzenie obiadu, a potem, Lestrade, będzie pan mógł po londyńskiej mgłę odetchnąć czystym powietrzem Dartmoor. Nie był pan nigdy w tej okolicy? No, to sądzę, że nie zapomni pan pierwszej wizyty.

14. Pies Baskerville'ów

Jedną z wad Holmesa – jeśli to wadą nazwać można – była niesłychana powściągliwość w zwierzaniu się komukolwiek ze swoich planów. Wynikało to w części z jego despotycznej natury, gdyż lubił górować nad otoczeniem i sprawiać wszystkim niespodzianki, w części zaś z podejrzliwości zawodowej, która nakazywała mu nie zaniebyszać żadnej ostrożności. Było to jednak bardzo denerwujące dla jego współpracowników i pomocników. Ja sam cierpiałem niejednokrotnie z tego powodu, lecz nigdy tak bardzo, jak podczas naszej długiej jazdy tej pamiętnej nocy. Zbliżała się chwila krytyczna; mieliśmy się zdobyć na ostateczny wysiłek, a pomimo tego Holmes z niczym się nie zdradził i mogłem się tylko domyślać, co zamierza zrobić.

Dreszcz oczekiwania przebiegł po mnie, gdy wreszcie lodowaty wicher owiał nam twarze, a ciemne, rozległe przestrzenie po obu stronach wąskiej drogi wskazywały, że znajdujemy się znów na moczarach. Każdy krok koni, każdy obrót kół

zbliżał nas do kulminacyjnego punktu dramatu.

Obecność woźnicy wynajętego pojazdu krępowała nas w rozmowie, tak że byliśmy zmuszeni mówić o rzeczach obojętnych, pomimo wewnętrznego wzburzenia i podniecenia. Odetchnąłem z ulgą, gdy nareszcie minęliśmy dom Franklanda i skierowaliśmy się w stronę zamku – miejsca naszej decydującej akcji. Nie zajechaliśmy przed sam zamek, lecz wysiedliśmy przy bramie wjazdowej. Holmes zapłacił woźnicy i kazał mu wracać niezwłocznie do Coombe Tracey, my zaś udaliśmy się pieszo do Merripit House.

– Lestrade, czy pan ma broń przy sobie?

Detektyw uśmiechnął się.

– Dopóki noszę spodnie, mam w nich kieszeń na broń, a dopóki mam tę kieszeń, zawsze się w niej coś znajdzie.

– Dobrze! Mój przyjaciel i ja jesteśmy również przygotowani na wszelkie niespodzianki.

– Pan jest tym razem bardzo tajemniczy, panie Holmes. Cóż mamy teraz robić?

– Czekać.

– Doprawdy, niewesoła jest ta okolica – rzekł Lestrade, wzdrygając się i spoglądając dokoła na ciemne stoki pagórków i gęste opary mgły unoszące się nad Trzęsawiskiem Grimpen. – Zdaje mi się, że widzę przed nami jakieś światła.

– To Merripit House, kres naszej wędrówki. Proszę iść na palcach i mówić tylko szeptem.

Szliśmy ostrożnie ścieżką prowadzącą ku siedzibie Stapletonów, ale o jakieś dwieście jardów przed domem Holmes zatrzymał nas.

– To wystarczy – rzekł. – Te skały na prawo zasłonią nas wyśmienicie.

– Więc tutaj mamy czekać?

– Tak, tu urządzimy małą zasadzkę. Lestrade, proszę wejść do tego zagłębienia. Watsonie, tyś był w tym domu? Czy możesz mi wskazać jego rozkład? Co znajduje się za tymi zakratowanymi oknami?

– Zdaje mi się, że to okna od kuchni.

– A to dalej, tak jasno oświetlone?

– To pewnie od jadalni.

– Rolety są podniesione. Znasz najlepiej ten teren, podejdź więc cicho i zobacz, co oni tam robią... ale, na miłość boską, uważaj, aby się nie domyślili, że ich ktoś śledzi!

Idąc na palcach po ścieżce, dostałem się pod niski mur otaczający sad i, już bezpieczniejszy pod jego osłoną, zakradłem się chyłkiem do miejsca, z którego mogłem zajrzeć do pokoju przez nie zasłonięte okno.

W pokoju byli tylko dwaj mężczyźni – sir Henry i Stapleton. Siedzieli zwrócenii do mnie profilem, po obu stronach okrągłego stołu. Obaj palili cygara, przed nimi stała kawa i wino. Stapleton mówił z ożywieniem, ale baronet wydawał się błądy i roz-targniony. Być może, iż myśl o samotnym powrocie przez złowróżbne moczary przejmowała go niepokojem.

Po chwili Stapleton wstał i opuścił pokój; sir Henry napełnił kieliszek i zagłębił się w fotelu, puszczając kłęby dymu ze swego cygara. Usłyszałem skrzypnięcie drzwi i odgłos kroków na żwirze. Ktoś szedł ścieżką po drugiej stronie muru, pod którym czatowałem. Wyjrzałem zza muru i zobaczyłem, że to przyrodnik. Zatrzymał się u drzwi szopy w rogu sadu.

Klucz zgrzytnął w zamku, a gdy Stapleton wszedł do środka, z wnętrza dobiegł mnie dziwny odgłos – jakby brzęk łańcucha. Stapleton przebywał tam nie dłużej jak minutę, po czym dosłyszałem znów zgrzyt klucza. Stapleton minął mnie i wszedł do domu. Widziałem, jak usiadł znów przy stole. Wtedy z całą ostrożnością powróciłem do swoich towarzyszków i opowiedziałem im, co zobaczyłem.

– A więc mówisz, Watsonie, że pani Stapleton nie było w pokoju? – spytał Holmes, gdy skończyłem swoje sprawozdanie.

– Nie.

– Gdzież może być zatem, jeśli w żadnym innym pokoju, oprócz kuchni, nie ma światła?

– Nie mam pojęcia.

Wspomniałem, że nad wielkim Trzęsawiskiem Grimpem zawisła gęsta biała mgła. Posuwała się z wolna w naszą stronę, tworząc jak gdyby mur niski, ale nieprzenikniony. Oświetlona blaskiem księżyca, z przezierającymi jej powierzchnię szczytami skał, robiła wrażenie bezbrzeżnego, lśniącego lodowca.

Holmes przyglądał się nadciągającej mgle i mruczał coś niecierpliwie.

– Mgła idzie ku nam, Watsonie.

– Czy to może mieć jakieś znaczenie?

– Bardzo poważne... jest to jedyna rzecz na świecie, która może pokrzyżować moje plany. Sir Henry na pewno wyjdzie wkrótce. Już dziesiąta. Nasze powodzenie, a nawet jego życie zależy od tego, czy wyjdzie, zanim mgła zasnuje ścieżkę.

Noc była cicha i pogodna. Gwiazdy migotały chłodnym blaskiem, a cały krajobraz tonął w bladym świetle księżyca. Przed nami wznosiła się ciemna masa domu, z dachem najeżonym kominami, odcinającym się ostro na tle nieba usianego gwiazdami. Szerokie, złote smugi padały z okien na sad i moczary. Nagle jedna z nich zgasła. To służba opuściła kuchnię. Pozostała tylko lampa w jadalni, gdzie dwaj mężczyźni, gospodarz-morderca i gość, nieświadom grożącego niebezpieczeństwa, gawędzili jeszcze, paląc cygara.

Z każdą minutą gęsta biała mgła, zakrywająca połowę moczarów, przysuwała się coraz bliżej domu. Już pierwsze fale zaczynały się kłębić na tle złotej smugi padającej z oświetlonego okna. Dalsza część muru otaczającego sad była już niewidoczna, a tylko wierzchołki drzew wystawały sponad białych oparów. Niebawem obłoki mgły podpełzły z obu stron domu i złączyły się niby dziwaczny okręt na jakimś fantastycznym morzu.

Holmes uderzył z pasją pięścią w skałę, która nas zasłaniała, i tupnął niecierpliwie nogą.

– Jeśli sir Henry nie wyjdzie za kwadrans, mgła zakryje ścieżkę. Za pół godziny nie zdołamy dojrzeć nawet własnych rąk.

– Może byśmy się cofnęli nieco dalej na wzgórze?

– Dobrze... tak będzie lepiej.

Tak więc, w miarę jak morze mgły zbliżało się do nas, cofaliśmy się przed nim, aż wreszcie znaleźliśmy się o pół mili od domu. A gęsta biała fala, osrebrzona księżycem, posuwała się za nami leniwie, lecz nieubłagane.

– Cofamy się za daleko – rzekł Holmes. – Nie możemy dopuścić do tego, aby sir Henry'emu stała się jakaś krzywda, zanim zdoła dojść do nas. Musimy za wszelką cenę pozostać tu, gdzie jesteśmy.

Ukląkł i przyłożył ucho do ziemi.

– Całe szczęście! Zdaje mi się, że już idzie.

Odgłos szybkich kroków przerwał ciszę panującą na moczarach. Ukryci wśród głązów patrzyliśmy uważnie przed siebie usiłując wzrokiem przebić wznoszący się biały mur. Kroki stawały się coraz bliższe i poprzez zasłonę mgły ukazał się wreszcie ten, na którego czekaliśmy.

Znalazszy się nagle poza obrębem mgły, pod czystym, wyiskrzonym gwiazdami niebem, sir Henry rozejrzał się ze zdziwieniem dookoła, a potem szybkim krokiem przeszedł ścieżką tuż obok naszej kryjówki i zaczął wchodzić na stok wzgórza,

wznoszącego się za nami. Idąc rozglądał się z niepokojem na wszystkie strony.

– Uwaga! – zawołał Holmes, po czym usłyszałem trzask odwodzonego kurka pistoletu. – Zbliża się!

Gdzieś z głębi pełznącego w naszą stronę morza mgły dobiegł nas odgłos szybko biegnącego zwierzęcia. Już tylko pięćdziesiąt jardów dzieliło nas od białych, kłębiących się oparów. Wpatrywaliśmy się w nie wszyscy trzej z napięciem, niepewni, jaka groza się z nich wyłoni. Stałem tuż przy Holmesie i spojrzałem na jego twarz. Był blady, lecz tryumfujący, oczy błyszczały mu w świetle księżyca. Nagle wzrok jego znieruchomiał, a usta otworzyły się ze zdumienia. W tej samej chwili Lestrade krzyknął przeraźliwie i padł twarzą na ziemię. Zerwałem się na równe nogi, ręka kurczowo zacisnęła się na rewolwerze, czułem, że umysł odmawia mi posłuszeństwa na widok strasznego zjawiska, które wyskoczyło z mgły.

Był to pies – pies czarny jak węgiel, olbrzymi – taki, jakiego dotąd nie widziały oczy żadnego śmiertelnika. Z jego otwartej paszczy buchał ogień, ślepia żarzyły się jak węgle, a po całym ciele pełzały migotliwe płomyki. Nigdy nawet w majaczeniach chorego umysłu nie mogło powstać nic równie dzikiego, przerażającego, szatańskiego, jak ten czarny potwór, który wypadł na nas z tumanów mgły.

Olbrzymie zwierzę długimi skokami pędziło ścieżką, w ślad za naszym przyjacielem. Staliśmy jak sparaliżowani, fantastyczny potwór minął nas, zanim odzyskaliśmy przytomność.

Holmes i ja strzeliliśmy jednocześnie, a zwierzę zawył straszliwie, co było dowodem, że przynajmniej jeden z nas je trafił. Nie zatrzymało się jednak, lecz pędziło dalej przed siebie. Daleko na ścieżce zobaczyliśmy w świetle księżyca, jak sir Henry odwrócił się i podniósłszy ręce w górę, wpatrywał się z przerażeniem w ścigającego go straszliwego potwora. To, że pies zawył z bólu, rozproszyło wszystkie nasze obawy. Jeśli można go było zranić, był śmiertelny, a skoro zadaliśmy mu ranę, mogliśmy go zabić.

Nigdy w życiu nie widziałem człowieka biegnącego tak szybko jak Holmes owej nocy. Cieszyłem się, jak już to zaznaczyłem, sławą pierwszorzędnego biegacza, ale prześcignął mnie z taką łatwością, z jaką ja prześcignąłem małego Lestrade'a. Biegając, słyszeliśmy krzyki sir Henry'ego i głuche warczenie psa. Nadbiegłem w chwili, gdy potwór skoczył na swą ofiarę, powalił ją na ziemię i już miał chwycić za gardło, lecz w tym momencie Holmes wpakował mu w bok pięć kul rewolwerowych.

Z ostatnim śmiertelnym skowytom pies runął na wznak, drgnął kilka razy

konwulsyjnie i wreszcie przewrócił się bezwładnie na bok. Pochyliłem się nad nim, dysząc ciężko ze zmęczenia, i przyłożyłem rewolwer do ohydneho łba, lecz już nie pociągnąłem za cyngiel. Olbrzymi pies nie żył.

Sir Henry leżał zemdlony. Szybko rozpięliśmy mu kołnierzyk i Holmes odetchnął z ulgą, przekonawszy się, że nie ma żadnej rany i że ratunek przyszedł w porę. W tym momencie powieki naszego przyjaciela zadrgały. Poruszył się lekko. Lestrade wlał mu kilka kropel koniaku przez zaciśnięte zęby i niebawem dwoje oczu spoglądało na nas z przerażeniem.

– Mój Boże! – szepnął. – Co to było? Co to było?

– Cokolwiek było, już nie istnieje – odparł Holmes. – Zabiliśmy raz na zawsze złego ducha, prześladowającego ród Baskerville'ów.

Zwierzę, które leżało przed nami, przerażało rozmiarami i siłą. Nie był to ani ogar, ani dog, lecz jakiś mieszaniec, chudy, dziki, wielkości młodej lwicy. Teraz nawet, gdy leżał martwy, z olbrzymiego pyska unosił się błękitnawy płomyk, a ogniste pierścienie jaśniały dokoła małych, głęboko osadzonych, okrutnych ślepiów. Przesunąłem dłonią po żarzącym się pysku, a gdy ją podniosłem, palce moje zaświeciły w ciemności.

– Fosfor – rzekłem.

– I jak sprytnie spreparowany – rzekł Holmes wachając nieżywego psa. – Nie wydaje żadnej woni, która by mogła stępić węch zwierzęcia. Sir Henry, zawiniliśmy bardzo, narażając pana na taki przestach, i przepraszam najmocniej. Spodziewałem się ujrzeć psa, ale nie podobnego potwora. A prócz tego mgła nie pozwoliła nam przyjąć go tak, jak zamierzaliśmy.

– Ocaliliście mi życie.

– Naraziwszy je najpierw na niebezpieczeństwo. Czy może pan utrzymać się na nogach? Ma pan tyle siły?

– Dajcie mi jeszcze łyk koniaku, a będę gotów na wszystko. Dziękuję! Pomóżcie mi się podnieść. Co panowie zamierzacie teraz robić?

– Zostawimy pana tutaj. Na dzisiaj już dość przygód. Za chwilę jeden z nas powróci i odprowadzi pana do zamku.

Sir Henry próbował iść o własnych siłach, ale chwiały się jeszcze na nogach i był bardzo błądy. Doprowadziliśmy go do skały, na której usiadł. Drżał na całym ciele i ukrył twarz w dłoniach.

– Teraz musimy rozstać się z panem – rzekł Holmes. – Trzeba dzieło

doprowadzić do końca, a każda chwila jest droga. Zbrodnię już mamy, brak nam tylko jeszcze zbrodniarza.

– Postawiłbym tysiąc przeciw jednemu – odezwał się Holmes, gdy schodziliśmy szybko ze wzgórza – że nie zastaniemy go już w domu.

Strzały nasze były dla niego ostrzeżeniem, że wszystko wyszło na jaw.

– Byliśmy dość daleko od Merripit House, a mgła mogła stłumić odgłos strzałów.

– Szedł za psem, żeby go odwołać... jestem tego pewien. Nie, nie, umknął już niewątpliwie! Niemniej jednak przeszukamy dom, żeby się o tym upewnić.

Drzwi wejściowe były otwarte; wpadliśmy więc do domu i przeszukaliśmy pokój po pokoju, ku zdumieniu starego służącego, którego spotkaliśmy w korytarzu. Światło było jedynie w jadalni, lecz Holmes schwycił lampę i zaglądał do najskrytszych zakątków domu. Nigdzie jednak nie znaleźliśmy śladu zbrodniarza. Na pierwszym piętrze drzwi od jednego pokoju były zamknięte na klucz.

– Tam ktoś jest! – krzyknął Lestrade. – Słyszę jakiś ruch. Otwórzcie te drzwi!

Z wnętrza dobiegł nas stłumiony jęk i szelest. Holmes wywalił drzwi jednym kopnięciem nogi.. Z rewolwerem w ręku wpadliśmy we trzech do pokoju.

Nie było tam jednak śladu nikczemnego łotra. Natomiast zobaczyliśmy coś tak dziwnego i niespodziewanego, że staliśmy przez chwilę w osłupieniu.

Pokój wyglądał jak małe muzeum; na ścianach wisiały gablotki, a w nich rozpięte motyle i ćmy, których zbieranie stanowiło rozrywkę tego niezwykle i niebezpiecznego człowieka. Na środku znajdował się drewniany słupek podtrzymujący stary, nadgniły strop. Do tego słupa przywiązana była postać, tak spowita i skrępowana prześcieradłami, że w pierwszej chwili nie mogliśmy poznać, czy to mężczyzna, czy kobieta. Jeden ręcznik, okręcony dokoła szyi ofiary, przywiązany był do śłupa. Drugi ręcznik zakrywał dolną część twarzy, a sponad niego patrzyły na nas wielkie, ciemne oczy z wyrazem rozpacz, trwogi i jakby wstydu. W mgnieniu oka zerwaliśmy ręczniki, rozwiązaliśmy prześcieradła i pani Stepleton osunęła się przed nami na ziemię. Gdy piękna jej głowa pochyliła się na piersi, dostrzegłem na szyi świeżą, czerwoną pręgę od uderzenia szpicruty.

– Co za łotr! – krzyknął Holmes. – Lestrade, prędko podaj koniak! Trzeba ją posadzić na krześle! Zemdlała z wyczerpania i bólu.

Po chwili otworzyła oczy.

– Czy żyje? – spytała. – Czy zdołał uciec?

- Nie wymknie się nam, może pani być pewna.
- Nie, nie mówię o moim mężu. Czy sir Henry żyje?
- Tak.
- A pies?
- Zabity.

Odetchnęła głęboko.

– Dzięki ci, Boże! Och, ten nikczemnik! Patrzcie, panowie, jak on się ze mną obchodził!

Wysunęła ręce z rękawów i ujrzeliśmy z oburzeniem, że były całe sine od uderzeń.

– Ale to jeszcze nic... nic! On katował i sponiewierał moją duszę. Mogłam znieść wszystko: znęcanie się, osamotnienie, złamane życie, dopóki łudziłam się nadzieją, że mnie kocha, ale teraz wiem, że i w miłości mnie oszukiwał, że była w jego ręku narzędziem...

Mówiąc to, wybuchnęła gorzkim płaczem.

– Nie ma pani powodu go oszczędzać – rzekł Holmes. – Proszę nam powiedzieć, gdzie go możemy znaleźć. Jeśli pani kiedykolwiek pomagała mu z jego złych uczynkach, musi pani teraz pomóc nam i w ten sposób odkupić swoją winę.

– Mógł się schronić tylko w jednym miejscu – odpowiedziała. – Na samym środku wielkiego trzęsawiska jest wyspa, a na niej dawna kopalnia cyny. Tam trzymał psa i tam urządził sobie kryjówkę. Nigdzie więcej schronić się nie mógł, tylko tam!...

Holmes wziął lampę i oświetlił okno. Gęsta mgła kłębiła się za szybami.

– Patrzcie – rzekł. – Nikt dzisiaj nie odnajdzie drogi na trzęsawisku.

Pani Stapleton roześmiała się i klasnęła w ręce. W oczach jej zabłysła ponura radość.

– Trafi na wyspę, ale już stamtąd nie wyjdzie – zawołała. – Bo jakże dojrzy źerdzie, które razem wtykaliśmy dla wyznaczenia ścieżki przez trzęsawisko. Ach! gdybym mogła powyrywać je dzisiaj! Byłby może już w waszych rękach.

Uznaliśmy oczywiście, że wszelka pogoń jest niemożliwa, dopóki mgła nie opadnie. Pozostawiliśmy Lestrade'a na straży w Merripit House, a Holmes i ja powróciliśmy z baronetem do Baskerville Hallu.

Niepodobna było dłużej ukrywać przed sir Henryk historii Stapletonów; zniósł cios mężnie, gdy dowiedział się, kim była kobieta, którą pokochał. Ale wstrząs na skutek przeżyć dzisiejszej nocy był tak silny, że już nad ranem dostał wysokiej

gorączki, majaczył, a doktor Mortimer został wezwany do jego łóża.

Lekarz orzekł, że jedynie podróż naokoło świata powróci sir Henry'emu siły moralne i fizyczne. Ofiarował się towarzyszyć mu i przywieźć go takim, jakim był, zanim został właścicielem tej złowróźbnej posiadłości.

Dobiegam teraz szybko do końca tej dziwnej opowieści. Usiłowałem wzbudzić w czytelniku te same obawy i podejrzenia, jakie czas pewien zakłócały nam spokój, a zakończyły się tak tragicznie.

Nazajutrz rano mgła ustąpiła i pani Stapleton zaprowadziła nas do miejsca, z którego wytknęli razem z mężem ścieżkę przez trzęsawisko. Skwapliwość i radość, z jaką ta kobieta naprowadziła nas na ślad męża, była aż nadto wymownym dowodem, jak straszne musiało być życie przy jego boku.

Pozostawiliśmy ją na wąskim cyplu, którym stały grunt wrzynał się w rozległe trzęsawiska. Począwszy od tego punktu żerdzie powtykane tu i ówdzie wskazywały ścieżkę, wijącą się od jednej kępy sitowia do drugiej, pomiędzy pokrytymi zieloną rzęsą dołami i grząskimi bagnami, które broniły dostępu obcemu przybyszowi. Bujna trzcina i oślizłe rośliny wodne wydzielały woń zgnilizny, a ciężkie, trujące wyziewy utrudniały nam oddech.

Za każdym fałszywym stąpieniem wpadaliśmy wyżej kolan w ciemne, drgające błoto, które pod naciskiem naszych stóp falowało na przestrzeni kilku jardów. Idąc, z trudem wyciągaliśmy nogi z grząskiej mazi, a ilekroć zapadaliśmy się głębiej, wydawało się nam, że trzęsawisko chwyta nas w swe ohydne szpony.

Raz jeden tylko znaleźliśmy dowód, że ktoś przed nami przebył tę niebezpieczną drogę. Na kępie wśród sitowia dostrześliśmy wystający ze szlamu czarny przedmiot.

Holmes zeskoczył ze ścieżki na kępę i ugrzązł po pas w błocie; wyciągnęliśmy go z trudem, a gdyby nas tam nie było, nie postawiłby już z pewnością nigdy nogi na twardym gruncie. W ręku trzymał stary czarny but. Na skórze wewnątrz wydrukowana była firma: "Meyers, Toronto".

– Kąpiel błotna opłaciła się – rzekł Holmes. – To but skradziony naszemu przyjacielowi, sir Henry'emu.

– Rzucony przez Stapletona podczas ucieczki.

– Naturalnie. Po naprowadzeniu psa na trop baroneta Stapleton trzymał jeszcze but w ręku. Gdy przekonał się, że wszystko stracone, zaczął uciekać, a w tym miejscu go rzucił. Wiemy przynajmniej, że dotąd doszedł bezpiecznie.

Więcej wszakże nie udało nam się wykryć. Niepodobieństwem było odnaleźć ślady kroków na trzęsawisku, gdyż błoto zasysało je natychmiast.

Gdy nareszcie dotarliśmy do stałego gruntu, tworzącego rodzaj wyspy za trzęsawiskiem, rozpoczęliśmy na nowo usilne poszukiwania, ale daremnie. Oczy nasze nie spotkały nigdzie żadnego śladu. Jeśli ziemia nie kłamała, Stapleton nie zdołał dojść do tego schronienia na wyspie, do którego przedzierał się przez mgłę. Gdzieś w głębi tego wielkiego trzęsawiska, pod szlamem bagna, które go wchłonęło, ten okrutny człowiek znalazł swój grób.

Na okolonej bagnem wyspie, gdzie ukrył swego dzikiego sprzymierzeńca, odnaleźliśmy liczne ślady jego pobytu. Wielkie stare koło napędowe i szyb, na wpół zasypane gruzami, wskazywały położenie opuszczonej kopalni. Obok znajdowały się jeszcze ruiny domków górników, wygnanych stąd niewątpliwie trującymi wyziewami moczarów. W jednym z tych domków przytwierdzony do haka łańcuch i stos ogryzionych kości świadczył, że tam trzymano psa. W pobliżu wśród ruin dostrześliśmy szkielet z kępką brązowej sierści.

– Pies! – zawołał Holmes. – Dalibóg; to spaniel! Biedny Mortimer nie ujrzy już nigdy swego ulubieńca. Nie przypuszczam, aby ta miejscowość zawierała jeszcze jakieś nie znane nam tajemnice. Stapleton mógł ukryć tu swego psa, ale nie mógł zagłuszyć jego głosu i stąd owo wycie, tak przerażające nawet w biały dzień. W ostatecznym razie mógł trzymać psa w szopie przy Merripit House, ale było to ryzykowne i dlatego dopiero ostatniego dnia, gdy sądził, że już dobiega celu wszystkich swoich poczynań, odważył się psa tam sprowadzić. Maść w tej puszczy jest niewątpliwie ową fosforyzującą mieszaniną, którą pies był wysmarowany. Pomysł ten poddała Stapletonowi legenda rodzinna o piekielnym psie i chęć wzbudzenia w sir Charlesie takiego przestachu, który by go o śmierć przyprawił. Nic dziwnego, że ten nieszczęsny Selden, podobnie jak nasz przyjaciel, uciekał krzycząc, gdy ujrzął takiego potwora pędzącego jego śladem; i my zrobiliśmy to samo. Pomysł ten był rzeczywiście genialny, bo doprowadzał do śmierci ofiary, a żaden chłop ujrzawszy go na moczarach, co zdarzyło się niejednemu, nie odważyłby się podejść do takiego potwora. Powiedziałem ci już w Londynie, Watsonie, i powtarzam teraz tutaj, że nigdy jeszcze nie braliśmy udziału w pościgu za człowiekiem tak niebezpiecznym jak ten, który leży tam...

To mówiąc, wskazał ręką na rozległe, zasiane zielonymi kępami trzęsawisko, które zlewało się w dali z rdzawymi stokami wzgórz.

15. Rzut oka wstecz

W ostatnich dniach listopada, w zimny, mglisty wieczór, siedzieliśmy z Holmesem w gabinecie na Baker Street, przed kominkiem, na którym wesoło trzaskał ogień.

Od czasu naszego powrotu z Devonshire Holmes zajmował się dwiema sprawami niezmiernej wagi. W jednej wykrył karygodne postępowanie pułkownika Upwooda w związku z głośnym skandalem karcianym w klubie "Nonpareil"; w drugiej zaś uwolnił nieszczęśliwą panią Montpensier od zarzutu morderstwa, jaki na niej ciążył w związku ze śmiercią pasierbicy, panny Carere, którą pół roku później odnaleziono w Nowym Jorku nie tylko żywą, ale i zamężną.

Pomyślny wynik obu tych trudnych i ważnych spraw wprowadził mojego przyjaciela w wyśmienity humor, tak że mogłem zaryzykować rozmowę o szczegółach dotyczących tajemnicy Baskerville'ów. Czekałem cierpliwie na odpowiednią sposobność, wiedziałem bowiem, że Holmes nie lubi, aby mu przeszkadzać w pracy i odrywać jego jasny i metodyczny umysł od aktualnych zajęć wspomnieniami przeszłości.

Ale sir Henry i doktor Mortimer bawili w Londynie, wybierając się w ową długą podróż, zaleconą baronetowi dla wzmocnienia nadwerżonych nerwów; a że odwiedzili nas po południu, przeto rozmowa o tragicznych wypadkach na moczarach nasunęła się sama przez się.

– Cały bieg wypadków – mówił Holmes – był, z punktu widzenia człowieka, który nazwał siebie Stapletonem, jasny i zrozumiały, jakkolwiek nam, którzy nie znaleźmy początkowo pobudek jego czynów i znaleźmy tylko część faktów, spawa wydawała się niesłychanie zawikłana. Miałem sposobność rozmawiać dwukrotnie z panią Stapleton, która wyjaśniła mi różne szczegóły. Zdaje mi się, że nie ma już dla mnie w tej sprawie żadnych tajemnic. Pod literą "B" znajdziesz w moich aktach różne dotyczące jej notatki.

– Może byś zechciał z pamięci opowiedzieć mi pokrótce ważniejsze szczegóły.

– Chętnie, chociaż nie mogę ręczyć, czy zapamiętałem wszystkie. Intensywny wysiłek umysłowy ma tę właściwość, że zaciera w pamięci naszej przeszłość. Tak na przykład adwokat, który zna świetnie swoją sprawę i rozprawia swobodnie z każdym o

jej najdrobniejszych szczegółach, spostrzega, że w tydzień lub dwa po obronie już nie pamięta. Tak samo też każda nowa sprawa zaciera zawsze w mym umyśle poprzednią, a panna Carere zastąpiła w mej pamięci sir Henry'ego Baskerville'a. Jutro z kolei jakiś nowy problem zatrze wspomnienia pięknej panny i nikczemnego Upwoda.

Jeśli chodzi o psa Baskerville'ów, postaram się opowiedzieć z możliwą dokładnością przebieg wypadków; gdybym zaś zapomniał szczegółu, proszę cię, byś mi przyszedł z pomocą.

Otóż poszukiwania moje wykazały niezbitcie, że portret nie kłamał. Stapleton pochodził istotnie z rodu Baskerville'ów. Był on synem młodszego brata sir Charlesa, owego Rodgera Baskerville'a, który skutkiem skandalicznych postępów uciekł do Ameryki Południowej i tam umarł, jak mówiono, kawalerem. Jednakże stwierdziłem, że był on żonaty i miał jednego syna, noszącego oczywiście to samo nazwisko. Syn ten poślubił pannę Beryl Garcia, znaną piękną z Costa Rica, a sprzeniewierzywszy znaczną sumę pieniędzy z funduszy publicznych zmienił nazwisko na Vandeleur i uciekł do Anglii, gdzie założył szkołę w małej miejscowości we wschodniej części Yorkshire. Do obrania tego właśnie zawodu nakłoniła go znajomość zawarta w podróży z powracającym do kraju nauczycielem suchotnikiem. Wyzyskał na swoją korzyść jego wiadomości, ale Fraser, ów nauczyciel, umarł i szkoła, która miała początkowo powodzenie, upadała coraz niżej, aż w końcu okryła się hańbą.

Vandeleur uznał za stosowne przybrać nazwisko Stapleton i przeniósł resztki majątku, swe plany na przyszłość oraz upodobanie do owadoznawstwa na południe Anglii. Dowiedziałem się w Muzeum Brytyjskim, że był on uznaną powagą w tej dziedzinie i nazwisko Vandeleura przywiązane zostało na zawsze do pewnego gatunku ćmy, którą on pierwszy opisał podczas swego pobytu w Yorkshire.

Teraz przechodzimy do tej części jego życia, która swego czasu pochłaniała całą naszą uwagę. Stapleton musiał zasięgnąć informacji i dowiedział się, że tylko dwa życia ludzkie stoją między nim a majątkiem Baskerville'ów. Zdaje mi się, że gdy przybył do Devonshire, plany jego były jeszcze bardzo mgliste, ale to, że żonę przedstawił w charakterze siostry, świadczyło o jego złych zamiarach. Myśl użycia jej jako przynęty skryształizowała się wyraźnie w jego mózgu, chociaż nie wiedział jeszcze dokładnie, jak przeprowadzi swój plan.

Chcąc za wszelką cenę zdobyć majątek nie przebierał w środkach. Przede wszystkim więc zamieszkał jak najbliżej siedziby swoich przodków, a następnie

nawiązał przyjazne stosunki z sir Charlesem Baskerville'em i sąsiadami.

Baronet sam opowiedział mu legendę o psie i w ten sposób przygotował niejako własną zgubę. Stapleton wiedział, że sir Charles ma wadę serca i że gwałtowny wstrząs może go zabić. Powiedział mu o tym doktor Mortimer. Słyszał on również, że baronet jest przesądny i że wierzy w tę ponurą legendę. Stapletonowi nasunął się błyskawicznie plan zbrodni, której niemal niepodobieństwem byłoby mu dowieść.

Powziąwszy plan, zabrał się do wprowadzania go w czyn z niesłychaną pomysłowością. Pospolity zbrodniarz zadowoliliby się użyciem złego psa. Zastosowanie sztucznych środków dla nadania zwierzęciu pozorów jakiegoś piekielnego potwora było z jego strony genialnym posunięciem.

Stapleton kupił psa w Londynie u Rossa i Maglesa, handlarza zwierząt na Fulham Road. Był to największy i najbardziej zły pies, jakiego wówczas posiadali. Przywiózł go koleją okrężną drogą i przebył pieszo wielką przestrzeń przez moczary, aby dostać się do domu, nie zwracając niczyjej uwagi. Dzięki swoim polowaniom na owady odkrył ścieżkę przez Trzęsawisko Grimpen i tam znalazł bezpieczną kryjówkę dla psa. Tam też uwiązał go na łańcuchu i czekał na odpowiednią sposobność.

Sposobność ta nie nadarzała się dość długo. Trudno było wywabić starego dżentelmena nocą poza obręb parku. Stapleton czatował szereg razy ze swoim psem w pobliżu, ale na próżno. Podczas tych bezskutecznych wędrówek chłopci dostrzegli jego niezwyklego współnika, co na nowo wskrzesiło legendę o piekielnym psie.

Stapleton spodziewał się, że żona dopomoże mu doprowadzić sir Charlesa do zguby, ale najniespodziewaniej spotkał się z oporem. Nie chciała uwikłać starego dżentelmena w miłosną intrygę i wydać go tym sposobem w ręce wroga. Ani groźba, ani nawet – wstyd powiedzieć – bicie jej nie zdołały złamać jej oporu. Nie chciała mieć w tym żadnego udziału i przez pewien czas Stapleton nie wiedział, co począć.

Sir Charles, który powziął do niego żywą sympatię, sam wybawił go z kłopotu, powierzając mu opiekę nad nieszczęśliwą Laurą Lyons. Przedstawiwszy się jej jako kawaler, Stapleton opanował ją zupełnie i dał biednej kobiecie do zrozumienia, że ożeni się z nią, jeśli ona uzyska rozwód. Skoro tylko dowiedział się, że sir Charles ma wyjechać z Baskerville Hallu za radą doktora Mortimera, którego zdanie popierał gorąco, Stapleton postanowił działać bez zwłoki, w obawie że ofiara wymknie mu się na zawsze. Nakłonił więc panią Lyons, by napisała ów list, w którym błagał starego dżentelmena o chwilę rozmowy w przeddzień wyjazdu do Londynu. Następnie obłudnym argumentem powstrzymał ją od pójścia na spotkanie i w ten sposób

stworzył wreszcie dogodne dla siebie okoliczności.

Powracając wieczorem z Coombe Tracey, zabrał swego psa, wysmarował go tą piekielną mieszaniną i zaprowadził pod furtkę, gdzie stary dżentelmen miał czekać na pannę Lyons.

Pies, poszczuty przez Stapletona, przeskoczył furtkę i ścigał nieszczęśliwego baroneta, który krzyżąc uciekał aleją cisową. Straszny musiał to być widok, gdy to olbrzymie czarne zwierzę, z gorejącym pyskiem, ze ślepiami w ogniu pędziło po ciemnej alei za swą ofiarą. Baronet padł martwy na końcu szpaleru, przerażenie przyspieszyło śmiertelny atak serca.

Pies biegł po trawniku i dlatego nie pozostawił żadnych śladów. Widząc leżącego człowieka zwierzę prawdopodobnie zbliżyło się, by go obwąchać, a przekonawszy się, że nie żyje, zawróciło. Stąd pozostały owe ślady, które dostrzegł doktor Mortimer. Stapleton przywołał psa i zaprowadził spiesznie do kryjówki na trzęsawisku, a śmierć baroneta pozostała nie wyjaśnioną zagadką dla policji, przeraziła całą okolicę i wreszcie sprawa dostała się w nasze ręce.

Tyle co do śmierci sir Charlesa Baskerville'a.

Rozumiesz teraz całą przebiegłość tego szatańskiego podstępu, gdyż wydawało się, że zdobycie dowodów przeciw mordercy jest prawie niemożliwością. Jedyne współnik nie mógł go zdradzić, a cały pomysł, tak niezwykle i groteskowy, zapewniał tym samym powodzenie tego planu.

W obu kobietach, wplątanych w sprawę, pani Stapleton i pani Lyons, obudziło się silne podejrzenie. Pani Stapleton wiedziała o zamiarach męża względem baroneta i o istnieniu psa. Pani Lyons zaś nie wiedziała o tym, ale śmierć baroneta w godzinie umówionego spotkania wywarła na niej głębokie wrażenie. Obie kobiety były jednak pod wpływem Stapletona i nie potrzebował ich się obawiać. Pierwszą połowę zadania spełnił zatem z powodzeniem, pozostała jednak druga, znacznie trudniejsza.

Być może, iż Stapleton nie wiedział o istnieniu spadkobiercy w Kanadzie. W każdym razie dowiedział się o tym bardzo prędko od swego przyjaciela, doktora Mortimera, który wtajemniczył go też we wszystkie szczegóły dotyczące przyjazdu Henry'ego Baskerville'a. Początkowo Stapleton myślał, że będzie można tego młodego przybysza z Kanady zgładzić w Londynie, zanim zdąży dojechać do Devonshire.

Od czasu, gdy żona odmówiła mu pomocy w zastawieniu sidła na sir Charlesa, nie ufał jej i nie zostawiał jej samej na czas dłuższy w obawie, żeby nie stracić na nią wpływu. Dlatego też zabrał ją ze sobą do Londynu. Wykryłem, że mieszkali w hotelu

Mexborough przy Craven Street, jednym z tych, które zwiedzał Cartwright szukając dowodów. Tam Stapleton zamykał żonę w pokoju, sam zaś, przyprawivszy brodę, jeździł za doktorem Mortimerem na Baker Street, a potem na dworzec i do hotelu Northumberland.

Pani Stapleton musiała domyślać się planów męża, ale bała się go do tego stopnia – obawa ta wynikała stąd, że obchodził się z nią tak brutalnie – iż nie miała odwagi napisać do człowieka, któremu groziło niebezpieczeństwo. Gdyby list wpadł w ręce Stapletona, nie byłaby pewna własnego życia. Tak więc, jak wiemy, wpadła na pomysł wycięcia wyrazów z gazety i zaadresowała list zmienionym pismem. List doszedł do baroneta i był pierwszym ostrzeżeniem przed grożącym mu niebezpieczeństwem.

Bardzo ważną rzeczą dla Stapletona było zdobycie jakiegokolwiek części ubrania sir Henry'ego, aby móc poszczuć psa w momencie, kiedy zajdzie tego potrzeba. Z charakterystyczną szybkością i śmiałością przedsięwziął odpowiednie kroki i nie możemy wątpić, że przekupił w tym celu służącego albo pokojówkę w hotelu. Przypadkiem wszakże pierwszy but, który mu przyniesiono, był nowy, a więc zupełnie bezużyteczny. Zwrócił go zatem i otrzymał inny – ten szczegół był dla mnie bardzo cenny, gdyż dowiódł mi, że mamy do czynienia z psem z krwi i kości, inaczej bowiem niepodobna było sobie wytłumaczyć, dlaczego zależało mu na starym bucie, a nowy nie przedstawiał dla niego żadnej wartości.

Im jakiś szczegół jest bardziej niezwykły i groteskowy, tym więcej zasługuje na dokładne zbadanie, a wypadek, który, zdawałoby się, wikła sprawę, dokładnie rozważony i umiejętnie wyzyskany może ją właściwie całkowicie wyjaśnić.

Następnego dnia rano, jak wiesz, mieliśmy wizytę naszych przyjaciół, śledzonych ciągle przez Stapletona. Wnosząc z tego, że wiedział, gdzie mieszkam, i znał mnie z widzenia, przypuszczam, że zbrodnicza kariera nie ograniczała się bynajmniej wyłącznie do sprawy Baskerville'ów. W ciągu ostatnich trzech lat popełniono cztery znaczne kradzieże na zachodzie Anglii, a sprawcy żadnej z nich nie schwytano. Ostatnia z tych kradzieży, w Folkestone Court, w maju, zdumiewała zimną krwią, z jaką zamaskowany złoczyńca zastrzelił służącego, który go schwycił na gorącym uczynku. Jestem prawie pewny, że Stapleton zasilął w ten sposób swoje zmniejszające się z każdym dniem środki materialne i że od wielu lat należał do rzędu najsmielszych i nie cofających się przed niczym przestępców.

Mieliśmy przykład jego sprytu i pomysłowości owego ranka, kiedy wymknął

nam się tak szczęśliwie, a dał dowód nie tylko odwagi, ale wprost bezczelności, przesyłając mi przez doróżkarza moje własne nazwisko. Zrozumiał wówczas, że wziąłem w swoje ręce sprawę w Londynie i że tu nic już zrobić nie zdoła. Powrócił tedy do Dartmoor i czekał na przyjazd baroneta.

– Chwileczkę – rzekłem. – Opowiedziałeś bieg wypadków bardzo ściśle, ale jednego punktu nie wyjaśniłeś wcale. Co się działo z psem podczas pobytu jego pana w Londynie?

– Usiłowałem zbadać i ten niezaprzeczalnie ważny szczegół. Nie ulega wątpliwości, że Stapleton miał pomocnika, jakkolwiek pewien jestem, że nie zwierzył mu się nigdy ze wszystkich swoich planów, nie chcąc być od niego zależnym. W Merripit House był stary służący, imieniem Antoni. Służąc u Stapletonów od kilku lat, jeszcze za czasów, gdy Stapleton był przełożonym szkoły, Antoni musiał wiedzieć, iż jego państwo są małżeństwem. Człowiek ten zniknął i uciekł z kraju.

Otóż Antoni nie jest imieniem tak często spotykanym w Anglii, jak Antonio w Hiszpanii lub w krajach hiszpańskich Ameryki Południowej. Ów służący, podobnie jak pani Stapleton, mówił dobrze po angielsku, ale z jakimś dziwnym akcentem. Widziałem sam, jak szedł przez Trzęsawisko Grimpen ścieżką, którą wytknął Stapleton. Według wszelkiego prawdopodobieństwa żywił psa podczas nieobecności pana, nie wiedząc jednak, do jakich celów zwierzę służyło.

Stapletonowie powrócili zatem do Devonshire, dokąd wkrótce przybyliście z sir Henry'm. A teraz kilka słów o tym, co ja wówczas robiłem. Przypominasz sobie prawdopodobnie, że oglądając papier, badałem, czy jest znak wodny. Trzymałem przy tym kartkę blisko oczu i poczułem zapach perfum "Biały jaśmin".

Dobry kryminolog powinien umieć odróżnić siedemdziesiąt pięć gatunków perfum. Wiem z własnego doświadczenia, że wyjaśnienie sprawy zależy często od szybkiego rozpoznania zapachu. "Biały jaśmin" wskazywał na to, że wchodzi tu w grę kobieta, a podejrzenia moje już wtedy skierowały się na Stapletonów. Tak więc przed wyjazdem do Devonshire upewniłem się, że pies istnieje, i wpadłem na trop przestępcy.

Moje zadanie polegało na śledzeniu Stapletona.

Było jasne, że nie mógłbym tego robić, gdybym był z wami, bo miałby się wówczas na baczności. Dlatego też wyprowadziłem w pole wszystkich, nie wyłączając ciebie, i gdy myśleliście, że jestem w Londynie, przyjechałem potajemnie do Dartmoor. Niewygody, jakie znosiłem, nie były takie straszne, jak sobie wyobrażałeś;

podobne błahostki nie powinny nigdy być przeszkodą w prowadzeniu śledztwa.

Mieszkałem przeważnie w Coombe Tracey, a z kryjówki na moczarach korzystałem tylko wtedy, gdy moja obecność w pobliżu miejsca akcji była potrzebna. Wziąłem ze sobą Cartwrighta, który, w przebraniu wieśniaczym, był mi wielką pomocą. Zaopatrywał mnie w żywność i czystą bieliznę, a gdy ja śledziłem Stapletona, Cartwright miał ciebie na oku, tak że cały czas trzymałem wszystkie nici w ręku.

Powiedziałem ci już, że twoje sprawozdania dochodziły do mnie szybko, bo wysyłano je niezwłocznie z Baker Street do Coombe Tracey. Były one dla mnie bardzo użyteczne, a zwłaszcza to, które zawierało przypadkowo prawdziwy szczegół z życia Stapletona. Pozwoliło mi to stwierdzić tożsamość ich obojga i dzięki temu wiedziałem, czego się trzymać. Sprawa powikłała się bardzo przez zbiegłego więźnia i jego stosunki z Barrymore'ami. Ale wyjaśniłeś to znakomicie, jakkolwiek i ja doszedłem do tego samego wniosku na zasadzie własnych spostrzeżeń.

Gdy znalazłeś mnie na moczarach, wiedziałem już o wszystkim, nie mając jednak dowodów wystarczających do oddania Stapletona pod sąd. Nawet zamach jego na sir Henry'ego tej samej nocy, zakończony śmiercią nieszczęśliwego więźnia, nie dostarczył nam wyraźnego dowodu winy mordercy. Nie pozostało nam zatem nic innego, jak tylko schwytać go na gorącym uczynku, a chcąc tego dopiąć, trzeba było użyć baroneta – na pozór bezbronnego i samotnego – jako przynęty.

Tak też uczyniliśmy i kosztem poważnego wstrząsu nerwowego naszego klienta zdobyliśmy potrzebne nam dowody i doprowadziliśmy Stapletona do zguby.

Robię sobie wyrzuty, iż naraziłem baroneta na ten wstrząs, ale nie mogliśmy przecież przewidzieć przerażającego wyglądu psa ani też mgły, która uniemożliwiła nam dostrzeżenie go z daleka. Osiągnęliśmy cel kosztem zdrowia sir Henry'ego, lecz zarówno wezwany specjalista, jak i doktor Mortimer zapewnili mnie, że choroba minie szybko. Długa podróż wyleczy nie tylko nerwy, ale i serce naszego przyjaciela. Miłość jego była głęboka i szcera, a najsmutniejszą stroną całej tej ponurej sprawy jest to, że zawiódł się na ukochanej kobiecie.

Pozostaje mi tylko wykazać rolę, jaką pani Stapleton w tym wszystkim odegrała. Nie ulega wątpliwości, że mąż trzymał ją w uległości bądź miłością, bądź strachem, a może jednym i drugim, skoro jedno bynajmniej nie wyłącza drugiego. Na żądanie Stapletona zgodziła się uchodzić za jego siostrę, jednak władza nikczemnika nad nią skończyła się, gdy usiłował uczynić z niej bezpośrednie narzędzie zbrodni. Starła się ostrzec sir Henry'ego, i to niejednokrotnie, ale w taki sposób, aby nie

narazić swego męża.

Stapleton był widocznie bardzo zazdrosny, bo gdy spostrzegł, że baronet stara się o względy jego żony, nie mógł, choć to wchodziło w zakres jego planów, powstrzymać się od namiętnego wybuchu, który odsłonił całą gwałtowność jego charakteru, tak umiejętnie pokrywaną pozornym chłodem i powściągliwością. Zachęcając oboje do bliższej znajomości, zapewnił sobie częste odwiedziny sir Henry'ego w Merripit House, co prędzej czy później musiało stworzyć dogodne warunki do projektowanej zbrodni.

Tymczasem w krytycznym dniu pani Stapleton nagle zajęła wrogie w stosunku do niego stanowisko. Słyszała o śmierci więźnia i wiedziała, że pies był w szopie tego dnia, kiedy sir Henry miał przyjść na obiad. Obwiniła męża o zamiar popełnienia zbrodni i wtedy nastąpiła gwałtowna scena, podczas której dał jej on po raz pierwszy do zrozumienia, że ma rywalkę. W jednej chwili miłość w niej zamieniła się w gorącą nienawiść i Stapleton zrozumiał, że żona może go zdradzić. Dlatego też, żeby nie mogła ostrzec sir Henry'ego, związał ją i zamknął. Spodziewał się niewątpliwie, że gdy cała okolica będzie przypisywała śmierć baroneta klątwie ciężącej na rodzinie – co nastąpiłoby niewątpliwie – uda mu się zmusić żonę do milczenia i pogodzenia się z faktem dokonany.

Zdaje mi się, że mylił się pod tym względem i że nawet bez naszego udziału los jego był przesądzony. Kobieta z krwią hiszpańską w żyłach nie przebacza tak łatwo podobnej zniewagi.

Więcej szczegółów tej ciekawej sprawy nie mogę ci powiedzieć, mój drogi, bez sięgnięcia do moich notatek. Myślę jednak, że nie pominąłem niczego ważnego.

– Chyba jednak Stapleton nie spodziewał się, że sir Henry padnie trupem ze strachu, jak jego stryj, na widok tego upiornego psa?

– Zwierzę było dzikie i zgłodniałe. Jeśli sam widok psa nie przyprawiłby ofiary o śmierć z przerażenia, to w każdym razie mógł uczynić ją niezdolną do obrony.

– Niewątpliwie. Pozostaje jednak jeszcze jednak trudność. Gdyby Stapleton został spadkobiercą tego majątku, w jaki sposób wytłumaczyłby fakt, że mieszkał tak długo pod zmienionym nazwiskiem w najbliższym sąsiedztwie posiadłości Baskerville'ów? W jaki sposób mógłby zgłosić swoje prawa do tego majątku, nie budząc podejrzeń?

– Byłaby to istotnie sprawa bardzo trudna; żądasz doprawdy za wiele ode mnie, chcąc, żebym ci rozwiązał to zagadnienie. Przeszłość i teraźniejszość wchodzi w

zakres moich badań, ale trudno jest przewidzieć, co człowiek może czynić w przyszłości. Pani Stapleton słyszała niejednokrotnie, jak mąż rozważał tę kwestię. Istniały trzy możliwości. Mógł wyjechać do Ameryki Południowej i stamtąd upomnieć się o spadek, stwierdzając swoją tożsamość przed przedstawicielami brytyjskimi. W ten sposób otrzymałby majątek, nie przyjeżdżając wcale do Anglii. Albo w umiejętnym przebraniu mógł zamieszkać na krótki czas w Londynie dla przeprowadzenia formalności. Albo mógł wreszcie, dzieląc się dochodami, znaleźć wspólnika i zaopatrzyć go w dowody i papiery, przedstawiając go jako spadkobiercę. Sądząc z tego, co wiemy o Stapletonie, nie możemy wątpić, że dałby sobie radę. A teraz, mój drogi, mieliśmy kilka tygodni ciężkiej pracy i sądzę, że mamy prawo skierować nasze myśli na weselsze tory. Mam lożę na *Hugonotów*. Słyszałeś Reszków?... czy mogę cię zatem prosić, żebyś był gotów za pół godziny? Wstąpimy pod drodze na obiad do Marciniego.

Przekład anonimowy przejrzała i uzupełniła Eleonora Romanowicz